

P. 9786 Chr. Arch.

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 10/156

1960



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

T. SŁABICZ :

KARTKI Z PODRÓŻY DO ZSSR

Z. JORDAN :

NIEPOROZUMIENIE WOKÓŁ SEMANTYKI

M. ERDMAN :

OBOJNAKI

J. MIEROSZEWSKI :

POWRÓT NA PUNKT STARTU

SPIS RZECZY

Tadeusz Ślabicz:	<i>Kartki z podróży do ZSSR (I) ..</i>	3
Tadeusz Nowakowski:	<i>Sztambuch (dok.)</i>	31
Józef Łobodowski:	<i>Młody las na obczyźnie</i>	49
Józef Łobodowski (przekłady):	<i>Młoda poezja ukraińska</i>	58

POEZJE

M.K. Włodkowski:	<i>Ulica Piaskowa</i>	64
M.K. Włodkowski:	<i>Koło Włocławską</i>	65
M.K. Włodkowski:	<i>Rak</i>	65
Józef Jenne:	<i>Zwątpienie</i>	65

ARCHIWUM POLITYCZNE

Juliusz Mieroszewski:	<i>Powrót na punkt startu</i>	69
Londyńczyk:	<i>Kronika angielska</i>	80

SĄSIEDZI

S.W. Kozłowski:	<i>Przegląd niemiecki</i>	88
BEO:	<i>Kronika ukraińska</i>	91

SPRAWY I TROSKI

Marta Erdman:	<i>Obojnak</i>	95
---------------	----------------------	----

NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI

W.A. Zbyszewski:	<i>General Haller</i>	106
Leszek Szymański:	<i>Październik niedyskretny</i>	111

KRONIKA KULTURALNA

—	<i>Profesor St. Kościalkowski</i>	124
Paweł Hostowiec:	<i>Dwa wyrazy proszą o chwilę uwagi</i>	125
—	<i>Komunikat Syndykatu Dziennikarzy</i>	127
	<i>Polskich w Niemczech</i>	127

KSIAŻKI

Zbigniew Jordan:	<i>Nieporozumienie wokół semantyki</i>	129
Bolesław Taborski:	<i>Z pozycji jaśniepana</i>	143
Paweł Hostowiec:	<i>Książki, ludzie, kulisy</i>	151
Erhardt Gralla:	<i>Krytyka systemu jednopartyjnego</i>	155

J. Czapski, A. Charmański i J. Rugis, T. Felsztyn, J. Jenne:	<i>Listy do Redakcji</i>	157
--	--------------------------------	-----

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Październik – Octobre 1960

INSTYTUT



LITERACKI

NOTA BIOGRAFICZNA

M.K. WŁODKOWSKI, ur. w 1900 r. w Warszawie, gdzie ukończył gimnazjum i Wydział Medyczny Uniw. Warsz. — Ogłaszał prace na temat raka i zatrucia ołowiem w pismach „Ginekologia Polska”, „Medycyna”, „Wiadomości Lekarskie”, „Przegląd Chemiczny”. W czasie Powstania Warszawskiego organizuje punkt opatrunkowy przy ul. Pańskiej, za co później zostaje aresztowany w Tomaszowie, ale następnie wypuszczony. Pracuje w szpitalu w Gdańsku do r. 1948, kiedy to wyjeżdża z Polski. Osiedla się w Kanadzie, gdzie po 4 latach nostryfikuje swój dyplom i obecnie praktykuje w Toronto. Poezją zajmuje się dorywczo.



P. 9486. Chm. Arch.

Kartki z podróży do ZSSR (I)

Wyruszam z Warszawy

Związek Radziecki znam jeszcze z okresu II wojny światowej. Oczywiście „znałem” jest wyrażeniem przesadnym. Trudno poznać ten olbrzymi kraj wraz z wszystkimi dziedzinami jego życia, nawet jeśli spędziło się w nim wtedy około 3 lat. Należy też uwzględnić fakt, że inaczej reaguje na bodźce otoczenia nie znający życia chłopiec, inaczej dojrzały mężczyzna. Inaczej patrzy na nowy kraj turysta, inaczej zaś człowiek wywieziony, który co prawda przemierza tysiące kilometrów połaci kraju, lecz kiedy się gdzieś, czasowo, osiedli, to nie staje się równoprawnym członkiem grupy tubylczej. Krótko mówiąc poznaje kraje jednostronnie, poprzez głód i kompleksy.

Byłem bardzo ciekawy jaką teraz zastanę Rosję. Co uległo zmianie? Nareszcie będę mógł spokojnie osądzić to umysłem dojrzałego już człowieka.

Siedzę więc sobie w dobrze ogrzanym *coupé* pociągu pośpiesznego Warszawa Wschodnia — Brześć. Wycieczkowicze „Orbisu”, podnieceni i spoceni, zdejmują futra, rozsiadają się wygodnie, układają bagaże, szukają znajomych i żegnają się. Gdy pociąg rusza zaczynają powoli rozmawiać o... cenach. Oczywiście nie wszyscy włączają się do tej rozmowy, ale... „kupców” jest na ogół więcej niż wycieczkowiczów. Niektórzy pasażerowie zachowują się godnie, są spokojni, nie grzebią gorączkowo w walizach. Są to prawdziwi turyści, albo-co także jest jest bardzo prawdopodobne — wyrafinowani przemysłowcy, mający dobrze przygotowane interesy, dające zapewne większy dochód niż drobny szmugielek walizkowy. Z takimi trudniej nawiązać rozmowę, są dyskretni. Jednak po paru godzinach wspólnego przebywania też rozwiązują się im języki. Wkrótce wszystko już wiemy. Kto, jak i dlaczego dostał się na wycieczkę. Jakie ma znajomości w „Orbisie”. Czy rzeczywiście

interesuje go cel wycieczki, etc. — Jakże ci ludzie są gadatliwi! Po paru godzinach obserwacji wie się prawie wszystko. Na ogół cel każdego wycieczkowicza mija się z celem wycieczki. Wielu jedzie po to, by po wyjściu z pociągu szybko zakwaterować się w hotelu i wyruszyć na poszukiwania chodliwego towaru.

W tym okresie polskie „komisy” skupowały bardzo skwapliwie radiowe aparaty „Turist”, aparaty fotograficzne „Zorki”, lalki, zabawki gumowe, elektryczne maszyny do szycia „Tuła” i wiele innych rosyjskich przedmiotów zbytku, czy też codziennego użytku. Wycieczkowicze walczyli o 200-300 % zarobek, aby odbić sobie koszt podróży.

Trudno właściwie powiedzieć w jakich sferach można było z całą pewnością natrafić na hamulce etyczne w tej dziedzinie. Nie wiadomo było nigdy czy siedzący obok w przedziale asystent uniwersytetu albo dyrektor fabryki, lub też zwykły urzędnik — będzie w powrotnej drodze uczciwie wiozł tylko prezenty dla swoich bliskich, czy też będzie taszczył spęczniałe pakunki dostaw „komisowych”. Zaraza była właściwie powszechna a przyczyny jej jasne. Wynikały one z niskiej podaży w kraju artykułów pierwszej nieraz potrzeby, z częstych zaburzeń w dostawie lub nieodpowiedniej jakości towarów i wreszcie z „planowego” poziomu cen artykułów technicznych.

Nawiasem mówiąc niejedną się na tym dobrze obłowić jeszcze w tych czasach kiedy wyjechać gdziekolwiek było bardzo trudno. Wielu wysokich urzędników czy oficerów sztabowych, którzy znakomicie wykorzystali łatwiej dla nich dostępne wtedy wyjazdy do ZSSR, porobiło „majątki” przywożąc do Polski tanie auta, telewizory, lodówki itd. Czasami preparowano wyjazdy służbowe, które nie były niczym innym jak prywatną przejażdżką po zarobek. Był to okres kiedy na machlojki radców i pułkowników patrzono w komorze celnej przez palce. Mogli oni mieć ze sobą nawet po sto kompletów damskiej bielizny w walizce. Cały ciężar pracy podczas tranzytu spoczywał wtedy tylko na Wojskach Ochrony Pogranicza, a nie na celnikach. Tak działo się przez kilka lat.

Mniej więcej od 1957 r., wobec narastającego ruchu turystycznego i różnych kombinacji celno-przemysłowych, zaczęto zwracać coraz to większą uwagę na charakter bagażu podróżników, a przepisy celne zostały znacznie zaostrzone. Wypowiedź: „mój mąż wyjeżdża za granicę” straciła więc swą siłę wywoływania zazdrości u sąsiadek.

W 1959 podwoje dla emigracji otwarte są w Polsce najszerszej spośród wszystkich państw demokracji ludowej. Rozwijają się też turystyka. Wskaźniki ruchu granicznego przekraczają wszystkie osiągnięcia przedwojenne. Wielu spieszy, aby z tej odwilży skorzystać, „bo nie wiadomo jak długo to wszystko potrwa”. Wśród nich i ja.

Kurtyna się rozsuwa

Dojeżdżamy powoli do Brześcia. Pociąg zbliża się do miasta, w okolicach którego spędziłem kiedyś wiele miesięcy. Wojenna administracja sowiecka, usilnie wówczas rusyfikująca te tereny, nie zdołała wtłoczyć do potocznego języka nowych nazw ulic, wsi i miast. Wszyscy wówczas posługiwali się starymi nazwami polskimi. Teraz jednak nazwa Brest Litowski uderza nie tylko z tabliczek na wagonach kursujących po Polsce. Słyszysz się ją również od polskiej przygranicznej obsługi kolejowej. Pierwsze zetknięcie się z tym brzmieniem nie czyni zbyt dobrego wrażenia na niektórych uczestnikach wycieczki, którzy nigdy nie byli w tych stronach. Każdy jednak szybko przechodzi nad tym do porządku dziennego. Czekają nas sprawy ważniejsze! Zresztą nie pora na sentymenty narodowe. Starczyło po wojnie lat na nocne rodaków rozmowy, które i tak nie przyniosły żadnych zmian. Tym bardziej teraz, w pociągu, w otoczeniu trzeźwych realistów, wiedzących świetnie gdzie i po co jadą — nikt nie dzieli się jakimiś niemodnymi już żałami narodowymi.

Oczekujemy w pewnym napięciu wizyty celników. Niedługo już przekroczymy granice kraju stu narodów. Ale oto i polscy wopięści a za nimi straż celna. Sprawdzanie dokumentów i zawartości niektórych spęczniałych waliz idzie sprawnie. Komuś tam zakwestionowano kapę na łóżko, innemu nieuzasadnioną ilość damskiej bielizny, lecz są to wypadki sporadyczne. Wielu, którym udaje się w ogóle nie otwierać walizek do kontroli, oddycha z ulgą, lecz trzeba jeszcze poczekać na ceremonię sowiecką.

Pociąg wjeżdża w pas graniczny. Widać szeroki zaorany pas troskliwie zabronowanej ziemi. Druty kolczaste, drewniane wieże obserwacyjne, przypominają obozy odosobnienia i są dopełnieniem groźnawej scenerii. Most na Bugu — silnie strzeżony. W pobliżu widać teren zakwaterowania jakiejś sowieckiej jednostki ochrony pogranicza. Kilka baraków, ubita ziemia placu przed barakiem z wbitymi palikami drążków gimnastycznych. Kręcący się żołnierze. Wszystko zgrabnie otoczone drutem kolczastym.

Pociąg powoli posuwa się naprzód. Pod nasypem kolejowym stoi jakiś żołnierz i obserwuje każdy wagon od dołu. Po chwili zatrzymujemy się. Następuje obstawienie całego składu pociągu przez żołnierzy trzymających karabiny z nałożonymi bagnetami. Wycieczkowicze, którzy po raz pierwszy stykają się z tym rytuałem, wymieniają między sobą krótkie znaczące spojrzenia. Wszystko co ich otacza nosi już zupełnie inny charakter niż w kraju. Czujemy się trochę obco. Uderzają nas przede wszystkim twarze żołnierzy. Surowe, jasne, płaskie. Krępe postacie. Szerocy w barach, przesadnie ściągnięci pa-

sami — spoglądają nieufnie. Właściwie trudno nazwać to spojrzeniem. Nigdy jakoś nie patrzą dłużej prosto w oczy. Rzadko który uśmiechnie się. Są oficjalni, trzymają się z rezerwą. Sprawiają wrażenie świetnie wytresowanych konwojentów i kiedy obserwuje się jak sprawnie ustawiają się po jednym z każdej strony, na początku i końcu naszego pociągu, trzymając karabiny przy nodze, trudno oprzeć się przeświadczeniu, że tak samo mniej więcej wyglądała ta procedura przy formowaniu zestawów transportujących więźniów z Małopolski w 1940 r. Ktokolwiek jest nieco bardziej wyczulony na tę myśliwską *zaprawkę* sowieckich ochranników, otrząsa się na myśl: „a co by to było, gdyby nas tak nie wypuszczono z powrotem?”. Jednak myśl ta nie trwa dłużej niż oka mgnienie. Życie biegnie naprzód i trzeba za nim podążać. Niech sobie oni tam będą jacy chcą, ale turystyka to jednak piękna rzecz. A celem naszym Moskwa, stolica Kraju Rad. Cóż z tego, że w czasie przejazdu przez pas graniczny nie wolno otwierać okien wagonu? Cóż z tego, że starszy *lejttnant* sprawdzający, a właściwie odbierający w wagonach paszporty, patrzy na każdego z nas jak na potencjalnego przestępcę? Co to może mieć za znaczenie, że nie wolno wychodzić przez kilkanaście minut z przedziału, lub że żołnierz dokładnie obmacuje i podnosi siedzenia sprawdzając czy nie ma w wagonie kogoś ponad stan liczebny albo czy nie wieziemy do ZSSR broni czy czort tam wie czego. Ważne jest tylko to, że oderwaliśmy się teraz od kołowrotu codziennych zajęć i czeka nas przygoda. Nastrój dalekiej i ciekawej podróży wchłania bez żadnej szkody dla siebie nawet najbardziej nieprzyjemne chwilowe wrażenia.

W przedsiönku ZSSR

Po kilku minutach wjeżdżamy na peron dworca Brest Litowski. Nie przypominam już sobie dokładnie jak wyglądał stary dworzec w Brześciu. Nowy jest na pewno bardziej okazały. Brak mu oczywiście strzelistości i lekkości wielu nowoczesnych dworców europejskich. Architektura jego jest ciężka. Jednak nawet w jej surowości i sztampie, charakteryzującej całe spieszne budownictwo sowieckie, znać wiele staranności. Nie jest to już codzienna potiomkinowska fasadowość dziesiątków oglądanych potem w głębi terytorium ZSSR dworców i bloków mieszkalnych o często skandalicznie zapuszczonych zapleczach. Tutaj urządzenia wewnętrzne, mimo dużego ruchu pasażerów, działają sprawnie. Czuje się surowy rygor pracy i troskę o wywołanie jak najlepszego wrażenia.

W budynku stacyjnym jest czysto, w przestronnych salach i ubikacjach widać białe czepek sprzątaczek. Tragarze noszą białe fartuchy. Funkcjonariusze kolejowi są schludnie ubrani. Porządek jest może nawet w pewnym sensie sztuczny, ale panuje

niepodzielnie. Brześć to przecież wielkie wrota w głąb kraju, nic też dziwnego, że przy każdych drzwiach stoją jacyś mundurowi, a w licznych pomieszczeniach dworca kręcą się osobnicy o znudzonych twarzach, nie sprawiający wrażenia pasażerów.

Na piętrze, w jednym ze skrzydeł budynku dworcowego znajduje się hotel przeznaczony tylko dla podróżnych czekających na dość rzadko kursujące pociągi dalekobieżne. Zdaje się, że nie można w nim dostać łóżka dłużej niż na jedną — dwie noce. Pokoje są wieloosobowe i fakt ten stał się powodem tego, że miałem przyjemność bodaj pierwszy raz w życiu nocować w jednym pokoju z autentycznym kołchoźnikiem. Jest stary, brudny, przychodzi późno w nocy kiedy już leżę w łóżku. Ściąga powoli buty i składa na nich brudne onuce. Kwaśny zapach unosi się w powietrzu. Tracę szybko ciekawość turysty i zasypiam.

Z rana przyglądam się lepiej — w świetle dziennym — umeblowaniu pokoju. Pluszowa sofa z lustrem i tanie krzesła gięte przypominają smutną secesję. Nie pamiętam takiego umeblowania nawet z okresu własnego dzieciństwa w Polsce. Rozglądam się później po korytarzu. Odnoszę wrażenie, że pewno i jednoosobowy pokój by się znalazł, gdyby dać łapówkę. Przekonanie to powstaje nieco mechanicznie, bowiem wiem od dawna, jakie zwyczaje panują w sowieckich instytucjach użyteczności publicznej, gdzie często wywiesza się tabliczki „wszystko zajęte”. Wystarczy jednak, aby na horyzoncie pojawił się jakiś butny *pseudonaczelnik* a zazwyczaj natychmiast znajduje się i taka rzecz jak wolny pokój w hotelu. Często z tej metody nachalno-terrorystycznej korzystali w dawniejszych nieco czasach (a może i dziś?) różnego autoramentu hochsztaplerzy. Przeważnie zaś ci, którzy umieli nadać swej postaci wyraz *puszczej ważności*, działającej nieraz bardziej sugestywnie niż legitymacja służbowa. Do rekwizytów należały w tych scenach: wielka futrzana czapa czy półkożuszek, wypchana teka, tubalny głos i ocean tupetu.

O typowości takiego zachowania świadczy najlepiej fakt, że opisy podobnych scen weszły nawet do literatury. Przypominam sobie, że kilka lat temu opowiadano w Warszawie o istnieniu w jednym z parków leningradzkich specjalnie wydzielonego terenu dla spacerów wyższych funkcjonariuszy Gorkomu (miejskiego komitetu partii) i równorzędnych, wraz z rodzinami. Nie chciałem temu wtedy wierzyć, lecz oglądając teraz twarze niektórych obywateli i przywołując w pamięci różne opisy życia sowieckiego dochodzę do wniosku, że był to pewnie zwykły obrazek z codziennego życia.

Stojąc zamyślony w tym ludnym przedsiönku ZSSR, patrzę niewidzącymi oczami na mijające mnie na korytarzu hotelowym korpulentne, władcze pokojówki i rozważam ten problem pochodzenia zła. Dlaczego szyld głosi „równość”, a kulisy każdej dziedziny życia w ZSSR są tak skomplikowane i wielopiętrowe. Skąd tyle dwulicowości, fałszu i zakłamania?

Kilka wskazówek przed goleniem

Rozważania na ten temat można oczywiście ciągnąć w nieskończoność, każdemu uzasadnieniu przeciwstawić kontr-uzasadnienie. Im więcej się rozmyśla, tym bardziej skomplikowany wydaje się każdy problem życia sowieckiego. Zdaje się, że trzeba będzie zastosować wyuczoną w kursie arytmetyki zasadę upraszczania ułamków, inaczej wszystko w ogóle rozplynie się w mgłę jałowego filozofowania. Otrząsam się więc ze wszystkich wysublimowanych skojarzeń, aby bez uprzedzeń przygotować się do dalszego „skoku w ZSSR”.

Trzeba jednak zacząć od czynności stereotypowych. Wchodzę więc do mdlawo pachnącego lokalu fryzjerskiego i kieruję się w stronę fotelu, obok którego stoi młoda, zdrowa dziewczyna o chłopskiej twarzy i podwójnie szerokiej posturze.

— *Brytsja budietie?* — pyta uprzejmie.

— *Da, pożałujsta* — odpowiadam i rozsiadam się wygodnie. W lustrze widać całe wnętrze zakładu. Pracują same kobiety. Rosjanki są rubaszne, bardziej może miłe niż ładne. Odnoszę wrażenie, że w każdej chwili byłyby zdolne zamienić pędzel na łopatę, jak to się mówi: „nie przerywając pieśni na ustach”. Odczuwam to wyraźniej, widząc po chwili tuż przed oczyma zbyt pulchne ręce, które szybko i sprawnie załatwiają się z moim zarostem, chwytając mnie w pewnych momentach zbyt energicznie za nos.

Grzebię przez chwilę w niewielkim pliku asygnat „Banka Sojuza CCP”, wyciągam niepewnie jakiś banknot i żegnam się odprowadzany pogardliwym spojrzeniem dziewczoi, która dłuższą chwilę musiała po goleniu parać się ałunem z moją zbyt — jak na jej rękę i rosyjską brzytwę — delikatną skórą.

Skoro już jednak mowa o fryzjerach, nie od rzeczy będzie dodać, że jest to w ZSSR jeden z lepszych zawodów z gatunku „rzemieślniczych”. Wszystkim *parikmacherom*, których pamiętam z okresu wojny, świetnie się powodziło. Może dlatego, że wszyscy naczelnicy, małego czy większego autoramentu, traktowali często rytuał sprowadzania fryzjera do własnego gabinetu niemal jako jeden z atrybutów władzy, z zadowoleniem wydając w czasie golenia polecenia swym podwładnym. Fryzjerzy umieli przy tym wkradać się w łaski wpływowych towarzyszy i wykorzystywali to później do różnych transakcji pośredniczych. Nie chcę się zabawiać w Rochefoucaulda, układającego mądre powiedzonka, lecz trudno odmówić sobie przyjemności sformułowania spostrzeżenia, że wielu nadętych a prymitywnych kierowników z awansu społecznego traci całą swą pyszność na fotelu fryzjerskim i można ich wtedy do rany przyłożyć.

Jakkolwiek wszyscy fryzjerzy sowieccy pracują w kooperatywach, oficjalnie na głodowych pensjach, to jednak dają sobie nieźle radę. Uświadomiono mnie w kilka dni później, gdy rozmawiałem z niedoszlą kasjerką jakiejś *artieli* fryzjer-

skiej, że działa tu specjalna metoda (jak i w innych sferach usługowych lub handlowych), że tak ją nazwę, „podwójnego dna”. Wprawdzie pensja takiej kasjerki nie przewyższa oficjalnie powiedzmy 600 rubli miesięcznie, jednak faktyczny jej zarobek jest znacznie większy. Przede wszystkim musi ona „trzymać sztamę” z całą załogą zakładu i dlatego może zostać przyjęta do pracy, jak to jest powszechnie stosowane w systemie komunistycznym, tylko przez znajomość i po upewnieniu się, że będzie się nadawać do swej odpowiedzialnej roli. Polega ona na tym, że kasjerka musi często niemal na pamięć znać stan kasy, ponieważ właściwa jej praca polega na księgowaniu, czy też *paragonowaniu* tylko części wpływów kasowych i natychmiastowym odkładaniu do „lewej” kasy pozostałości. Inaczej można by zilustrować ten proces w ten sposób, że fryzjer strzyże jednego klienta dla *artieli*, a drugiego dla siebie, ukrywając przed państwem pewną część swego dochodu. Trudności polegają tylko na umiejętnej ochronie tego proceduru przed inspektorami handlowymi, którzy mogą nieoczekiwanie wpaść do zakładu. Dlatego stan kasy zakładu fryzjerskiego musi się zawsze zgadzać z ilością tzw. paragonów albo kartą pracy fryzjera.

W ten albo zbliżony sposób prosperują wszyscy sowieccy fryzjerzy. Przypuszczam, że w Brześciu także, chociaż tuż obok wiszą na ścianach budynku dworca olbrzymie, ręcznie malowane portrety „ojców” i mądre hasła socjalizmu, który od pewnego czasu szybko przekształca się już w komunizm. Jak widać, gospodarka planowa może być również podwójna, jak każda buchalteria. Miesięczne planowanie ilości usług nie musi się zgadzać z rzeczywistością i jeśli — drogi czytelniku — zetkniesz się gdziekolwiek z sowiecką statystyką, która poda na przykład, że w Związku Radzieckim dziennie goli się w zakładach fryzjerskich 30 milionów obywateli, to możesz śmiało pomnożyć tę liczbę co najmniej przez dwa.

Wódka, szczci i dalsza podróż

Zmierzam z kolei do restauracji dworcowej. Wśród gości przeważają oficerowie wyższych rang. W ogóle dworzec jest pełen oficerów i żołnierzy, jadących na urlopy z Niemiec Wschodnich i Polski w głąb ZSSR lub wracających stamtąd. Przy okazji trzeba dodać, że i później widziałem we wszystkich miastach pełno mundurów na ulicach. Jest to w Rosji codzienny widok.

W oczekiwaniu na dalszy transport wypijają oni baterie butelek piwa. Wielu raczy się obficie wódką, przed obiadem zaś niemal każdy wypija na czczo „setkę” albo i dwie czystej. Weszło to już na stałe do menu narodowego, tak jak i *szczci*, które w wydaniu brzeskim było gęstym, tłustym barszczem z pływającymi, a właściwie leżącymi na dnie talerza dużymi

kawałkami mięsa, o wadze wystarczającej, gdzie indziej do przygotowania chyba całego drugiego dania.

Obsługa sprawna, stoły czyste, kelnerzy ubiorem nie różnią się od europejskich, natomiast kelnerki znacznie odróżniają się i tuszą i ubiorem i fryzurami. Ceny — o ile pamiętam — nośne. Zdaje się, że za 10-15 rubli udaje się wszędzie zjeść pokąsny obłożnościowy obiad. Jeśli idzie o jego smak, to jak powiada rosyjskie przysłowie: *na wkus i cwieta tarawiszczaniet*. Ostatnio modne zrobiły się w lepszych restauracjach frytki, których kilkanaście lat temu nie znano jeszcze w Rosji zdaje się wcale. Podano mi je więc niemal z dumą, jako świadectwo wysokiej kategorii tego zakładu gastronomicznego.

A oto znowu jestem na peronie. Sapanie parowozów, biegnący gdzieś z walizkami ludzie, śpiewny, przytłumiony głos kobiety zapowiadający z megafonów: *Grażdanie pasażiry... pojezd nomier...* Mieszmamy się z różnojęzycznym tłumem i nie przyglądając się nawet bliżej jakiejś wsiadającej właśnie do moskiewskiego pociągu delegacji hinduskiej, której członkowie ściągają powszechną uwagę śnieżno-białymi turbanami, misternie uplecionymi nisko nad czekoladowymi czołami, zwiedzamy dalej dworzec.

Kupienie biletu kolejowego należy na całym świecie do stosunkowo prostych czynności, jeśli tylko dysponuje się odpowiednią sumą pieniędzy. Nie darmo jednak ktoś nazwał Rosję krajem kontrastów. Niektóre najprostsze sprawy należą tu do najtrudniejszych. Pamiętałem dobrze z opowiadań i własnych obserwacji olbrzymie wędrówki ludów w Rosji sprzed kilkunastu czy kilkadziesiąt lat. Zdarzało się nawet w trudnych latach trzydziestych, że wielu nędzarzy, których cały dobytek zawarty był w kilku brudnych tobołkach, wędrowało jak ptaki: na zimę w ciepłe okolice Środkowej Azji, wiosną z powrotem na Ukrainę lub nad Wołgę. Pamiętam kiedyś w czasie wojny, w jakimś dalekim Baku czy Kiszyniowie, rodzice moi ze współczuciem rozmawiali na stacji z taką przygodnie spotkaną parą starszych ludzi, nie posiadających domu, wytrąconych od tamtego jeszcze czasu z normalnej kolei życia. Przypatrywałem się im obojętnie naiwnymi oczami chłopca z Polski, nie umiającego jeszcze wczuć się w koszmar takiej degradacji społecznej i psychicznej zwykłego uczciwego obywatela. Pamiętam zwierzęce warunki w jakich ci ludzie i my sami podróżowaliśmy koleją przed wybuchem wojny niemiecko-sowieckiej. Miałem jeszcze w oczach dantejskie sceny przed *posadką* („zorganizowane” wpuszczanie pasażerów z budynku dworcowego do wagonów) i wyniosłe miny urzędników za okienkami kas, do których kolejni ustawiali się na kilka, a często na kilkanaście godzin przed odejściem właściwego pociągu.

Wszystko to odżywa na nowo ze szczególną siłą, gdy wchodzę do *biletowego* w Brześciu. Co za dziwna właściwość ludzkiej pamięci! Przecież czasy i ludzie już nie ci sami, a kolejka przed kasą kilkakrotnie mniejsza od dawniej widywanych.

Poza tym posłowie, inwalidzi i turyści mają pierwszeństwo; głosi o tym napis nad okienkiem. Poza tym pomagają te *plackarty*, dodatkowe talony do biletów, *komposirowki*.

Stoję z dala, w niemej dyskusji zgadzając się z sobą samym, że trudno zapewne inaczej uregulować ruch pasażerski i obsługę biletową na tych bezkresnych obszarach, przemierzanych codziennie przez tysiące zestawów kolejowych, w drodze do odległych o tysiące kilometrów węzłów. Nowy za to jest dla mnie widok rozkłęjonego na ścianach dworca rozkładu lotów linii pasażerskiej „Aeroflot”, a zwłaszcza widniejący obok wykaz stałych tras taksówkowych. Przyglądam się temu bliżej. Okazuje się, że za jakieś 150 czy 200 rubli można natychmiast dostać się taksówką z Brześcia do Kijowa. To mi imponuje. W Polsce nie znana jest zorganizowana międzymiastowa obsługa taksówkowa ze stałym cennikiem.

Wieczorem wsiadamy do pociągu Brześć — Kijów. Jedziemy bardzo wygodnie. Tym razem jest to wagon o wnętrzu niepulmanowskim, w którym jednak zgrabnie poustawiane i wypolerowane trzypiętrowe „nary” tworzą coś w rodzaju otwartych przedziałów. Miejsca są ponumerowane i ani jednego pasażera ponad stan nie ma w tym *plackartnom* wagonie. Każdy zajmuje jedną półkę. W dzień wszyscy „górnopiętrowi” siedzą na dolnej. W nocy należy ona do jednego. Za dziesięć rubli dostaje się plombowaną bieliznę pościelową (konduktor zrywa przy mnie plombę pralni). Zwinięte na najwyższych półkach lekkie materace zostają szybko ściągnięte i po kilkunastu minutach konduktor kończy ścielenie najbliższych kilku posłań. Każdy wagon ma dwóch konduktorów, zwanych tu *przewodnikami*, którzy pracują na zmianę, odpoczywając w specjalnym przedziale, w końcu wagonu. Wiele kobiet spełnia tę funkcję. Roboty mają sporo — poza innymi obowiązkami służbowymi roznoszą w metalowych uchwytych szklanki herbaty, zamiatają zgrabnie co kilka godzin małymi miotełkami linoleum i... bardzo głośno nastawiają głośniki radiowe, od których tylko w nocy uszy odpoczywają. Przechodząc do wagonu restauracyjnego dostrzegam po drodze, na swoim i niektórych innych wagonach tabliczki zakładów budowy taboru kolejowego. — Przecież to „Cegielski” z Poznania! — No, no, ależ to poznaniacy dokładnie dostosowali się do wymagań klienta. Wagony ani od zewnątrz, ani wewnątrz nie różnią się najmniejszym szczegółem od typowych wzorów sowieckich. Wiele innych wagonów pochodzi także z fabryk wschodnio-niemieckich, lecz i te wykonane są ściśle wg wzoru zamawiającego. Ciekawe tylko czy ekwiwalenty dewizowe odpowiadają z kolei wymaganiom producentów. Zdaje się, że Rosjanie nie uskarżają się na jakość produkcji Cegielskiego, mimo że — jak się z grubsza orientuję — park kolejowy w Polsce jeszcze sam nie wszystkie dziury powojenne pozalał, dowodem czego niech będzie chociażby fakt, że na wielu mniej uczęszczanych liniach kolejowych w kraju spotyka się często kursujące „towosy”, tzn. wagony towarowo-osobowe

lub inaczej mówiąc zwyczajne wagony towarowe, minimalnie tylko dostosowane do przewozu pasażerów na krótkich dystansach.

Prawdopodobnie też żaden z jadących teraz ze mną Rosjan nie wie, że to właśnie u Cegielskiego, między innymi, znalazła niedawno najsilniejsza ujęcie narastająca od lat niechęć Polaków do nich. Lecz nawet gdyby wiedzieli, nie daliby po sobie niczego poznać. Skórę mają dostatecznie grubą, garbowaną przez dziesiątki lat koniecznością ukrywania swych myśli, przeprowadzania przy lada okazji obłudnej krytyki i samokrytyki oraz nieustannego plenienia „nawyków burżuazyjnych” w sobie i otoczeniu.

Kilka uwag o modzie i ubiorach

Siedząc w staromodnie wyposażonym wagonie restauracyjnym nad jakimś *otbiwnym* próbuję krótko zestawić, całe swoje skromne doświadczenie życiowe i wiedzę o Rosji, z dotychczasowymi obserwacjami. Jak dotąd dostrzegam większy porządek (nie tylko w gospodarce transportowej), który na tle dawnych wspomnień wprost imponuje. Ładu na kolei mogą się nawet Polacy (oczywiście tylko dziś) u Rosjan uczyć. Idzie rzecz jasna o sam porządek i dyscyplinę, a nie o niektóre przestarzałe urządzenia kolejowe. Trudno w ciągu kilkunastu lat gruntownie zmienić smutny i biedny wygląd zewnętrzny większości rosyjskich stacji i rozjazdów, noszących często na sobie carską jeszcze patynę i zalatujących przysłowiowym rosyjskim dziegiem. Nie jest to jeszcze kolej prawdziwie nowoczesna, zelektryfikowana, zautomatyzowana, chociaż widać, że wiele się w tym kierunku robi. Chociaż opóźnienia pociągów ciągle jeszcze mają miejsce, widać że Rosjanie zrobili dużo (biorąc za podstawę stan przedwojenny).

Przyglądam się publice w wagonach, wychodzę na stacjach z pociągu, obserwuję mijane w zwolnionym tempie miasteczka ukraińskie. Nie ulega chyba wątpliwości, że ubrani są i żyją znacznie lepiej. Wykazują więcej dbałości o wygląd zewnętrzny, niż przed laty. Świadczy to chyba o większym uporządkowaniu nie tylko urządzeń użyteczności publicznej, co łatwo rzuca się w oczy, ale i prywatnego życia. Nie widzi się już obdartych i bosych, czego dawniej było mnóstwo. Szarzy ludzie ubrani są teraz na ogół bardzo tanio i zupełnie niegustownie, ale schludnie.

I to spostrzeżenie potwierdziły późniejsze spacerowanie po ulicach różnych miast. Wielu obywateli nadal jeszcze nosi się z żołnierska, czy z bolszewicka, jeśli tak można nazwać modę, która przetrwała bodaj od czasów rewolucji, lecz tych jest znaczna mniejszość. *Gimnastorka* z pasem lub długi płaszcz typu wojskowego znikają więc powoli z cywilnego życia, choć buty z cholewami „w harmonijkę” i granatowe wpuszczane spodnie wykazują silniejszą tendencję przetrwania, tym bardziej że klan

odzieżających się po bolszewicku jest właściwie automatycznie co pewien czas zasilany przez zdemobilizowanych żołnierzy, często korzystających chętnie w cywilu z dawnej odzieży. A więc to, co kiedyś było bolszewickie, dziś jest po prostu wojskowe. Zasada ta dotyczy zdaje się nie tylko mody męskiej.

Na ogół jednak przeważa u mężczyzn odzież konfekcyjna o kroju i kolorze latami nie urozmaicanych i charakterystycznie z marynarska uszytych spodniach, pętających się między kostkami i zbierających kurz z chodników. W niższych warstwach społeczeństwa najbardziej ulubiony jest taki właśnie dwurzędowy garnitur z granatowej czterdziestki czy sześćdziesiątki w paski. Bierut kiedyś pozował do prezydenckiego zdjęcia w ubraniu o takim desenie. Było to mniej więcej trzynaście lat temu. Nieco później Polacy, coraz mocniej poszukujący pod wpływem socjalistycznego wychowania łatwiejszego zarobku poczęli masowo, na własną rękę, wywozić do Rosji takie najtańsze w polskich domach towarowych egzemplarze, aby po natychmiastowym sprzedaniu ich za 600-800 rubli, a więc z stuprocentowym zarobkiem, z kolei ulokować kapitał w „Zorkach” i w ten sposób dodać wartości słabej walucie polskiej, zbyt nisko szacowanej przez Narodowy Bank ZSSR w wymianie zdaje się nie tylko turystycznej.

Wracając do ubiorów, jeszcze mała uwaga, że wśród nakryć głowy u mężczyzn przeważają nadal proletariackie cyklistówki a u kobiet chustki i berety. Jeśli już jakaś pojawi się w kapeluszu, to nie daj Boże. Brak słów i szkoda czasu na opis. Kobiety w ogóle wyglądają bardzo niepozornie. Chodzą w zimie opatulone w szale-chustki i długie watowane palta, co odbiera, czy zakrywa, resztki słabo pielęgnowanych wdzięków. Przeważa typ wiejskiej urody. Patrząc na ich grube rysy, szerokie kości policzkowe i przysłuchując się altowym głosem odnosi się wrażenie, że Rosja jest państwem chłopsko-robotniczym, a nie robotniczo-chłopskim. Zdaje się, że dokładniej potwierdzają to powierzchowne spostrzeżenie analizy statystyk ludności i badania ruchów migracyjnych po rewolucji, oczywiście z uwzględnieniem żniwa czystek. Trudno dziś uwierzyć, że mogła kiedyś na tej ziemi chodzić Anna Karenina. Nie przypuszczam, aby za którąkolwiek z tych na nowo oglądanych a zamkniętych dla mnie twarzy, mogło się kryć podobne bogactwo uroku wewnętrznego. Chociaż, kto wie...? Trudno w ogóle cokolwiek wyczytać z ludzkiego oblicza, a zwłaszcza z nieznajomego. Pozory zbyt często mylą, a Rosjanie nie jeden już raz zaskakiwali opinię światową w sprawach daleko ważniejszych...

Niebaczone zwierzenia w pociągu

Ludzie w pociągu są na ogół bardzo komunikatywni, choć rzadko mówią to, czego „nie należałoby”. Niektóre tematy



po prostu dla nich nie istnieją. Są „czujni”. Pytania w rodzaju: „Jak wam się żyje?”, albo „Czy jesteście zadowoleni”? budzą podejrzenie lub są zbywane półsłówkami. Widocznie sama cena życia nie tak dawno jeszcze była zbyt mała, by teraz wdawać się w jego powierzchowną ocenę z nieznanym cudzoziemcem. Co on rozumie? A poza tym... Beria wprawdzie już nie żyje, ale nigdy nie wiadomo co jeszcze może być. Z tym „nigdy nie wiadomo”... spotykałem się później dość często. Nie przeszkadzało to jednak swobodnie rozmawiać z ludźmi. Jak bodaj nigdy dotąd.

Moi rosyjscy towarzysze podróży umieją być bezpośredni, interesują się sobą, pomagają nawzajem w drobnych czynnościach, tworzą często małe rodziny pociągowe. Jest to jeszcze jeden szczegół odróżniający w podróży wagon sowiecki od jakiegolwiek innego. Może zresztą dlatego, że w wagonie tym spędza się wspólnie często i po parę dni. Tu się je i tu się leży nawet we dnie. Atmosfera musi być bardziej swojska, skoro mężczyźni kręcą się po wagonie w piżamach i pantoflach domowych, a niektóre kobiety wychodzą na małych stacyjkach z pociągu nawet w szlafrokach.

Naprzeciw mnie, w rozpiętym nowym mundurze z błyszczącymi epoletami, siedzi młody oficer. *Starszy lejtnant*, średniego wzrostu, szczupły drobnokościsty blondyn o bujnej czuprynie i inteligentnym wyrazie twarzy. Na kolanach trzyma córeczkę, milutką — może tylko zbyt drobną jak na swój wiek — własną kopię. Dziewczynka widocznie niezbyt prawidłowo się rozwija, wyraz oczu jest nieco za smutny, skóra zbyt przezroczysta, ciągle milczenie — niezbyt naturalne, jak na pięcioletnie dziecko. Bawi się lalką bez entuzjazmu, a ojciec od dłuższego czasu taksuje mnie roztrępnym spojrzeniem.

Nie wiadomo kiedy padają pierwsze słowa, zawiązujące nic naszej rozmowy, w każdym razie punktem zaczepienia jest właśnie stan zdrowia córki. Siedząca obok żona nie bierze właściwie udziału w wymianie zdań, chociaż wyczuwa się w tym milczeniu napiętą uwagę. Rodzice jadą właśnie z miejsca stacjonowania jednostki w NRD do Rosji na urlop i zamierzają na dobre wziąć się teraz za niedomagania córeczki. Pytania o dziecko rozwiązują język ojcu, który w dawnych czasach albo by w ogóle nie chciał ze mną rozmawiać, albo ważyłby podejrzliwie każde słowo przed wypowiedzeniem.

— „Wy z Polski?” — pyta zdawkowo.

— „Tak”.

W wyrazie jego oczu dostrzegam coś, co spotyka się u tych tylko Rosjan, którzy już byli kiedykolwiek za granicą i którym „zagranica” zdecydowanie się spodobała. I to nie tylko od strony zewnętrznej.

— „No i jak wam się żyje?” — uśmiecha się porozumiewawczo.

— „Niczego sobie” — tym razem ja odpowiadam wymijająco.

Rozmawiamy ze sobą chętnie i powoli dowiaduję się, że mam do czynienia z inżynierem łączności. Nie wiem czy mówi prawdę, lecz biorę wszystko za dobrą monetę. Po świetnie przespanej nocy czuję się pogodnie. Dobry posiłek w pociągu też zrobił swoje. Postanawiam zaryzykować „niedozwolony chwyt”, chociaż nie mam właściwie zamiaru badać interlokutorów w podróży.

— „A cóż to, nie możecie się zdemobilizować. — Czytałem że ilość sowieckich sił zbrojnych w NRD znacznie się ostatnio zmniejsza”.

Pytanie to bynajmniej nie wydaje mu się dziwne. Przez moment waży tylko coś w myślach.

— Tak, chciałoby się — powiada niezdecydowanie. — Cóż z tego kiedy nie puszczają. Potem dodaje ironicznie: zmniejsza, hm! Ona się tam nic nie zmniejsza. Nie chciałbym tam być, gdyby do czegoś doszło.

Przysłuchujący się od pewnego czasu rozmowie kolega-oficer też nie zdradza wcale ochoty do wojaczki, ale w tym momencie czyni cichą uwagę: — Kola, przestań!

Obaj gorzkawo się uśmiechają.

Nie! Daję słowo, takich oficerów sowieckich jeszcze nie spotykałem. Cóż to jest? Wiedziałem z lektury różnych materiałów zachodnich, krążących cicho po Warszawie w oryginałach czy przedrukach, a nawet drukowanych oficjalnie, że podobno istnieje w Rosji nawet w najwyższych organach władzy dość silna warstwa przeciwników wojny. Są to właśnie — podobno — ci, którzy bezpośrednio zaznali na froncie wszystkich jej przyjemności. Nie przypuszczałem jednak, że przypadek pozwoli mi od razu na wstępie natrafić na taką młodzież. Żaden z moich rozmówców nie mógł mieć więcej niż trzydzieści lat. Czułem, że całkiem po ludzku obawiali się tego, co może się stać z nimi samymi, gdyby doszło do rozpętania wojny. Dziwiła mnie tylko ich niekontrolowana szczerość wobec nieznanego.

Kiedy po paru godzinach spotkałem przypadkowo tego bystrego wojaka koło szatni w olbrzymiej restauracji dworca kijowskiego, już z dala od zniewalającej do wynurzeń atmosfery pociągowej — spojrzał na mnie zażenowany i tylko lekko się uśmiechnął, z wewnętrznym dystansem.

Kijów. z okien autokaru

Ale dla mnie już istniał tylko ruch wielkiej metropolii ukraińskiej, gwar tysięcznego tłumu, nieznamy oddech szerokich ulic Kijowa. Skoro mam przed sobą tyle czasu, należy to rozsądnie wykorzystać, tym bardziej, że znajomość języka pozwala mi się jak najswobodniej poruszać po obcym terenie, wykorzystując wszelkie środki lokomocji.

Od czego tylko zacząć? Podchodzę do dużej tablicy, opartej o błyszczący autobus, stojący na placu przydworcowym. Co kilkadziesiąt minut pojazd ten — jak się okazuje — odprawia się w parogodzinny rejs po mieście. Można więc za 5 rubli połączyć przyjemne z pożytecznym, a nie szwendać się bez celu po ulicach, nie wiedząc co warto jest obejrzeć a co nie. Miejscowy oddział państwowego towarzystwa turystycznego zatroszczył się o uprzyjemnienie pasażerom tranzytowym długich godzin oczekiwania w czasie przesiadek i ulepszając wzory zachodnie przybliżył autokary *city tours* do samego dworca kolejowego. Według kursu „prywatnego” przeliczaliśmy wtedy w Polsce 1 rubel na 2 złote. Jest to więc wydatek zaledwie dziesięciu złotych, czyli około pół nowego franka francuskiego lub — jak kto woli — dziesięciu centów amerykańskich. Tanio jak barszcz. Wskakuję rażno do wnętrza a za mną kilku innych podobnych podróżnych. Wóz szybko się zappełnia i kiedy miejsce czołowe po przeciwniej stronie kierowcy zajmuje jakaś niepozorna dziewczyna — ruszamy.

Szybko wyjaśniają się zasadnicze sprawy: autokar jest ostatnim osiągnięciem lwowskich zakładów samochodowych, a dziewczyna — *guide* m. Ma chyba 23 lata i przyjemny uśmiech. Jest studentką i zwraca się przez mikrofon do uczestników w najczystszej mowie rosyjskiej, syjąc jak z rękawa datami i faktami. Ta metoda, merytorycznie słuszną i na całym świecie jednakową, zawsze mnie jednak usypia i nie zostawia śladów w pamięci. Słucham więc jednym uchem, przełączając się na własny tok percepcji zmieniających się obrazów, tym bardziej że nic mnie to nie obchodzi jaki książę ożenił się z jaką księżniczką i od kiedy datuje się „przyjaźń” ukraińsko-wielkorosyjska. Wiem także, że po godzinie zapomnę kiedy zbudowano Pieczerską Ławrę i ile kilogramów złota władza sowiecka przeznaczyła ostatnio na odnowienie kilkunastu kopuł tego klasztoru. Szybkość wtłaczania wiedzy historycznej do mojego mózgu musiała zawsze być znacznie mniejsza, by była skuteczna. Więcej zatem obserwuję, niż słucham tego co mówi przewodniczka.

Kijów mimo wszystkich zasłyszanych o jego obecnej piękności pochwałach, robi w oczach Europejczyka wrażenie miasta że tak powiem nieco prymitywnego. Kreszczatik — główna ulica, owszem, nie jest brzydki, ale socrealistyczna jego architektura zbyt przypomina warszawski MDM, bym mógł znaleźć tam szczególnie powód do zachwytów. Miasto nie jest zbyt urozmaicone w swej urbanistyce, promenada zaś nosi jeszcze zbyt ciężki charakter, jak na nowoczesną architekturę. Podobno była w czasie wojny zburzona, tym bardziej więc uderza sztampowość płaskich fasad i lichego tynku, mimo stosowania tu i ówdzie białego kamienia w elewacjach. Godne uwagi tylko jest, zwłaszcza porównując ją z Marszałkowską, że stoi już od dawna — podczas gdy pryncypalna w Warszawie jeszcze nie została całkowicie odbudowana.

Wystawy sklepowe na tej ulicy są przeolbrzymie. Szkoda, że ich wielkość jest odwrotnie proporcjonalna do asortymentu i jakości większości wystawionych towarów. Oprawa i dekoracje tych wystaw noszą jednak wyraźne ślady starań o monumentalność. Te tendencje zresztą łatwo dostrzec w całym budownictwie sowieckim. Powierzchnia szyb wystawowych, rozmiary napisów nad nimi — wszystko to budzi szacunek, ale też — po dokładniejszym przyjrzeniu — wrażenie, że góra urodziła mysz.

W pierwszej chwili odnosi się wrażenie, jakby wszystkiego było w sklepach pod dostatkiem, później jednak okazuje się, że te na przykład góry puszek konserw za szybko to same ogórki, albo pieprz, albo mleko skondensowane. Taką hańdę misternie ustawionych puszek potrafi się trzymać tygodniami bez zmian i odkurzania, co udało się dostrzec w wielu sklepach. Większości dekoracji wystawowych daleko do arcyzmu, z jakim urządza się witryny chociażby gdzieś w Polsce. Najlepiej jeszcze wyglądały barwne wystawy nylonowej bielizny damskiej, a to dlatego, że w tym czasie sklepy Kijowa zaopatrzone były wyłącznie w bieliznę wschodnoniemiecką o przeciętnym europejskim wyglądzie i jakości.

Centralne ulice nie są, dzięki obecności wielkich magazynów tak szare i bezbarwne jak pozostałe, chociaż i one pozabawione są na znacznych odcinkach reklam. Nie pamiętam już aktualnego stanowiska CK KPZR w sprawie szkodliwości czy pożytku oddziaływania reklamy handlowej na świadomość obywateli, jednak dostrzegłem wtedy, że ilość neonów w miastach sowieckich znacznie się zwiększyła. Wprawdzie reklamy te są martwe i głoszą skromnie a beznamietnie, że tu na przykład sprzedaje się „obuwie”, a tam „mięso”, albo opiewają w żółtoniebieskich napisach jakieś truizmy w rodzaju: „Obywatele, korzystajcie z transportu taksówkowego” (największy bodaj neon w Kijowie) — jednak obawiam się, że bez nich panowałby wieczorami jeszcze większy smutek na ulicach Kijowa, mimo że wprowadzono już tu, jak i w wielu innych miastach sowieckich, światła jarzeniowe w większym zakresie niż ta modyfikacja postępuje w wielu miastach zachodnich, nie mówiąc już o tym, że Warszawa absolutnie nie może startować w tej konkurencji. Mimo to, oczywiście Kijów jest wieczorem jeszcze ciemny ze względu na słabe oświetlenie wystaw i ogólnie małą ilość reklam.

Co tyczy się reklamy, to najmniejszy zdaje się wpływ na jej jakość i nasilenie mają aktualne dyrektywy ideologiczne partii. Główna przyczyna tkwi w podaży towarów. Najkrócej można by całe zagadnienie zdefiniować w ten sposób, że reklamy handlowe jest w Rosji mało dlatego, że jej w ogóle nie potrzeba. I tak klienci wszystko co dobre od razu rozchwytyją.

Uniwersmagi kijowskie i kilka powiedzonek rosyjskich

Chodząc po przepelnionych, kilku zaledwie, kijowskich *uniwersmagach* (domach towarowych) nie tylko stwierdza się, że ilość kupujących — a właściwie oglądających — jest daleko większa niż w domach towarowych na Zachodzie, lecz odczuwa się jeszcze wśród tłumu niezdrowe napięcie, by zdążyć uchwycić jakiś lepszy towar w momencie gdy „wyrzuca” go na lady. Ponieważ moment ten nie bywa, lub bywa tylko dyskretnie anonsovany (znajomym), stąd weszło w zwyczaj wchodzenie do sklepu nawet wtedy, gdy nic się nie ma do kupienia, zwłaszcza że wystawy nigdy nie informują ani o możliwości wyboru, ani o aktualnym zaopatrzeniu sklepu.

Znudzeni nieustannymi pytaniami klientów, sprzedawcy przy stoiskach, gdzie oczekuje się jakiegoś deficytowego towaru, są nieuprzejmi a nawet często opryskliwi. Weszła już dawno do żargonu ich stereotypowa odpowiedź *niet i nie znam kogda budziet*. Ostatnio udało się odpowiednim władzom osiągnąć więcej uprzejmości i kultury handlowej w wielkich pokazowych sklepach, lecz i to raczej w działach sprzedaży takich towarów, na które nie ma większego zapotrzebowania, a miesięczny „plan sprzedaży” zmusza do ludzkiego traktowania klientów, by chociaż nie odstraszać ich od kupna. Przy stoiskach gdzie jest większy tłok, często nie udaje się dokładniej przyjrzeć, czy przymierzyć kupowanego towaru, a jakikolwiek grymas lub niezdecydowanie klienta może łatwo wywołać reakcję sprzedawcy: *towariszcz nie zadsierżywajcie*. Sprzedawca sprząta wtedy towar sprzed nosa i zwraca się do następnego z tłumu, oblegających ladę.

Sklepów w Kijowie jest nadal o wiele za mało niż dyktuje to popyt. Obserwuje się jednak, że ludzie mają wyraźnie dość produkcji rodzimej. Paradoxy dochodzą tu tak daleko, że często wystarczy aby cicha fama uprzedziła, iż tu a tu „będą dawać” za dwa dni jakieś zagraniczne artykuły przemysłowe, aby krążący po sklepie w oczekiwaniu na moment pojawienia się towaru spod lady, natychmiast wykupili cały zapas nieomal na ślepo. Słowo „zagraniczny” zawiera całą charakterystykę towaru i działa magicznie. Widziałem taką szturmującą stoisko kolejkę rozgorączkowanych ludzi, wyrrywających sobie z rąk jakieś modne sweterki, bez zwracania uwagi na ich rozmiar i kolor. Bo po co. Nawet jeśli okaże się, że jest za duży lub za mały to zawsze jeszcze będzie go można odsprzedać z zarobkiem, mimo że jest to już rok 1959 i zaopatrzenie rynku znacznie się poprawiło. Niestety nie zawsze jakościowo.

Jakie więc ogólniejsze zjawiska społeczne wywołują te fakty, jeśli wolno je podnieść do takiej rangi. Przede wszystkim ukrywanie dobrych towarów pod ładami, w magazynach przysklepowych i w hurtowniach sprzyja umocnieniu w Rosji dziwnej zakulisowej spójni społecznej, którą sami Rosjanie

krótko i celnie zdefiniowali już dawno w zdaniu: *Blat wysz Sownarkoma*, albo w innym: *Nie imiej sto rublej, no imiej sto druziej*.

Nic więc dziwnego, że tak silnie rozwinięta jest spekulacja, W wielu wypadkach idzie tu zresztą nie o chęć dopomożenia sobie lewymi dochodami, a o zwyczajne zaopatrzenie się w wcale nie wyszukaną odzież, lub jakąś część wyposażenia mieszkania. Dlatego z reguły każda gospodyni domowa, a często i wychodzący do pracy mąż, zaopatrują się specjalnie w pieniądze na drogę i w opakowanie (papieru w sklepach używa się bardzo mało) na wypadek, jeśli po drodze w jakimś sklepie będą coś „dawać”. Często mogą to być przedmioty zupełnie w danym momencie nie potrzebne.

Co trzeba zrobić, żeby uszyć sobie ubranie

Mechanizm takich niepotrzebnych zakupów wyjaśniono mi później na prostym przykładzie. Przypuśćmy, że przechodzisz akurat koło sklepu tekstylnego i dostrzeżasz, że przy jednym ze stoisk zaczyna się podejrzanie gorączkowy ruch. Należy tam natychmiast podejść. Okazuje się na przykład, że sprzedają od dwóch minut podszewkę satynową „niezłej jakości”. Wprawdzie jesteś zaopatrzony w ubrania i nie zamierzasz w najbliższym czasie szyc sobie nowego garnituru, ale nawet jeśli nie jesteś spekulantem musisz natychmiast ustawić się w kolejkę. Dlaczego? Bo jeśli za rok zechcesz uszyć nowe ubranie, to okaże się, że akurat nie ma a sklepach tej właśnie podszewki, na której ci zależy. To samo powtarza się za jakiś czas z włosiem, nićmi, guzikami itd. Słowem często jesteś zmuszony kupować to co jest, a nie to czego w danym momencie potrzebujesz i co ci odpowiada. Na przykład lakierki balowe zawsze dostaniesz, a na zwykły dobry pantofel trzeba czekać tygodniami, jeśli nie miesiącami.

Dalej. Chroniczny niedosyt rynku i zbyt powolne polepszanie jakości towarów czynią właściwie nieco problematycznymi obniżki cen szumnie anonsovane przez rząd... Zazwyczaj w praktyce dotyczą one przedmiotów stanowiących od dawna balast magazynów. Mówiono mi też, że na poszukiwanych towarach wystarczy zmienić w fabryce nalepkę opiewającą, że jest to na przykład drugi gatunek, na pierwszy, aby podnieść nieoficjalnie ich cenę. Zresztą klient od dawna już z niedowierzaniem odnosi się do tej skali znakowania towarów: *wyższyj sort, pierwiej sort, wtaroj sort* i posługuje się własną oceną, porównując często rodzimą produkcję z jakością towarów zagranicznych w sklepach komisowych.

Odwiedzanie sklepów komisowych należy do ulubionych czynności Rosjan. Kilka takich sklepów znajduje się oczywiście także w Kijowie. Jedni obywatele sprzedają tam na przykład kupony materiału, zwane *otresami*, otrzymywane w pacz-

kach z zagranicy, inni je kupują, dopłacając 10%. Poza tym można tam nabyć lepszą odzież i niektóre artykuły techniczne. Sklepy te wyposażone są znacznie gorzej niż w Polsce. Dobre rzeczy są natychmiast wykupywane, a często ekspedient — oceniający zbyt nisko nabywany towar — chowa go od razu po zakupieniu w celu pokątnej sprzedaży.

Proceder taki jest szczególnie rozwinięty w tzw. *skupocznym*, zwłaszcza w większych miastach odwiedzanych przez turystów.

Pierwsze kontakty z prywatną inicjatywą w ZSSR

Skupocznaja jest to wynalazek, którego zadaniem miało być usprawnienie zaopatrzenia rynku z ominięciem spekulantów. Chodziło o zorganizowanie oficjalnego skupowania przedmiotów niepotrzebnych jednym obywatelom i odsprzedawanie ich innym, aby wytrącić spekulantom broń z ręki. Tymczasem życie pokazało, że nawet w Grenadzie zaraza. Kiedy naiwny turysta, nie otrzymujący wystarczającego dla swych potrzeb przydziału dewiz i nie mający prawa przywiezienia z Polski więcej niż 500 zł. (resztę trzeba złożyć w depozycie na granicy), które zresztą wpisuje mu się do paszportu i które musi okazać na granicy przy wyjeździe — zechce sprzedać w potrzebie jakąś część swej garderoby lub zegarek w *skupocznaj*, to proponuje mu się beczelnie niską cenę, znacznie niższą od możliwej do osiągnięcia. Jeśli zna wartość i zrezygnowany odwróci się od kontuaru aby odejść, to okaże się że w tym samym lokalu, dwa kroki dalej, natrafi na spekulanta, proponującego mu z miejsca lepszą cenę.

Nie budzi wątpliwości, że ta „prywatna inicjatywa” pracuje w ścisłym kontakcie z kierownikiem państwowego sklepu i zadaniem jego jest po pierwsze nie wypuścić z rąk „okazji”, a po drugie starać się nieznacznie tylko polepszyć ofertę oficjalną, podaną przed chwilą zza lady, aby nie zepsuć dobrego interesu.

Jeśli na ulicach Kijowa i innych większych miast widuje się jednak lepiej, a czasem zupełnie gustownie odzianych ludzi to niewątpliwie jest to zasługa tych opisanych małych i wielkich kanałów ukrytego zaopatrzenia, ssących po cichu zagranicę, albo zamkniętych dla szerokiej publiczności sklepów *spec* — zaopatrzenia przeznaczonych dla ministrów, działaczy, wojska, wywiadu itd.

Można bez żadnej przesady powiedzieć, że jeśli pewnego dnia przestanie się w ogóle pojawiać w sklepach jakiś artykuł, to mimo to uda się go dostać w jednym z sklepów „za firankami” *po blatu*.

W czasie wojny w miastach przeżywających głód można było zawsze zjeść tanio dobry obiad w jednej z „zamkniętych”

stołówek, zaopatrujących tę część aparatu administracyjnego, na której władzom szczególnie zależało. Ten system istnieje chyba nadal i zdaje się dotyczy głównie *wierchuszki* partyjnej, wojska i bezpieczeństwa, które w ten sposób mogą zostać w każdej chwili wyłączone spod wpływu jakichkolwiek perturbacji rynkowych na zasadach zaopatrzenia wojennego. Ale spekulacja i złodziejstwo i tu znajdują dostęp.

Sklepy za firankami były w Polsce doskonale znane i nie jedną stronicę poświęcono im swego czasu w „Po Prostu” i innych czasopismach. W wyniku tego znacznie zmniejszyła się ich ilość. Wątpię jednak, aby władze sowieckie uznały za stosowne cokolwiek zmienić w tej metodzie zaopatrzenia, której korzenie tkwią gdzieś chyba jeszcze w zamierzchłych czasach „komunizmu wojennego”.

Nic więc dziwnego, że każda gospodyni rosyjska ma więcej zaufania do instytucji bardziej powszechnej. Powiedziałbym nawet: najbardziej popularnej w każdym osiedlu sowieckim, czy będzie to stacja kubańska, czy Uzbekistan lub Krąg Polarny. Instytucja ta, to bazar. Dawniej było to wielkie słowo. Propozycja *pajdiom na bazar* brzmiała niemal jak zaproszenie do kina, tyle kryło się w tym spacerze możliwości nowych wrażeń i zaspokojenia głodnych różnorodnego towaru oczu.

Bazar stanowił i, z wyjątkiem chyba metropolii, stanowi nadal nieoficjalne centrum miasta zwłaszcza mniejszego. Jest to zwyczajny rynek, z reguły brudnawy, a po deszczu piekielnie zablocony (nie widziałem w Rosji bazaru bez błota, nawet w tych dużych miastach, gdzie znaczna jego część była wybetonowana). Jednak pomimo paskudnej zazwyczaj szaty zewnętrznej, gdzieś tam przypominającej może nawet dzieła malarzy rosyjskich z dziewiętnastego wieku, ten kawałek ziemi jest ulubionym przez gospodynie miejscem odwiedzin. Każda szanująca się Rosjanka podąża tam raz na kilka dni, aby mimo coraz lepiej funkcjonującej sieci sklepów spożywczych, ba — nawet samoobsługowych — zaopatrzyć się tam w świeże mięso, nabiał etc. Osobiście uważam, po obejrzeniu wielu sklepów sowieckich, że jest to w niektórych miastach może już przesadne. Jednak chodzą one tam jakby siłą przyzwyczajenia a może „siłą niedowierzania” w zaopatrzenie państwowe. Na bazarze można się potargować, wybrać, przebrać, no i wszystko zawsze jest świeże. Sprzedawcy, to chłopię-kolchoźnicy albo straganiarze z prawdziwych lub fałszywych *artielei*, którzy jednak w wielu wypadkach dysponują towarami niedostępnymi chwilowo w sklepach państwowych.

Główną jednak siłą atrakcyjną bazaru jest nie jego część żywnościowa, a właściwa *tolkucska*, to znaczy miejsce, gdzie sprzedaje się *wieszczy* (rzeczy). *Tolkucska* znajduje się zazwyczaj koło straganów żywnościowych, jednak czasem też w innych miejscach. Tu prywatny handel osiąga pełnię swego skarłowaciałego, karykaturalnego wyrazu. Tu miesza się nędza z bogactwem, tu widać część duszy narodu.

Czegoż tam kupić nie można! Pogięty rower sprzed dzieściu lat, zagraniczny zegarek, obrazki świętych i szmaty, szmaty, szmaty. Wszyscy tłoczą się (stąd nazwa) i powoli przechodzą od grupy do grupy. Większość stojących lub spacerujących sprzedawców to spekulanci, którzy skupują od sąsiadów i przygodnych znajomych stare lub nowe części garderoby, aby je tu odsprzedać z zyskiem. Często można też nabyć tu towar paserski. Między różnym *barachlom* trafi się czasem jakaś ładna i oryginalna rzecz (oczywiście jak na poziom sowiecki). Szybko wtedy zbierają się wokół sprzedawcy klienci, nerwowo wywracają rzecz na wszystkie strony i głośno wskazują na istniejące i nieistniejące braki. Wyrывая sobie przedmiot z rąk próbują stargować cenę. Gdy atmosfera się za bardzo zagęszcza wtedy jeden z klientów desperackim ruchem wyciąga z kieszeni czerwońce i odlicza je głośno na rękę sprzedawcy, trzymając już mocno pod pachą towar, aby ktoś go nie ubiegł w nabyciu „okazji”.

Motoryzacja i co z niej wynika.

W Kijowie bazaru nie oglądałem. Zainteresowało mnie natomiast jak też wygląda w stolicy Ukrainy możliwość nabywania przez obywatela pojazdu mechanicznego. Wiedzę w tej materii uzupełniłem później z opowiadań różnych posiadaczy motocykli i samochodów. Trzeba bowiem podkreślić, że w Rosji, tak jak w całym cywilizowanym świecie, posiadanie samochodu jest także marzeniem wielu ludzi.

Otóż wydaje się, że w chęci posiadania samochodu kryje się tu więcej potrzeby odgródzenia się od kolektywnego przewożenia pasażerów, niż to może mieć miejsce gdziekolwiek na Zachodzie. Transport zbiorowy jest tu bowiem dużo gorzej zorganizowany i w wielu wypadkach nie zabezpiecza potrzeb, dowodem czego są choćby makabrycznie nadal przepełnione trolejbusy, tramwaje i autobusy w godzinach szczytu a nawet poza nimi.

Poza tym auto w Rosji znakomicie rozwiązuje sprawę korzystania z hotelu, na przykład w czasie jakiegokolwiek urlopu. Podobno wielu posiadaczy wozów z konieczności śpi w nich na wyjazdach urlopowych, jeśli są one krótkie, bo otrzymanie miejsca w hotelu jest dla przeciętnego śmiertelnika niemożliwe. Hoteli jest bardzo mało i z reguły miejsc w nich nie ma lub są *zabroniowane* (zarezerwowane). Poprzednio wspominałem już o tym w opisie hotelu brzeskiego, jednak z tamtej relacji trudno jeszcze otrzymać pełne wyobrażenie co to znaczy dostać się w Rosji do hotelu, nie będąc turystą lub pracownikiem delegowanym służbowo.

Drzwi do numeru hotelowego mogą, otworzyć 1) *blat*, 2) łapówka, 3) zlecenie władzy wyższej. Normalnie telefoniczne zamówienie pokoju na kilka dni z góry dokonane „służbowo”

z innego miasta może się udać, lecz nie daje to wcale pewności że po przyjeździe zostanie się u portiera klucz bez żadnych przeszkód. Dlatego też wyjeżdżający prywatnie automobilista, jeśli nie jest zagranicznym turystą, ma minimalne szanse zwykłego odpoczynku po całodiennej jeździe, chyba że zanočuje prywatnie. Tak więc samochód dostarczyć mu może nie być jakich udogodnień w tej sytuacji. Pytanie tylko jak się własnego wozu dochrapać.

W Kijowie obszedłem mnóstwo ulic i pytałem wielu ludzi po drodze gdzie jest sklep samochodowy. Wszyscy podawali jeden i ten sam adres. Jednak nawet i tam nie dostrzegłem zwykłej wystawy samochodowej, ani stojącego w sklepie chociażby „wzoru nie na sprzedaż”. Sklepy z wystawionymi samochodami (salony) są w ogóle w Rosji nie znane.

W centralnym (i jedynym) kijowskim sklepie sprzętu motowego (nie wliczam tu zwykłych stoisk tego typu w uniwersalnym) znalazłem tylko dwa skutery i jeden motor motocyklowy „Iża”, zdaje się 350 ccm. Nie pamiętam dokładnie nazwy tych typów skuterów, za to wiem dokładnie, że jeden z nich jest wierną kopią „Vespy”, a drugi — bodaj „Lohnera” (ten ostatni z elektrycznym starterem). Z tym, że oba były znacznie gorzej polakierowane i wykończone od macierzystych wzorów.

No dobrze, a gdzie są samochody? Na samochód trzeba się zapisać i czekać w kolejce co najmniej rok, oczywiście jeśli wszystko dobrze pójdzie. Przedtem jeszcze trzeba jednak w *oblastnoy* czy *gorodskoj* *kantorie* złożyć zaświadczenie, że się nie miało dawniej własnego samochodu. Wybór wozów oczywiście jest niewielki: albo „Moskowicz” za 25.000 rb., albo „Wołga” za 40.000 rb (nie obejdzie się bez dodatkowej łapówki!). Znam człowieka, który chciał mieć „Wołgę” bez czekania i oczywiście z miejsca ją dostał ze składu, ale za 60.000. Poznałem też innego, który chciał mieć najnowszą lodówkę marki „Oka” i oczywiście też ją dostał prosto z „bazy” za taryfową dopłatą łapówkową — 500 rb. Inni obywatele mogą „zapisać się” w *uniwersalnym* na kolejkę i miesiącami biegać z wywieszonymi językami, dowiadując się czy „już przyszedł” albo „kiedy będą”? Rozmawiałem z takimi biedniejszymi.

Co się dzieje dalej, gdy szczęśliwy nabywca samochodu wprowadzi go już ze składu? Dalej sprawa jest prosta. Ubezpieczenie wozu jest nieobowiązkowe, a benzyny w bród, ile tylko dusza zapagnie. Oczywiście kradzionej, bo znalezienie w Rosji stacji benzynowej to sprawa trudniejsza i zresztą po co, kiedy można ją kupić taniej w sieci „podziemnego” zaopatrzenia. Zabawa z benzyną to poemat sam w sobie i warto go zilustrować na przykładzie Brześcia, przez który szły do 1959 r. dość duże ilości samochodów, wywożonych z Rosji przez wielu repatriantów polskich w formie lokaty kapitału. Ludziska zorientowali się wtedy, że warto zaopatrzyć się w benzynę przed wyjazdem, ponieważ w Rosji można ją kupić

znacznie taniej niż w Polsce. Litry benzyny w Polsce kosztował 4 zł., tu 1,30 rb. Kradziona oczywiście była znacznie tańsza, kosztowała 50 kopiejek.

Koło dworca brzeskiego rozwinął się więc typowy pokątny handelek. Po krótkim i dyskretnym dogadaniu się z szoferem posiadającym nadmiar państwowej benzyny w baku, repatriant (jeśli dojechał do Brześcia własnym samochodem) wracał do swego wozu i śledząc auto sprzedawcy powoli posuwał się za nim, dopóki ten nie stanął w jakiejś bocznej ulicy. Tam dostawca zapuszczał do swego zbiornika gumowy szlauch i zasyłając ostrożnie ustami etylizowaną, a więc trującą benzynę, przelewał ją, bez dokładnej miary, od razu do baku kupującego.

Nie jest to jedyny rodzaj zaopatrywania się w kradzioną benzynę. Można ją dostać także bezpośrednio ze stacji benzynowej u sprzedawcy, który jakoś ją „wygospodarował” z obrotu państwowego. Rzecz jasna, że i w tej dziedzinie istnieje cały klan, cała kooperacja specjalistów złodziei, którzy zajmują się zorganizowaną dostawą czy odbiorem tych „nadwyżek” towarowych. Spróbuj być uczciwym między nimi — młody adepcie sowieckiego handlu, który zaczynasz swe życie zawodowe na przykład w cichej branży benzynowej! Długo miejsca nie zagrzejesz!

Problem żółtych firanek, które jeżdżą

Tak to podróżują po Rosji posiadacze samochodów, odgrożeni od świata zewnętrznego, nie zatrzymujący się przed żadną wyciągniętą ręką (autostopu w Sowietach nie ma) i zasłaniający zadrzotnie szyby samochodów (znowu żółtymi) firankami. Zwyczaj stosowania firanek w wozach istnieje tam od dawna i dotyczy głównie tzw. etatowych samochodów służbowych, oddawanych do całkowitej dyspozycji, wraz z szoferem, dyrektorom różnych przedsiębiorstw i urzędów. Drobnym ten szczegół jest bardzo charakterystyczny. Może służyć jako jeszcze jeden dowód na to jak silna jest w społeczeństwie chęć odgrożenia się poszczególnych jednostek od propagowanego w każdej dziedzinie „umasowiania” wszystkiego i wszystkich. To zaznaczone odcinanie się wielu jednostek od narzuconego odgórnie nurtu „wszystko dla mas” jest oczywiście zjawiskiem wielostronnym i wymagającym innych jeszcze dowodów poza argumentem samochodu lub firanek. Wspominam o nim na marginesie, sądząc, że przy opracowywaniu podobnego tematu nie trudno będzie znaleźć wiele innych jeszcze przyczynków do zagadnienia rozwarstwienia społeczeństwa sowieckiego i jego moralnego spaczenia.

Skoro już mowa o motoryzacji to trzeba dodać, że zapotrzebowanie rynku na samochody osobowe jest olbrzymie, mimo iż rzadko kto mógłby wykazać w urzędzie podatkowym skąd

ma pieniądze na kupno wozu. Kto zaś kupił wóz w cenie państwowej, sprzedaje go z dużym zarobkiem jeszcze po dwuletnim używaniu. Procedura tej sprzedaży oczywiście też jest zakamuflowana. Podaje się u notariusza fałszywą, odpowiednio niższą od państwowej cenę sprzedaży a bierze się do kieszeni znacznie wyższą.

Miarą głodu automobilowego może być też fakt, że każda maszyna zagraniczna, stojąca gdzieś z boku przy chodniku, ściąga zawsze tłum gapiów. Jest to tylko jedna z charakterystycznych w Rosji oznak ogromnego zainteresowania osiągnięciami zagranicy, które zmusiło już wiele lat temu centralny komitet do opracowania specjalnego „orzęza ideologicznego” przeciw tej epidemii, coraz silniej szerzącej się w społeczeństwie.

Co to jest kosmopolityzm

Aby odgrodzić ludzi od wpływów zachodniej kultury trzeba było, tak samo jak w każdej innej dziedzinie, zastraszyć ich. Trzeba było znowu nastawić ich jeden przeciwko drugiemu. Władze mają jednak wielkie doświadczenie w stosowaniu tej metody. Posługiwanie się strachem jest odwieczną metodą dyktatury. Modyfikacja współczesna polega tylko na jej umiejętnym przybraniu ideologicznym i organizacyjnym. Dla zadośćuczynienia pierwszemu z tych postulatów ukuto tezę „walki z kosmopolityzmem”, czyli — wyrażając się znacznie prymitywniej — opracowano w skali państwowej zasady zwalczania podziwu przed osiągnięciami Zachodu, aby przypadkiem ów podziw nie doprowadził do wzrostu niedowierzania w słuszność własnej drogi rozwojowej. Kiedy już wszyscy ortodoksi marksistowcy położyli ostatnie podpisy pod misternie splecionym schematem ideologicznym tego problemu, puszczono w ruch maszynę wykonawczą, każąc na wstępie wyłożyć opracowane zasady na wszystkich szczeblach szkolenia partyjnego, a później wprowadzać je w życie w podstawowych organizacjach partyjnych.

Ktokolwiek jednak miał kiedyś zwyczajny murarski pion w rękę, ten wie, że minimalne jego odchylenie u szczytu wywołuje niekiedy parometryczne niedokładności u dołu. W tych więc to „dołach” sprowadzono całą sprawę właściwie do gołej metody wzajemnego ślepego „krytykowania” czy się tam kto za bardzo nie entuzjazmuje ubiorami francuskimi, autami amerykańskimi, literaturą i sztuką zachodnią, filmem włoskim itd.

Czy osiągnięto po latach oczekiwany cel? I tak, i nie. Zainteresowanie produkcją zachodnią jest w społeczeństwie sowieckim nadal wielkie. Zainteresowanie sztuką, filmem, literaturą, teatrem — także. W znacznie mniejszym stopniu dotyczy to na przykład filozofii, socjologii itd., ze względu na

trudny dostęp do materiałów źródłowych. Metoda walki z kosmopolityzmem pozwoliła jednak stworzyć wewnętrzną kurtynę przed Zachodem, tkwiącą w umysłach wielu Rosjan. Rezultaty tego „ubrojenia ideologicznego” to na przykład dostrzegane czasem u Rosjan na zagranicznych festiwalach i zjazdach — sztywność, przekonanie o własnej wyższości w każdej dziedzinie nie oparte na przesłankach logicznych, ostrożność w wyrażaniu swych uczuć itp.

Natomiast instytucja obsługi turystów, „Inturist”, ma nieco inne zasady postępowania wobec zagranicznego ruchu turystycznego. Zadaniem jej jest pokazywać wszystko cudzoziemcom od jak najlepszej strony. Turysta powinien być odsunięty od niedostatków codziennego życia. Pasport zagraniczny otwiera więc wolną drogę w każdej kolejce przed kinem, teatrem a nawet mauzoleum Lenina-Stalina. Może się zdarzyć, że nawet *zabroniowane* miejsce w hotelu nagle się przed turystą oswobodzi. Jest on więc w Rosji osobą wyjątkowo uprzywilejowaną, jak nigdzie bodaj na świecie, chociaż niekiedy musi się porządnie nagimnastykować, by skorzystać z tych przywilejów, jeśli nie zna rosyjskiego. Przeważnie bowiem nie spotka na ulicy nikogo, kto znałby obcy język. W niewielu tylko centralnych, specjalnie dla turystów przeznaczonych hotelach — i to tylko w największych miastach — obsługa zna obcy język (przeważnie angielski). Znajomość obcych języków jest w Rosji, ogólnie biorąc nadal wyjątkowo słaba i być może, że ten mankament nie powstał przypadkowo.

Istnieje przeto automatyczna bariera kosmopolityczna. Inna bariera to tłumaczenie z obcych języków wyłącznie tylko tych materiałów, które zyskały placet oddziałów propagandy i cenzury. Były zresztą inne jeszcze bariery dla tych, którzy musieli z racji swego zawodu korzystać ze źródeł. Wiadomo, że Centralna Biblioteka im. Lenina w Moskwie, jak i niektóre inne biblioteki, regularnie otrzymują książki. Dostępu do wielu zagranicznych czasopism naukowych zwykły śmiertelnik jednak nie miał. Musiał się zgłosić z karteczką ze stemplem profesora lub innej władzy. Podane tam być musiało, że rzeczywiście potrzebne mu są do pracy takie to a takie egzemplarze, które można mu wydać.

Wrażenia besarabskie

Podróż z Kijowa do Kiszyniowa zeszła bez szczególnych wydarzeń i po jednej dobie znaleźliśmy się w Kiszyniowie, stolicy Mołdawskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej, która była jednym z etapów podróży. Kiszyniów — jak wiadomo — należał przed II wojną światową do Rumunii. Było to kresowe, nieduże miasto, położone na najbardziej bodaj zafansowanych obszarach wschodniej Europy, w Besarabii. Ciemnota i prymitywizm gospodarczy tych okolic należały do przysło-

wiowych. Dziś — trzeba przyznać — Rosjanie nadali tym terenom i miastu znacznie bardziej nowoczesny charakter, wkraczając lawiną nowoczesnego — jak dla Mołdawian — przemysłu i techniki. Proces tej industrializacji i modernizacji Mołdawii idzie oczywiście w parze z szybką rusyfikacją, odbijającą się na każdym kroku pod płaszczykiem rozwoju miejscowego języka, literatury i w ogóle kultury „narodowej w formie, lecz socjalistycznej w treści”.

Na przykładzie Kiszyniowa widać, że jest ona daleko więcej socjalistyczna w treści, niż pozwalają na to narodowe ramy, trzeszczące od beceremonialnego dostosowywania ich przez Rosjan do celów czysto politycznych. Trudno zresztą widocznie wymagać od Rosjan, aby spokojnie oczekiwali aż Mołdawianie dorosną jako naród do poziomu dającego im możliwość swobodnego władania skomplikowaną maszyną współczesnej zindustrializowanej gospodarki. Rozwijają ją więc szybciej własnymi metodami i własnymi przeważnie rękami, w oparciu o stare doświadczenia sowieckie. Mołdawianie zaś, to naródowość cicha i mało oświecona, która w historii niczym szczególnym się nie odznaczała i zbyt wielkich aspiracji do suwerenności nigdy nie miała. Dają się więc urabiać bez większych zdaje się trudności, choć co prawda trudno się w tym dokładnie zorientować w czasie krótkiego pobytu w Mołdawii.

Miasto ma 4-5 ulic o wyglądzie jako tako europejskim, reszta to rzędy parterowych lub jednopiętrowych domów, często jeszcze pozbawionych wygod, których podwórza znajdują się w niezawsze zadowalającym stanie sanitarnym. Walkę o czystość i nadanie miastu kulturalnego wyglądu prowadzi się intensywnie raz lub dwa do roku, przed świętem I maja i rewolucji październikowej, malując ściany zewnętrzne wspomnianych budynków zwyczajną, trochę utrwaloną farbą, używaną także do odnawiania wnętrz. Rzecz jasna, wybudowane po wojnie pod miastem kilkupiętrowe bloki mieszkalne oraz szereg wielkich budynków na kilku głównych ulicach nie wymagają stosowania takiej metody.

W postępującym dość szybko budownictwie gmachów użyteczności publicznej widać tendencję do utrzymania w mieście swoistej mołdawskiej architektury, będącej jakąś nieokreśloną mieszaniną bizantyjsko-europejską niezbyt silnie wydzielającą się jako samodzielny styl. Nowe ulice buduje się bardzo szeroko. Domy są jasne, komunikacja przeważnie trolejbusowa, a także i autobusowa, chociaż są też dwie — zdaje się — linie tramwajowe. Słowem *zachouście* wyrastające szybko do poziomu republikańskiego centrum i cierpiące wskutek nadmiernej szybkości rozwojowej na tradycyjne sowieckie schorzenia rachityczne. Trzeba jednak przyznać, że zrobiono tu bardzo dużo: położono gładkie nawierzchnie na wielu ulicach, wybudowano duży (trochę już gdzieś rozpadający się) stadion sportowy, wielki park z sztucznym jeziorem i namiastką przystani sportów wodnych.

Na ulicach wszyscy na ogół posługują się rosyjskim i Rosjan oczywiście jest bardzo dużo. Spotyka się także charakterystycznie odzianych w wysokie baranie czapy chłopów mołdawskich, z wiązanymi łapciami na nogach. Nie znają oni rosyjskiego. Jest ich mało, a robią gorsze wrażenie niż np. Cyganie polscy.

W mieście jest kilka *uniwermagów* wyposażonych gorzej od kijowskich. Sklepu „motoryzacyjnego” nie ma. Jest parę tak zwanych sklepów samoobsługowych, które jednak nie mają nic wspólnego z *Super Marketem*. Opiszę później jeden taki sklep. Jest poza tym jeden sklep komisowy, jeden sklep sprzętu medycznego. Jest też jeden teatr mołdawski i parę kin wyświetlających przeważnie filmy rosyjskie. Aparatura dźwiękowa w kinach jest znacznie gorsza od zachodniej.

Sok winogronowy i klucz francuski

W Kiszyniowie widziałem po raz pierwszy w Rosji sklep z automatami do sprzedaży soków owocowych. Powstał on niedawno, zgodnie z dyrektywami partii w sprawie reorganizacji handlu. Mieści się na głównej ulicy, lecz usytuowany jest niepozornie, a samo jego istnienie budzi pewne skojarzenia na temat celowości niektórych nowinek, które Rosjanie tak chętnie, gwałtem, wtlaczają do swego życia, w gwałtownej pogoni za dorównaniem Zachodowi pod każdym względem.

Więc przede wszystkim krótki opis techniczny. Jest to niewielkie pomieszczenie, w którym znajdują się ustawione w czworobok automaty z sokiem winogronowym, pomidorowym, wodą sodową, itd. Najlepszych soków często było brak, automaty często się psują. Jeśli chcesz napić się szklankę soku musisz przedtem wykupić w kasie specjalny żeton. Kiedy to uczyniłem i wrzuciłem potem blaszkę do otworu automatu, to okazało się po pociągnięciu rączki, że nic się do szklanki nie leje. Patrząc więc zdziwiony na kasjerkę, ona zaś bez słowa zrozumiała o co idzie i zawołała: „Iwan Iwanycz — zacięło się”. Po chwili usłyszałem jakiś stuk za przyrządem i przez szparę między ustawionymi obok siebie automatami dostrzegłem, że ktoś tam coś kręci tzw. kluczem francuskim. Z kranika strzeliła w tym momencie silnym strumieniem struga soku rozpryskując się wokół szklanki. Przypomniała mi się wtedy jakaś stara, prymitywna anegdota o tym, jakie to wielkie udogodnienia życiowe czekają obywateli sowieckich kiedy dostarczą już do ich osobistej dyspozycji nie tylko samochody, lecz i helikoptery. Można będzie wtedy podlecieć bez żadnej trudności do Moskwy, żeby na czas ustawić się w kolejkę po zapałki.

Wychodząc ze sklepu nieco rozbawiony i parę kroków dalej dostrzegam wózek z tym samym sokiem. Sprzedawca obsługuje klientów jakoś znacznie szybciej i pewniej niż przed chwilą sklep automatyczny. Nie ma jednak *ubarwu*.

Idę dalej. Trzeba jeszcze zaopatrzyć się w pieczywo, a widziałem po drodze jakąś *bulocznaja*, urządzoną na zasadach niby samoobsługowych. Wchodzę po chwili przez drzwi, na których napisano „wejście”. Dostaję się w wąski szpaler utworzony z jednej strony przez półki z ułożonym w skąpym asortymencie pieczywem, a z drugiej przez drewnianą poręcz. W przejściu tym, prowadzącym na przestrzeni kilku metrów do kasy, może się posuwać tylko jeden człowiek. Po drodze może wziąć jeszcze małą kawałek papieru do opakowania. Przy wejściu i wyjściu stoi taka ilość obsługi, że przy pobieżnym obliczeniu dochodzę do wniosku, iż nie trzeba by jej wcale zwiększać, jeśli ustawić tu zwykłe lady i zrobić z tej „samoobsługi” z powrotem zwyczajny sklep. Tym bardziej, że nic innego poza pieczywem kupić tu nie można. Trudno sobie wyobrazić jak przedstawia się rentowność takiego przedsięwzięcia. Opowiadano mi później, że w sklepach samoobsługowych, które już więcej przypominają amerykańskie *Super Market* (choć takiego wyboru produktów jak tam i takiej wielkości sklepu nigdzie w Rosji nie widziałem) ta sama prawie ilość osób, które przedtem stały za ladą, teraz patrzy na ręce kupującym. Kiedy zaś zbyt wielka ilość klientów zbierze się w sklepie, to drzwi wejściowe zostają chwilowo zamknięte. Nie dziwię się kierownikowi takiego sklepu: nie miałby z czego dołożyć przy remanencie.

(Dokończenie nastąpi)

Tadeusz ŚLABICZ

WOLNE OD CŁA — PACZKI PEKAO

**PRZEKAZY PIENIĘŻNE
PACZKI HASKOBY**

Katalog 500 najpopularniejszych
na żądanie

**CENTRALA WYSYŁKOWA
HASKOBA LTD**

121 Earls Court Rd, London S. W. 5



ZWIĄZKOWIEC

Jedyne pismo polskie w Kanadzie ukazujące się dwa razy na tydzień Służy Polonii Kanadyjskiej od roku 1933 przynosząc regularne korespondencje i informacje ze wszystkich ośrodków polonijnych w Kanadzie i innych krajach świata.

Z w i ą z k o w i e c

informuje obszernie o życiu w Polsce tak przez własnych wysłanników jak i poprzez korespondencje z kraju

Z w i ą z k o w i e c

zamieszcza informacje i artykuły o sytuacji międzynarodowej

Z w i ą z k o w i e c

drukuję w odcinkach dwie powieści współczesnych autorów polskich, oraz posiada działy: Kobiety i Dla Dzieci

Z w i ą z k o w i e c

dociera do wszystkich ośrodków polonijnych jest więc doskonałym instrumentem reklamy handlowej.

Z w i ą z k o w i e c

jest jedynym pismem polonijnym, które od roku 1957 do chwili obecnej miało w Polsce czterech specjalnych korespondentów. Abonament roczny wynosi w Kanadzie — dol. 6,00, w Stanach Zjednoczonych i w innych krajach — dol. 7,00. Wpłaty należy kierować do administracji ZWIĄZKOWCA:

1475 Queen Street West, TORONTO 3, Ont., Canada

Administracja wysyła na żądanie egzemplarze okazowe.

O S T A T N I E W I A D O M O Ś C I

Jedyne pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec
UKAZUJĄCE SIĘ TRZY RAZY TYGODNIOWO.
W KAŻDĄ NIEDZIELĘ DODATEK.

Redakcja, administracja, drukarnia:
Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 301

Sztambuch (dok.)

Samotna młodzież

Byłem niedawno na wieczorze młodzieży studenckiej. Jeden z zaproszonych mówców, profesor z Wiednia, poruszając zagadnienie tolerancji, przypomniał znamienne wydarzenie związane z przyjazdem Franciszka Józefa do pewnej galicyjskiej miejsciny. Cesarza przywitał rabin w szatach liturgicznych, odcytując z Tory teksty błogosławieństw po hebrajsku. Gdy ceremonia przeciągała się ponad granice ludzkiej wytrzymałości, jeden z adiutantów powiedział półgłosem: „Czy nie za długo? Przecież i tak nikt z nas nie rozumie tego bełkotu!”... Wtedy Najjaśniejszy Pan, chociaż słowa jednego nie rozumiał po hebrajsku, zmierzył niecierpliwca rozniewanym okiem i powiedział: „Nieprawda! *Ich verstehe den Herrn Rabinner sehr gut!* (Ja rozumiem pana rabina bardzo dobrze!)... W tym miejscu studenci zaczęli głośno klaskać. — „Brawo!” — zawołał jakiś kogutek w wykładanym kołnierzyku. Chłopcy oklaskiwali światłego monarchę. A ja pomyślałem sobie: może rzeczywiście idzie ku lepszemu? Najmłodsi wypowiadają się za tolerancją. Dobry omen. A przecież jeszcze ich rodzice obcinali rabinom pejsy, brody i szyje...

Spotkanie w Regensburgu. Nowa iskierka nadziei, kto wie czy nie przedwczesnej? Po wieczorze autorskim podchodzi do mnie pewien bardzo młody człowiek.

— Mój ojciec był emigrantem! — powiada z akcentem dumy.

Zabrzmiąło to niczym: „Pochodzę z książąt krwi”.

Coś nowego. Nuta nieoczekiwana. Czyżby się światek ogrodowych karzelków miał ku końcowi? Ale czy wolno mi z błahych i nietypowych przykładów wyciągać zbyt pochopne wnioski? Wiem przecież, że Michel (model 1960) lubi święty spokój. Chociaż od lat żyje na krawędzi krateru. Chociaż mie-

szka, pracuje i przybiera na wadze tylko o miedzę od innego świata. (A może właśnie dlatego?) I wiem też, że gdy dobroduszny Michel przeczyta, na przykład, w gazecie, że do kamienicy zamieszkałej przez polskich, ukraińskich czy rosyjskich uchodźców „niewykryci sprawcy” wrzucili granat, nie oburza się na skrytobójców, ale z reguły na ich ofiary. — „Wydalić emigrantów z granic państwa! — pisze rozgniewany list do redakcji. — Niepożądani cudzoziemcy nadużywają naszej gościnności, zagrażają bezpieczeństwu P.T. Obywateli naszego grodu!”... W sennym i lepkiem od tłuszczu mózgu Michela słowo „emigrant” kojarzy się z rzezimieszkiem, a w najlepszym razie z poważnym defektem charakteru. A może to gagatek nie meldowany na policji? (Ósmy grzech główny!) Michel, który zawsze nosi dowód osobisty przy sobie, jest przekonany, że kryminaliści zaludniający więzienia republiki, w lwiej części składają się z cudzoziemców. Nie na darmo czyta w gazecie, że kryminalista poszukiwany przez policję, prawie z reguły mówi „obcym akcentem”. — „Myśmy tutaj cierpieli, harowali, przymierali głodem — skarży się nieraz piwosz Michel na własnych niemieckich emigrantów — a oni co? Rozbijali się za granicą, dostawali zasiłki od różnych komitetów i jedli frykasy!”... Michel z najwyższym oburzeniem czyta w swojej niedzielnej gazetce, że Tomasz Mann przyjął obywatelstwo amerykańskie, a „renegatka” Marlena Dietrich w amerykańskim mundurze defilowała po Paryżu. Jeszcze więcej sadyła za skórę zalał mu Erich von Stroheim, który w zagranicznych filmach ośmielił się grać pruskich oficerów („kałał gniazdo”).

— „Nie, niemożliwe... — roześmiał się kiedyś pewien znajomy Michel — żeby pan, człowiek przyzwoity, naprawdę był... bezpaństwowcem? *Sind Sie wirklich ein Emigrant?*”... — „To prawda” — spuściłem głowę jak w Popielec, przyznając się do ciężkiej zbrodni. Czyż miałem uderzyć w Dzwon Zygmunta i tłumaczyć mu, że Owidiusz, Dante, Mickiewicz, Lenin, Einstein, Freud... Spojrzały na mnie jak na raroga i zatrzepotał jasno blond rzęsami. Zresztą, w zwojach mózgowych zacnego Michela snują się jeszcze strzępy skojarzeń z lat „Tysiącletniego Ładu”. Emigrant, bezpaństwowiec — mówiono mu wtedy — to miazmat, zakała, dezterter, mason, żydokomuna lub — Pfui *Teufel!* — kosmopolita, bezojczyźniany *cadaver*... (Taki sam potwór w ludzkim ciele, jaki się śni rekrutom WOP’u w Ludowej Ojczyźnie!) O, tak, mam ja swój własny, niewidzialny paperek lakmusowy do wykrywania Michela: jego reakcja na dźwięk słowa „emigrant”...

I jakże nie mam się radować z akcentu dumy, jaki posłyszałem w głosie nieznajomego młodzieńca z Regensburga, gdy powiedział: „Mój ojciec był emigrantem!”.

Cieszy mnie każdy przebłyk na niebie. Choćby taki, że pewien młody literat z rozgłośni kolońskiej, zamiast portretów dostojników państwowych, powiesił sobie nad służbowym

biurkiem fotografię Carla von Ossietzky’ego w kacetowym drelichu.

I to, że zaledwie 35 % młodzieży należy do organizacji młodzieżowych. Maleje zainteresowanie organizacjami spartańskimi, wylęgarniami hurra-patriotycznej tężyzny, przywodzącej na myśl góralską piosenkę: „Pobije nas ktosik albo my kogosik, bo się nam na głowie cuprynka podnosi!” Po tylu latach Sparty czas już na Ateny.

Pewien student historii sztuki powiada, że po przyjeździe do Rzymu pierwsze kroki kieruje na Piazza Venezia, aby przypatrzeć się zmianie warty. Lubi patrzeć na włoskich żołnierzy. „Im to właśnie” — wyjaśnia — „moje pokolenie zawdzięcza ocalenie. Gdyby w ubiegłej wojnie nie byli naszymi sprzymierzeńcami, gotowiliśmy jeszcze, co nie daj Boże, wygrać. I co wtedy? Zamiast być wolnym człowiekiem, musiałbym w szeregach armii okupacyjnej trzymać straż na Uralu lub brzegami Eufratu”.

Ale nade wszystko pochwalmy szorstki sceptycyzm, broń sparzonego. Tę instynktowną nieufność najmłodszych wobec każdej nowej „ody do młodości”. Przypominam sobie, że na jednym z kongresów grzmiący na „pół-dziewice demokracji” Arthur Koestler zawołał w natchnieniu: — „Przyjaciele! A o tych, którzy dzisiaj nie są z nami, lecz woła się ostrożnie trzymać z dala od walki, historia wyda kiedyś wyrok, podobny do tego, jaki wypowiedział Henryk IV o swoim przyjacielu Crillonie: „Powieś się, mój roztropny Crillonie! Biliśmy się pod Arques, ale ciebie nie było z nami!”... Gdy ucichły gorące oklaski, z zadowoleniem usłyszałem jak jeden z młodych słuchaczy mruknął do swego kolegi: — „Znamy te chwyciki. Jeszcze jeden apel do solidarności. Co mi z tego „ramię przy ramieniu”? Wolałbym wiedzieć, o co mam się bić pod tym nowym Arques?”...

— Brawo! — chciałem zakrzyknąć młokosowi. — Nie składaj bezmyślnie rąk do oklasku! Nie mów pochopnie *Jawohl!* Każdą bez wyjątku odę do młodości nicuj na dziesiątą stronę!

Tym bardziej, że siedemnastoletni w narodzie rekonwalescentów dość rzadko mogą liczyć na czyjąkolwiek pomoc. Samotna młodzież. Kto widział powitanie b. generała SS Kurta Meyera na zjeździe SS-manów w Hameln (gród średniowiecznego szczurołapa!), czy zebranko „Stahlhelmu” dla uczczenia pamięci Hindenburga, czy zjazd b. żołnierzy „Afrika-Korps”, czy choćby przerażające w swej grotesce spotkanie zgrzybiałych dziadków, byłych chłopców okrętowych marynarki cesarskiej; kto widział z jakim blaskiem w oku kapucyn Pater Konrad, b. kapelan Legionu Condor, mówi o dniach chwały na hiszpańskiej ziemi; kto widział jak chętnie podskakują nogi starym reumatykom w kurparku na dźwięk *Badenweiler-Marsch’a*... Tak, temu, zaiste, trudno powiedzieć, żeby starzy dawali młodym dobry przykład.

Znakomity racjonalista, prof. Tadeusz Kotarbiński, próbując sił w mowie wiązanej, napisał kiedyś dwuwiersz:

„Niech młodzież słucha starszych, to natury kolej.
Tak jeno, nie inaczej, sływa do głów olej...”

Niestety, zjełczały to nieraz olej.

Wieloletni natrysk ideologiczny nie pozostał bez wpływu. Zaczynając piwosza Michel z Weilheimu czy innego Rosenheimu tyle się nasłuchiwał o „zwyrodniałej sztuce”, „dekadencji” i „obcych, szkodliwych wpływach, zagrażających rodzimych pierwiastkom”, że jeszcze dzisiaj patrzy spode łba na obrazy Paula Klee czy Oscara Kokoschki. Pewien małomiasteczkowy organista nad Neckarem, mąż bogobojny (twarz św. Marka z obrazu Dürera) tłumaczył mi niedawno, że „tak całkiem szczerze mówiąc”, to Niemcy niewiele stracili, nie słuchając przez dwadzieścia lat zabronionej muzyki Mendelssohna.

Mendelssohn i Niemcy... Gdy dziadek sławnego kompozytora, bosonogi Mojżesz, zjawił się przed przeszło dwustu laty w Berlinie, strażnik bramy miejskiej (Rosenthalers Tor) zapisał do księgi: „Dzisiaj przepuściłem przez bramę sześć wołów, siedem świń i jednego Żyda”. Z czasem ów bosy Mojżesz wyrósł na erudyte i humanistę, zaprzyjaźnił się z Lessingiem, a jego światowej sławy wnuk, Felix...

Antysemita Wagner (ulubiony kompozytor Spenglera i Hitlera) miał kiedyś powiedzieć do Cosimy: „Nareszcieśmy przydeptali sławę tego Żydowina”. W r. 1933 — Goebbels przydeptywał ją dalej. Po wojnie muzyka Mendelssohna wraca do kraju. Ale czy w triumfie? W r. 1960 — bogobojnemu Michelowi nad brzegiem Neckaru ciągle się jeszcze nie podoba nos kompozytora...

O, biedny młodzieńcze, który po wykładach uniwersyteckich wracasz do domu i zaglądasz do ilustrowanego magazynu! Jeszcze ci w uszach dzwieczą słowa profesora o bezcelestwach twórców Buchenwaldu czy Oświęcimia, a tu czytasz czarno na białym światłą opinię bezstronnej cudzoziemki, która prosi o głos w imię obiektywizmu:

„Eichmann spełniał tylko swój obowiązek. Będąc żołnierzem, nie miał prawa zastanawiać się nad moralną stroną otrzymywanych z góry rozkazów. Czemu w o b e c t e g o nie stawiamy pod sąd lotników, którzy zrzucili bombę atomową na Hiroszimę i Nagasaki?” (List baronowej von Karberg, Lönasa, Szwecja, do redakcji tygodnika „Der Stern” z 23.7. 1960 r.).

A na drugim brzegu Łaby, gdzie muzyka marszowa rozbrzmiewa od świtu do północy, gdzie młodzi nie tylko są samotni, ale samotność swoją, jak ciężkie kalectwo, ukrywać muszą w śpiewie dziarsko maszerującej kolumny? Mimo nie-

ustannego międlenia frazesów o rewolucji społecznej i zdobyciach socjalizmu niewiele się tam zmieniło od czasów potępianych już przez Henryka Manna w „Untertan’ie”. Koszary. Strach pomyśleć, że ci ludzie już od dwudziestu ośmiu lat nie znają innej władzy, jak silną! Kurt Schumann zarzucił niegdyś Goebbelsowi, że zamiast apelować do „dajmoniona”, z reguły zwraca się do „wewnętrznego łotra” drzemiącego w człowieku. Do kogo zwraca się dzisiaj w auli uniwersyteckiej, zatłoczonej młodymi Saksończykami, ów dziekan z partyjnym znacznikiem w klapie, gdy woła:

— „W czasie wojny umyślnie strzelałem, jak się to mówi: Panu Bogu w okno. Nie chciałem zabić ani zranić drugiego człowieka. Ale teraz, w chwilach wolnych od zajęć naukowych, chodzę na strzelnicę, aby zostać strzelcem wyborowym. Aby nie chybić. Bo tym razem wróg jest naprawdę wrogiem. I kiedy wybije godzina...”

Słowa te padają w auli wszechnicy, położonej w sercu Europy. Alma Mater Lipsiensis. Rok założenia: 1409. Tutaj studiował Lessing. Tutaj Goethe słuchał wykładów „Moralphilosophie”.

Niepokoja mnie również zbyt często brane na usta słowa o odwiecznej (tym razem) przyjaźni polsko-niemieckiej, jakie padają z megafonów wiecowych w Lipsku, Dreźnie czy Magdeburgu. Nie trzeba być freudystą, aby wiedzieć do czego prowadzi przymus miłości.

Vox populi?...

Dostaję sporo listów od czytelników. Najrozmaitszych. Czytelnik, istota nieznana. Listy od czytelników, pochwały i nagany krytyki literackiej — nie należy przeceniać tych bodźców. (Sartre ma rację: *nous sommes seuls*. Zwłaszcza przy pisaniu). Ale może warto przytoczyć choć kilka wyjątków:

„...wcale nie twierdzę, że tak nie było. To wszystko prawda, jeśli nawet tu i tam przejaszczawione, ale po co o tym dzisiaj pisać? Czy taka literatura służy przyszłości? Postawmy wreszcie kropkę. *Schluss!* Stało się, nie odstanie się. Zapomnijmy, idźmy naprzód”... (M. Sch., urzędnik państwowy, Bonn).

„...po przeczytaniu Pana książki skłonna jestem przebaczyć temu Polakowi, który zaraz po wojnie ukradł mi wózek dziecięcy, wyrzucając z niego mojego synka. Każdy z nas swoje przeszedł i przecierpiał. Tylko religia może nas pojednać...”. (Frau L.v.H., Hamburg-Harburg).

„...Polacy są podstępniejsi od Żydów. Naród przestępców... Wynoszą się do Moskwy!” (Anonim).

„...książkę T.N. zalecamy umieścić na liście utworów moralnie, światopoglądowo i obyczajowo-religijnie niepożytecznych...”. (Biuletyn Tow. św. Boromeusza, Salzburg).

„...prawdziwymi sprawcami wszystkich nieszczęść, jakie spotkały nasze narody, są Anglicy. Trzeba o tym pamiętać — w imię prawdy historycznej”. (Dr H.S., lekarz z Berlina).

„...gdybym nie był Niemcem, chciałbym być Polakiem...” (uczeń gimnazjalny, J.D. z Wiesbaden).

Pamiętajmy jednak, że listy do redakcji i autorów pisze tylko pewna kategoria czytelników. Najłatwopalniejsza.

Kiedy Józef Wulf i Leon Poliakov opublikowali swoją głośną trylogię o Trzeciej Rzeszy, dostali setki listów. Józef Wulf, podsumowując ten swoisty *vox populi* napisał z ironią że z listów, jakie otrzymał, wynika właściwie tylko jedno: głównym zajęciem ludności niemieckiej w czasie wojny było ukrywanie Żydów. Wielu Niemców tylko po to wstąpiło w szeregi partii hitlerowskiej, by zadanie to sprawniej wykonywać, wychodząc z prostego rozumowania: im wyższe stanowisko, tym więcej możliwości pomagania zagrożonym... (Ulubione alibi wielu kolaborantów i oportunistów. Przedziurawiła je już swoim piórem Madame de Staël w „De l'Allemagne”). Skoro więcej Żydów ocalono, niż zabito, nie ma powodu do rozdzierania szat: eksterminacji nie było... „Można by więc sądzić — pisze Wulf w ostatnich zdaniach „Wyznań autora” — że epokę 1933-1945 cechowało wręcz przesadne praktykowanie chrześcijańskiej miłości bliźniego”... Czytając te słowa, przypomina się przepowiednia Teodora Haeckera, jednego z dziesięciu sprawiedliwych, który w dniach największego wezbrania uczuć patriotycznych nad Renem i Dunajem (wzięcie Paryża) zapisał w pamiętniku: „Okłamani kłamcy uczynią jutro wszystko, aby ich dzisiejsze słowa i czyny poszły jak najszybciej w niepamięć”...

Zapomnieć?...

Siedzieliśmy niedawno w nadreńskiej winiarni. *Spisovatelé v exilu*. Ukrainiec — bard z fryzurą à la Marlon Brando. Rumun-filozof w rogowych okularach. Pewien siwy pan z muszką, który lata wojny spędził poza Niemcami i napisał kilka niezłych książek. Czech, *exilový básnik*, Anglik-dziennikarz. I ja. Było dość wesoło. Aż tu o pierwszej w nocy siwy pan (Niemiec) oznajmił mi, że kocha Polaków i Ukraińców, był przed kilku tygodniami w Polsce i na Ukrainie, rozmawiał z wielu ludźmi, i spostrzegł, że nad Wisłą chętniej się rozpamiętuje złe czasy, niż nad Dnieprem. A kiedy się wywiązała dłuższa dyskusja, czy należy pamiętać czy zapomnieć, Anglik powiedział:

— *Well*, byłem jeńcem wojennym. U Japończyków. Jak się domyślacie, nie było zbyt przyjemnie. Toteż wykreśliłem tamte dni z pamięci bez litości. Mówię sobie po prostu: „To wszystko nieprawda. Wcale tam nie byłem”. A kiedy mnie inni częstują swoimi przeżyciami, przypominam im słowa kana-

dyjskiego łowcy futer Sam Martin'a: *Any man who says he has been eaten by a wolf is a liar!*...

Można i tak. Ale ta ochronna formułka jakoś nie przypada mi do gustu. I to nie tylko dlatego, że nie jestem Anglikiem.

Bardziej od złych wspomnień niepokoi mnie co innego. Prerażające, jak szybko żyjemy! Jak łatwo i chętnie zapominamy o zbrodni i okrucieństwie. Co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr. Któż chce dzisiaj, A.D. 1960, mówić, słuchać czy czytać o grozie budowy Kanału Białomorskiego, o Katyniu, Kołymie, Tremblince, Hiroszynie, jeńcach na Korei, torturach w Algierii, czy choćby o tych rodzimych praktykach, ujawnionych przez Leona Wudzkiego podczas październikowej „godziny szczerości”?

Ile niebezpiecznej zachęty dla przyszłych naśladowców Himmlerów i Berii tkwi w tej organicznej wadze naszej pamięci! „Milczeć, milczeć i jeszcze raz milczeć!” — przestrzegano kiedyś więźniów, wyprowadzanych za bramę. „Zapomnieć, zapomnieć i jeszcze raz zapomnieć!” — przestrzegają ich dzisiaj różni szlachetni architekci jutra, zatroškani o terapię psychiczną, higienę ducha i twórczą równowagę umysłu swoich bliźnich tudzież o „interes nadrzędny” cały krajów i społeczeństw. Nie potrzeba sumienia o absolutnym słuchu, aby zaniepokoić się przypadkowym podobieństwem tych dwóch zaleceń.

W essay'u „The Germans and I” (miesięcznik „Deutsche Rundschau”) napisałem niedawno, że o przyjaźni polsko-niemieckiej mówić będzie można nie wcześniej jak pojutrze. Publicysta Harry Pross, nie dzieląc mego pesymizmu, doradził mi w liście, by przesunąć termin z „pojutrze” na „dziś”. A w artykule „Deutschland und Polen” napisał, że dostrzeganie istniejących konfliktów, owszem, świadczyć może o realizmie politycznym, ale pozostawienie ich na łasce boskiej, bez załatwienia, wiedzie do iluzjonizmu...

(O, gdyby wiedział o co się u nas modlił Tuwim! „Wtłoczonym między dzicz niemiecką i nowy naród Stu Narodów, na wschód granicę daj sąsiedzką, a w i e c z n ą p r z e p a ś ć od zachodu”).

Przeczytałem niedawno wypowiedź Schaloma Ben-Chorima z Jerozolimy. Uderzył mnie na wskroś chrześcijański optymizm człowieka cudem ocalałego:

„Nie brak dzisiaj ludzi” — pisze Ben-Chorim — „którzy powiadają: jeszcze jest za wcześnie. Poczekajmy, aż pokolenie winowajców wymrze, a dopiero wtedy zaczniemy mówić o przyszłości. Nie wierzę w słuszność tego poglądu. Teoria „odraczania” rodzi się z chęci zapomnienia. A cokolwiek się bierze z zapomnienia, już nie wymaga od nas pełnego wysiłku serca. Nie powinno się zapominać. Słusznie. Kto zapomina, nie dochowuje wierności. Ale czyż cała treść naszego życia nie mieści się w syzyfowym uporze: zaczynać każdą próbę od nowa, wciąż od nowa?”...

Jedno z niemieckich pism dla młodzieży zwróciło się do czytelników z zapytaniem: „Jakie jest najpiękniejsze słowo w ludzkim języku?”. Wydawało mi się, że najczęściej głosów padnie na „miłość” albo „matkę”. Albo na „Boga”, „szczęście”, „wiosnę”? Może na „ojczyznę”, „radość” lub „słońce”? Tymczasem, o dziwo, wygrała „nadzieja”...

Uciezka w „relatywizm”...

Pewien młody, przerażająco zdolny docent, po przeczytaniu mojej książki wyjaśnił mi przy szklaneczce tyrolskiego wina, że większość dzisiejszych świadectw o tamtych sprawach jest „osadzona zbyt płytko”. Moralne oburzenie nie wystarcza. Potrzebne jest jeszcze, jak się wyraził, filozoficzne zrozumienie zagadnienia. Tego typu „incydenty dziejowe”, powiedział, co Inkwizycja, hitlerizm, stalinizm, trzeba widzieć we właściwej perspektywie. Jeśli szukanie pra-przyczyn w ogóle ma jakiś sens, winę, jego zdaniem, ponosi platońska koncepcja państwa. Bez Platona nie byłoby Hitlera. Zaczęło się od idei „jednej prawdy”, a potem z ideologicznych wierchołków potoczyła się lawina terroru. Jeśli mnie to interesuje, dodał, powinienem przeczytać dzieła Heera i Poppera, a wówczas uświadomię sobie, że pojęcia „jednej owczarni”, *Un Roi, une loi, une foi dans le royaume, Ein Volk, ein Reich, ein Führer*, łączą się ze sobą w jeden owijający się wokół ludzkiej szyi łańcuch, a jego pierwszym ogniwem jest Platon... Padły nazwiska, daty, tytuły dzieł, cytaty. Ulewa cytatów. Z Campanelli, Bacona, Lullusa, Machiavella, Bossueta, Cromwella, Proudhona, Engelsa. Po dopiciu szklaneczki zrozumiałem, że natknąłem się na jednego z tych bezlitosnych erudytych, („uczonych” — jak mówi Słowacki), którzy wiedzą wszystko, ale nie rozumieją. Typ często spotykany. Na każdym uniwersytecie.

Co więcej, ów, pożałuj, Alma Mater, „relatywizm naukowy” wydał mi się jeszcze jedną formą ucieczki przed odpowiedzialnością moralną. „Incydent dziejowy” w postaci epoki pieców i komór gazowych. Mam go widzieć „we właściwej perspektywie”? „Der politische Platonismus” jako zatrute źródło natchnienia? Że niby słuszarz-Plato zawinił, a kowal-Kaltenbrunnera powiesili? Jakby przez „filozoficzne” wykreślenie się sianem zbrodnic przestawała być zbrodnia, a Eichmann Eichmannem! Cwierćinteligenci, to straszni ludzie. Ale ćwierćintelektualiści, są stokroć gorsi.

Czy można przeskoczyć własny cień?

A więc dostaję od Niemców listy... Jeśli dzisiaj spłonie dom, a jutro ukaże się w prasie opis pożaru, wiadomo że pierwsi za gazetę chwycą ludzie osobiście tą sprawą zaintere-

sowani: podpalacz, strażacy-gasciele i pogorzelnicy. Nieraz zastawiam się, czy ten lub ów sympatyczny czytelnik, który gotyckimi literkami zapewnia mnie o swoim wstręcie do ognia, był pogorzelnem? Czy pomagał gasić? Czy przypatrywał się pożarowi z rękami w kieszeniach? A może to właśnie on...? Nie! Nie chcę nikogo krzywdzić obsesyjnym domysłem. Wolę wierzyć, że nawet ten anonim, który doradza mi „powrót do Moskwy” (!), nigdy nie podkładał ognia. Nieraz próbuję czytać tę lub inną kartkę mojej prozy — oczami Niemca. Gdybym się, na przykład, nazywał Neumann i przez dwanaście lat maszerował w brunatnej koszuli...

Bądźmy sprawiedliwi. Nie roztrząsajmy zagadnień moralnych w oderwaniu od doświadczeń psychologii. (Abstrakcja, powiada poeta, to sęp wyżerający ludziom mózgi i serca. Jej formułki prowadzą do doktrynerstwa. Doktrynerstwo sprzyja inkwizycji). Jakiego to listu może oczekiwać polski pisarz po niemieckim czytelniku, który po przeczytaniu rozdziału o krwawej bydgoskiej niedzieli, rozdygotany, chwyta za pióro? Pochwalnego? Że scena egzekucji na Starym Rynku jest literacko „wytrzymana” czy „puszczona”? Że opis jest „sugestywny” i „wstrząsający”? Że „szkoda, że się tak stało”? Co wynika z listów, jakie gromadzę w osobnej teczce z napisem „Reakcje niemieckich czytelników”? Szczerze mówiąc, nie umiem odpowiedzieć na to pytanie.

Zastanawiam się jednak często, co też czują i myślą siedemnastoletni Kolumbowie, jeszcze przed odkryciem swoich łądów, kiedy ta lub inna drzazga przeszłości zrani im niemieckie serca? Czy przekładają urażoną dumę narodową nad tęsknotę do jakiejś ogólniejszej, a raczej zwykłoludzkiej, solidarności? Czy też patrzą na świat i na życie jak na wulgarny mecz, gdzie publiczność z reguły solidaryzuje się ze swoją reprezentacją? (Nawet, jeśli oklaskuje „przeciwnika” czy wygwizduje „swoich”, czyni to najczęściej z zawiedzionej miłości do barw własnych). Łatwo powiedzieć: Eichmann, to nie „barwy własne”, nie nas z nim nie łączy, ale własny ojciec, który pod zwycięskim znakiem swastyki wkraczał do Warszawy, Paryża i Kijowa? Nieprosta to sprawa, stać się opilkim wyzwolonym spod przyciągania magnesu. Gdzie jesteś, młodziutki Prometeuszu, zbuntowany przeciwko prawom grawitacji?

Sprawa jest delikatna. Nie trzeba być psychologiem-wychowawcą, by zadać sobie pytanie: czy rumieniec wstydu, to najlepsza droga do *katharsis*? Czy zawstydzenie jest właściwą metodą wychowawczą? Czy uczucie wstydu za najbliższych rozjaśnia młody umysł i serce? Czy wystarczy powiedzieć tragicznym spadkobiercom: wasi ojcowie rabowali futra i fortelepiany w Paryżu, zabijali kobiety i dzieci w Warszawie, a wasze matki nosiły biżuterię zdjętą z Żydówek przed deportacją z Amsterdamu do Belsen, by wyzwolić z nich spontaniczną wolę innego, lepszego życia? (Jedno z głównych zaleceń psychologii wychowawczej Adlera: „Nie poniżać!”).

Nigdy nie zapomnę przerażonej twarzy pewnego młodego widza na francuskim filmie o kacinach: „Mgła i noc”. Przez kwadrans chłopak ciężko oddychał, bliski płaczu. Potem siedział w kinie ze spuszczoną czupryną. Bał się spojrzeć prawdzie w oczy. W połowie filmu wyszedł. I... co dalej?

Odwróćmy sytuację. A jak się czuje polski czytelnik, gdy w tej lub innej książce ukraińskiego, żydowskiego czy niemieckiego pisarza natrafi, na przykład, na realistyczny opis gwałtów, jakich dokonywali Polacy na bezbronnej ludności cywilnej („pacyfikacja”); na scenę podpalania wsi lub cerkwi? Gdy czyta, na przykład, jak hallerczycy bez sądu wieszali Żydów posądzonych o szpiegostwo, a nasi konwojenci znęcali się nad Niemcami pędzonymi do Łowicza? Co sobie myśli młody chłopak w Warszawie, gdy w sowieckiej powieści „Jak hartowała się stal” czyta o torturowaniu Żydówek-komunistek przez polskich żandarmów? Czy wierzy, że tak być mogło? Czy też z okrzykiem „Kłamstwo!” rzuca książką o ścianę? (Ach, zaraz mnie jakiś oburzony „list do redakcji” pouczy, że u nas zawsze tylko kropelka podłości, a u innych — cały ocean. I że przy popełnianiu zbrodni „cyfry się, panie Nowakowski, liczą”, „proporcje”, „kto pierwszy zaczął” i w ogóle „jak można porównywać!”) Pytanie na marginesie: czy przy zbrodni ilość przechodzi w jakość?

Latem 1939 r. byłem szczęście rozbuchanym patriotą, entuzjastą, który by najchętniej popędził rowerem na podbój Berlina, aby zabić Hitlera z procy. Zapal Judyty wchodzącej do namiotu Holofernesa, w porównaniu z moim świętym ogniem oburzenia, był zwykłym fajerwerkiem. Wiedziałem, com winien Ojczyźnie. W jednej z wiosek na Pomorzu byłem przypadkowym świadkiem niezwykle radosnego raportu, pierwszego biuletynu zwycięstwa nad „odwiecznym wrogiem”. Spocony ze szczęścia policjant, taka sama żywa torpeda jak ja, meldował swoim przełożonym:

— Zara jedziem, panie komisarzu, zamykać Szwabom mleczarnię! Za brak higieny, ha, ha! Za brudy w kankach do mleka. Nasi ludzie już im gnoju podrzucili do centrifugi, ha, ha! I zdechłego szczura wetklił im do masła, ha, ha!

Śmiechom i żartom nie było końca. A ja, głuptas — zaślepiony patriotą, śmiałem się razem z nimi. Dzisiaj się wstydzę tego śmiechu. Można więc być hitlerowcem wcale o tym nie wiedząc.

Bez uprzedzeń...

Ale wróćmy do sztambucha. Co wpisać dentyście-kolekcjonerowi z Baden-Baden do jego tysiącstronicowego pamiętnika? To już nie sztambuch, ale istna księga telefoniczna. Może przestrożę Mickiewicza, że kto mówi o interesach tylko jednego

narodu, jest wrogiem wolności? Przeglądam kartki, odcyfrowuję podpisy, wypisuję sobie niektóre wierszyki i maksymy. Powiedz mi, co wpisujesz, a powiem ci kim jesteś. Znamienne, że większość zbieraczy autografów nie przywiązuje większej wagi do dość — zdawałoby się — ważnego faktu: k o g o umieścić w swej kolekcji... Michel, to eklektyk całą gębą. Bez najmniejszych uprzedzeń i przesądów. Żadnej selekcji. Żadnych kryteriów. Żadnej dyskryminacji. Wystarczy, że ktoś „ma nazwisko” i napisali o nim kilka razy w gazecie. To odkrycie nieco ostudza moją niezsutą radość. Obawiam się, że gdybym, zamiast pisać, dajmy na to, rozpuszczał wdowy w kwasie, też bym się znalazł w tej honorowej księdze. W jednym z albumów spostrzegłem, na przykład, podpis gagatka-bohatera prasy brukowej, posądzanego o zaduszenie kurtyzany. Też piknie.

W innym zaś sztambuchu obok podpisu żydowskiego skrzypka światowej sławy widzę jakże męskie i zadzierzyste pismo zagończyka z trupa główką, osławionego Skorzeny’ego (tego, co oswobodził Mussoliniego). Mikojan, przylapany na jakiejś wystawie, i Rafał Kubelik po koncercie. Emigrantka węgierska, która zasiadała w ostatnim gabinecie Nagy’ego, sąsiaduje z dyplomata sowieckim. Przypomina się ulubiony motyw na starych gobelinach: lew przy jagnięciu. Inne osobliwości: Tomasz Mann skazany na towarzystwo ponurego pleciugi Hansa Grimma, autora powieści „Volk ohne Raum”. Gdzie indziej znowu Adenauer (wpisał: *Per aspera ad astra!*) i... dawna faworytka Wodza: Leni Riefenstahl. W zbiorze pewnej nauczycielki (bodaj z Linzu) dwa popularne nazwiska: Marlene Dietrich i... Mathilde Ludendorff. (Nieuleczalny antysemityzm wojującej Gorgony znad jeziora Starnberg sprowokował niedawno jednego ze statecznych profesorów do następującego oświadczenia: „Odkąd zapoznałem się z programem ideologicznym Frau Ludendorff, starohinduski zwyczaj palenia wdów po śmierci męża ukazał mi się w innym świetle”...).

W imionniku doświadczonego łowcy (przedstawiciela poważnej firmy handlowej) odnalazłem niemiernie ciekawe trofea: Soraya (pismo uczennicy trzeciej klasy szkoły podstawowej) i Albert Schweitzer, Martin Buber i bokser Bubi Scholz, prof. Heuss i Max Schmelling, generał SS Sepp Dietrich, długoletnia emigrantka Elżbieta Bergner i... admirał Dönitz. Tutti-frutti na każdej karcie: Pola Negri, Remarque, Callas, Cocteau, trener piłki nożnej Herberger, biskup Dibelius, Graham Greene, Kokoschka, Louis Armstrong i jakiś sławny człowiek nazwiskiem Kutta (zdaje się, że klarneckista).

Niektóre pamiątki (własność starszej generacji, jeśli mnie oko nie myli) noszą ślady wydarcia tej lub innej strony z „tamtych” lat. Któż też mógł na nich figurować? Zgaduję, zgadula. Może sam Führer? (Udzielał autografów bardzo niechętnie. Zresztą, czy by go wydzierano?) Może Göring? Może Himmler? A może tylko Eichmann? Fanatyk-myśliwy strzela

przecież do każdego ptaka, jaki przeleci przez szpalę gazety.
I do brunatnego sępa i do oskubanego polskiego wróbla.

Mądrzejsi po szkodzie?

A co wpisali do sztambucha ludzie, którzy niegdyś odgrywali znaczną rolę w tym kraju? Spostrzegam, że „mój” dentysta zwrócił się do nich z prośbą o autograf już po wojnie, gdy znaleźli się pod wozem. Politycznie roztargniony Michel? Dobrze, złote serce.

Wynotowałem na chybił trafił trzy wierszyki. Sam wywar umysłowej tężyzny gipsowego karzelka. Moralizatorska lemo-niada. Podaję te próbki w nierymowanym przekładzie:

Sławny żołnierz, niedawno zmarły marszałek:

„W szczęściu — nie szaleć z radości,
w cierpieniu — nie skarżyć się na swoją dolę,
los nieunikniony — znosić z godnością!”

(Kesselring, Generalfeldmarschall a D. 1955)

Sławny wilk morski:

„Do niebios należą fale i wiatry,
ale żagle i ster — bez których nie dopłyniecie do portu,
należą do was!”

(Dr h.c. Erich Raeder, 1955)

Sławny polityk:

„Jeśli dzień wczorajszy jawi ci się czysty i otwarty,
nie trać nadziei: czeka cię Jutro!”

(Franz von Papen, 1956)

Zatrzymajmy się na chwilę przy tym wierszyku. W szkołach uczono nas: „Przed głową sędziwą powstań i uczcij osobę starszego”. Powiem więc tylko tyle: o „czystości dnia wczorajszego” mówi ten, który przyłożył ręki do budowy piekieł, który podkuwał kopyta apokaliptycznej bestii. Z przeszło osiemdziesięciu lat swego życia von Papen co najmniej dwadzieścia złożył w ofierze koronowanemu bufonowi w pikiel-haubie, a dwanaście — najnikczemniejszemu z nikczemnych. Nie zaprzestał służby, gdy po mowie marburskiej (1934) nowi mocodawcy wymordowali mu trzech najbliższych współpracowników. („Bez pomocy Papena, Schachta, Hugenberg a i syna Hindenburga Hitler nigdy by nie przejął władzy” — twierdzi Rudolf Pechel). Trud życia zakłamanego do szpiku kości bigota, który nawet swoich zabitych przyjaciół odziera ze sławy (dr. Edgara Junga), a tylko dzięki poparciu tajemniczych,

a możliwych protektorów międzynarodowych uniknął sprawiedliwego wyroku po wojnie, po dwakroć obrócił się w proch i w pył. Zachowaj nas, Panie, nas i Niemców, przed Jutrem, o którym rzekocze sędziwy *praeceptor Germaniae*!

Ukryta nić Ariadny

Obawiam się, nie bez podstaw, że mój błyskotliwy projekt odkazania bakterionośnego stylu kultury niemieckiej: rozbić gipsowego karzelka, zdjąć zegar z kukułką, dość sentymentalnych piosneczek, jak najmniej szalbierzy à la Pfitzner, precz z cukierkowatymi wierszykami, wypłoszyć Michela z altanki, sztambuch do lamusa, *Förstersohn*-em o bruk ulicy — zaledwie ślizga się bezradnie, jak reflektor, po powierzchni zjawisk. Trzeba sięgnąć głębiej.

Pamiętajmy, że krajowi temu, bardziej niż Mercedesów, will z basenami i urlopów na Wyspach Kanaryjskich, potrzeba tych bezimiennych Atlasów, na których barkach spoczywa przyszłość każdego narodu: rzeszy mądrych, prawych, ludzkich nauczycieli i wychowawców. Po Sedanie mówiono w Niemczech z dumą w głosie, że wojnę z Francją wygrał wioskowy nauczyciel w szkole. Dumę tę czas wyszydził. Wyschła jak plama. Z wiktorii nic dobrego dla świata nie wynikło. Wręcz przeciwnie. Niechaj i tym razem nauczyciel stanie do bitwy. Nie z Francuzami, ale z własnymi rodakami. Do bitwy o i n n ą niemiecką duszę. Jeśli wygra, będzie to zwycięstwo stokroć cenniejsze od Sedanu. (Christian Morgenstern pisał kiedyś z ironią: „Płacąc nauczycielowi zaledwie 600 marek na miesiąc, zachowujemy szczęśliwie naszą głupotę, dzięki której wolno nam z kolei wydać 60 miliardów na wojnę”).

Nie brak w tym narodzie umysłów naprawdę światłych, serc nienasyconych, charakterów nieskazitelnych. Ludzi, których bez ironii nazwać można „praeceptorami Niemiec”. (Sceptyk mruknął na stronie: „Nigdy ich nie brakowało. I co z tego? Czy potrafili w dniach kryzysu wpłynąć na losy swego narodu? Czy mieli dość sił i poparcia w społeczeństwie, aby skutecznie przeciwstawić się szczurolapowi z Hameln?”).

Niektórzy z nich, rozpatrując dziś stosunek swoich rodaków do „nieprzewyciężonej przeszłości” (jest nawet taki urzędowy slogan, a jakże), zwracają uwagę na schizofrenię opinii publicznej. Obok „wskazanego” (*erwünscht*) i niejako „oficjalnego” poglądu — doktor Jekyll — dochodzi również do głosu (zwłaszcza gdy ankiety gwarantują dyskrecję a alkohol rozwiązuje języki) — Mister Hyde. Nie wiadomo, który z nich jest gorszy. Dr. Jekyll, chociaż w i e , nie wierzy. (Na przykład w zabijanie cyganiątek w obozach). Gdyby uwierzył, dźwigałby na sobie ciężar. O ile lżej żyje się bez ciężaru! Nie zawsze jest to postawa świadoma. Hydra śpi na dnie morza. Zanurzymy się głębiej. Próbuje analizować.

(Chociaż topielców nie interesuje skład chemiczny wody, a odkrycie że giną w dwóch cząstkach wodoru i jednej tlenu nie przynosi im najmniejszej ulgi).

Psycholog Theodor Litt powiedział tuż po wojnie: „Nie zapominajmy, że człowiek jest niedoścignionym mistrzem w sztuce okłamywania samego siebie, zwłaszcza gdy zagraża mu niebezpieczeństwo zajrzenia w głąb swego nieuszminkowanego „Ja”. Właśnie ten przyrodzony dar uniku i wysłizgu oraz nieustanne przebieranie się w coraz to inny kostium ochronny utrudniają badanie naszych sumień”.

Myszę jednak, że zagadnienie niemieckiej „winy i kary” ukaże nam się w pełniejszym świetle, jeśli uwzględnimy nie tylko swoisty „agnostycyzm psychologiczny” Litt’a (może to też ucieczka?), ale i dorobek myślowy wybitnych diagnostów kultury współczesnej. Lektura „Rewolucji mas” Ortegi y Gasseta czy „Duchowej sytuacji epoki” Jaspersa może tutaj posłużyć wielu Tezeuszom zstępującym w głąb niemieckiego labiryntu za nic Ariadny. Dzieło Hiszpana wyjaśnia niejedno, a przy tym urzeka nas swoim powściągliwym patosem moralnym (przywodzącym na myśl trzeźwą rozpacz Camusa), jakże słusznym anty-spengleryzmem i niezawodnym, jak się z czasem okazało, instynktem proroczym. Gdy pisał „La Rebellion de las Masas”, większość późniejszych SS-mannów jeszcze trzymała koszulę w zębach!).

Także i Jaspers, który (w odróżnieniu od Heideggera!) zgłosił swoje odważne veto przeciw szarlatanom, wzbogaca naszą („empiryczną” — chce się powiedzieć) wiedzę o hitleryzmie. Zwłaszcza gdy wybitny filozof zaczyna mówić przystępnym głosem socjologa o wpływie postępu technicznego na zanikanie pierwiastków ludzkich. Nie da się zaprzeczyć, że stechniczowanie otaczającego nas świata (*Technisierung der Lebensumwelt*) wpłynęło (i nadal wpływa) na rozluźnianie się tradycyjnego związku człowieka współczesnego z humanistyczną kulturą Zachodu. Pokolenie, którego lata dojrzewania zbiegły się z dojściem fałszywych proroków do władzy, było już nie najgorzej przygotowane do połknięcia trucizny. Udoskonalenie środków technicznego oddziaływania na człowieka w masie (radio, prasa, film) przyspieszyło powszechną infekcję, dopomogło w myśleniu emocjami, wyzwało zbiorowy afekt, sprzyjało lepieniu zakaźnych mitów.

Cóż za paradoks: w tym samym czasie, gdy hurra-racjonalści nie mogą się pościć z dumy, że oto zwycięska nauka odczarowuje świat i odbóstwia niebo, rodzi się mistyczna kłechda dla maluczkich: *Teutonia Aeterna* (rzekomo osłabiona i zniewieściała w wyniku przyjęcia chrześcijaństwa) czy też nowe, dość tekturowe i patiomkinowskie Imperium Romanum Mussoliniego. Z deszczu pod rynnę.

Jaspersowskie Mane-Tekel-Fares czyli „człowiek-konsument”. Wbrew terminowi więcej daje, niż bierze. Filozoficzno-socjologiczny szyldzik na piersiach odwiecznie sprzedanej gam-

ratki. Za cenę bezpieczeństwa osobistego i wygody materialnej gotów jest odstąpić umysł i sumienie. (Przypowieśćka z głębszym morałem: atrakcją ogrodu zoologicznego w Hellabrun była do niedawna znakomicie wytresowana papuga, która wykrzykiwała na przemian „Ave Maria” i „Heil Hitler”. Zdechła z przejedzenia).

Rację mają również ci historycy, którzy poważną groźbę dla zdrowia psychicznego jednostek i narodów upatrują w za częstym „zrywaniu z przeszłością” (1919, 1933, 1945 — czy nie za wiele jak na półtora pokolenia?) i „zaczynaniu historii na nowo”...

A przy tym wszystkim wiemy jeszcze, że narodowy socjalizm nie stworzył żadnej nowej ideologii. Wszystko już było. I rzecz wcale nie w tym, że Rosenberg zbyt powierzchownie przeczytał Sorela i zwulgaryzował intuicjonizm Bergsona, a Hess nie uważał na wykładach geopolityka Haushofera. Skład chemiczny trucizny znany był od dawna. (Pangermanizm, militarizm, rasizm, antysemityzm). Natomiast hitleryzm zbudował tygiel, w którym się te wszystkie ingrediencje mogły stopić w jedną całość.

Tak, to wszystko prawda. Ale czas postawić pytanie zasadnicze: czy mimo tylu trafnych interpretacji, ekspertyz, „kluczy” i „sond w głąb” można powiedzieć, że drzwi do zagadki narodu niemieckiego stoją przed nami otworem?

Przed laty zapytywano jednego z kapłanów Afganistanu, dlaczego Kabul jest jedyną stolicą na świecie, której ulice nie mają nazw ani numeracji. Starzec namyślał się bardzo długo, wreszcie wzruszył ramionami: „A cóż to ma za znaczenie poza czysto umownym? Wcale nie jestem pewien, czy nazwanie ulicy rzeczywiście ułatwia jej znalezienie”.

Można się więc nauczyć na pamięć historii niemieckiego irracjonalizmu, przestudiować dzieła Plessnera („Losy niemieckiego ducha u schyłku ery mieszczańskiej”), przebrnąć przez trzy tomową „Apokalipsę niemieckiej duszy” Szwajcara Ursa von Balthasar czy studia o „radikalnym marzycielstwie w czasach nowożytnych” Friedricha Heera, i po wydostaniu się z gąszczy trafnych definicji, terminów, analiz, sformułowań radujących intelekt, powiedzieć sobie: „Wiem, że nic nie wiem”. (Jeszcze jedna klęska sztuki: ani malarstwo Dürera, Cranacha, Holbeina, ani fugi Bacha, ani urzekające piękno modlitwy w kamieniu: „Maria Panna” z Bambergu — 1230, „Schöne Madonna” z Krumau — 1400, czy „Nasza Pani z Dzieciątkiem Igrającą” z Passau — 1443, — nie wychowało pokoleń!).

Czy już naprawdę wiemy, dla czego w starej, cywilizowanej Europie myślicieli, geniuszów nauki i sztuki, Świętych Pańskich, mocarzy ducha, w dwadzieścia trzy wieki po Sokratesie, w niemal dwadzieścia wieków po Chrystusie, wymordowano — żeby wymienić jedną z najcięższych zbrodni —

sześć milionów Żydów? Wszystkie ulice nazwane, wszystkie domy ponumerowane, i... co?

„Ludzie ludziom zgotowali ten los”. To wszystko, co wiemy.

I jeszcze raz: młodzież

I dlatego, powtarzam, trzeba myśleć o najmłodszych. O synach zadżumionych. „Takie będą Rzeczypospolite, jakie ich młodzieży chowanie”. Napis tej treści wisiał kiedyś w naszej szkole. Truizm. Niewątpliwie. Ale nic mądrzejszego w tej sprawie wymyślić się nie da. Trzeba, jak doradza dobry człowiek z Jerozolimy, jeszcze raz zacząć od nowa. Wspominałem już o spotkaniach ze studentami (Heidelberg. Getynga. Monachium). A jak wygląda sytuacja w gimnazjach? I czy to prawda, że im młodsze roczniki, tym większa ignorancja o t a m t y c h sprawach? „Frankfurter Hefte” pisały niedawno, że w szkołach powszechnych nazwisko Hitlera kojarzy się dzieciom już tylko z... budową wspaniałych autostrad...

Pedagog Kurt Fackier zadał sobie niedawno trud przeświecenia umysłów młodzieży szkół średnich we Frankfurcie. Wyniki jego spostrzeżeń są wręcz zaskakujące. Dr Fackier stawiał uczniom pytania z najnowszej historii. Jaki był wpływ Traktatu Wersalskiego na dalszy rozwój sytuacji politycznej w Niemczech? Jak doszło do objęcia władzy przez Hitlera? Co sądzić o zamachu na jego życie (20.7.44)? Jak wypadła ocena lat 1933-1945? Jak uporać się z problemem winy niemieckiej wobec Żydów? Czy wypłacać odszkodowania ofiarom hitleryzmu?

Przeglądając zebrany materiał, spostrzegam że większość odpowiedzi nacechowana jest niewiedzą i bezradnością. Połowa odpowiadających nie wiedziała, co począć z pytaniem dotyczącym Żydów. Większość wypowiedziała się przeciw odszkodowaniom. Dziesięć procent młodzieży uznało czyn von Stauffenberg za „zdradę”. Niemal wszyscy uczniowie połączyli pytanie pierwsze (Traktat Wersalski) z drugim (objęcie władzy przez Hitlera), dopatrując się w tych dwóch wydarzeniach ścisłego związku przyczynowego. Zdaniem ankietowiczów, druga wojna światowa narodziła się w Wersalu. Stosunek do republiki weimarskiej: negatywny.

Na pytanie: „jaka, twoim zdaniem, była polityka Hitlera?” uczniowie „obersekundy” i „primy” udzielili następujących odpowiedzi:

Dobra	5,7%	Zła	36,7%
Częściowo dobra ..	13,2	Za wcześnie na ocenę	3,0
Z początku dobra ..	19,8	Nie wiem	6,6

Odmówiło odpowiedzi: 15%

Caveant consules... Na miejscu Adenauera, względnie jego następcy, wyciąłbym sobie powyższą tabelkę i schował do portfela. Sprawa godna posiedzenia gabinetu. Niemniej ważna od reformy podatkowej czy zdobywania nowych rynków zbytu na Bliskim Wschodzie. Tabelka, którą warto przemyśleć. Nawet jeśli nie jest typowa dla większości szkół. Ciekawe, jakby wypadły odpowiedzi w małych miasteczkach? A jak w Niemczech wschodnich?

Nie jeden czytelnik pomyśli sobie:

— Nie przesadzajmy. Są ważniejsze kłopoty na ziemskim padole. Żyjemy w atomowym potrzasku. Hierarchia „pałacowych zagadnień” od dawna uległa zasadniczej zmianie. Dziś, kiedy nie wiemy, czy jutrzejszy świat żyć będzie po sowiecku, po amerykańsku czy po chińsku, czy w ogóle nie wylicy w powietrze, nie jest chyba ważne, co czują i myślą uczniowie „obersekundy” we Frankfurcie nad Menem...

Nie trzeba się wspinać na szczytła i odpowiadać namaszczonego tonem, że zagadnienia moralne są zawsze ważne, są niepodzielne, nie tracą swej aktualności, i właśnie na tym nie najszcześliwszym ze światów, w skłóconej rodzinie człowieczej, obowiązuje nas współtroska o innych. („Izalm ja stróżem brata mego?” Jedno ze smutniejszych zdań w księgach objawionych. Wypowiada je bratobójca). Kaznodziejstwem trudno dzisiaj kogoś przekonać. Obowiązuje religia faktów.

Sięgnijmy przeto do arsenału ponurego pragmatyzmu: wcale nie jest pewne, czy niebezpieczeństwo niemieckie (przez niektórych pisane w cudzysłowie!) jest już tylko zmuszałym anachronizmem historycznym. „Straszakiem” — jak utrzymują optymiści. „Agitacja” — jak zżymają się inni, słysząc k t o mówi o nim najgłośniejszy i w jakim celu. Niechaj się jednak nikt nie ludzi w Polsce, że Niemcy (i ci nad Neckarem i ci nad Elsterą) pogodzili się z utratą Szczecina i Wrocławia. Tak nie jest.

Z każdego zatem punktu widzenia lepiej będzie, jeżeli uczniowie „obersekundy” we Frankfurcie nie wyrosną na dudowych krewniaków Heydricha czy Kaltenbrunniera. — Zgoda! — wykrzykną na to rodacy. — Ale nie mówmy w kółko o hitleryzmie. Z Niemcami nie-hitlerowskimi również mieliśmy sporo kłopotu!

Jeden z naszych rodzimych satanistów, wyznawca niemożliwej pod każdym względem zasady „czym gorzej, tym lepiej”, tłumaczy mi nawet, że najmniejszym niebezpieczeństwem dla nas, Polaków, są Niemcy rozwydrzeni, pijani nacjonalizmem i brutalnie rozpychający się w Europie łokciami, gdyż przecież t a k i m Niemcom „w razie czego” można zmobilizować straż ogniową na świecie, ale przy gładkich i grzecznych architektach pokoju i zjednoczonej Europy à la Stresemann?

A jednak, zacny fatalisto, jeśli nie mamy się zapędzić w ślepa uliczkę neurastenii politycznej, nie pozostaje nam nic lepszego jak wierzyć że „czym lepiej, tym lepiej”...

Warto by więc kiedy odwiedzić frankfurckiego wychowawcę i uścisnąć mu rękę. Czas najwyższy, aby w samym sercu naszego starego kontynentu zaczęły podraść pokolenia mądrych i szlachetnych ludzi, godnych miana Europejczyków. Dobrze, że w tym pędzącym przed siebie z zamkniętymi oczami tłumie Michelów pokaże się czasem twarz człowieka zamyślnego. To nasz sprzymierzeniec. Niechaj dalej popukuje palcem w młody, niemiecki barometr i oblicza odpowiedzi swoich uczniów z dokładnością do jednej dziesiątej procenta. To równie ważne, jak budowa nowych dróg, lotnisk i mostów. Gdy patrzę na tabelki zatroskanego pedagoga, przypominają mi się słowa Bernanosa: „Całą moją nadzieję składam w ręce francuskich dzieci...”.

Dobrze, ale... co wpisać nieznajomemu dentyście z Baden-Baden do sztambucha? Jakież różowe, rześkie zdanko: że wierzę i mam nadzieję? Że jutro będzie lepiej? I że d a l e k o padają jabłka od jabłoni?

Nie wiem.

Tadeusz NOWAKOWSKI

AMERYKA-ECHO

*Niezależne Pismo Tygodniowe
Pod Nowym Zarządem i Kierownictwem*

Daje poważne i wnikliwe artykuły o Polsce i o pracy dla Polski zagranicą. Dział dla Kobiet, Pogadanki z Czytelnikami, Kącik dla Wszystkich, informacje naukowe, powieści, poezje, humor. Czternaście stron doskonałej lektury. Roczna prenumerata w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie \$8.00, w Europie \$9.00, w Ameryce Południowej \$6.50 (ze względu na niski kurs miejscowych walut w stosunku do dolara), w Australii \$9.00.

Wysyłamy bezpłatnie egzemplarze okazowe.

*Największa Księgarnia polska w Stanach Zjednoczonych
— Na składzie ponad 270 tysięcy tomów książek.*

Posiadamy także przedstawicielstwo książek „Kultury”.

Po informacje pisać:
AMERYKA-ECHO, INC.

1154 Nebraska Avenue
Toledo 7, Ohio
U. S. A.

Młody las na obczyźnie

W styczniowym numerze „Kontynentów”, pisma skupiającego młodych poetów, przebywających w Anglii, ukazała się obszerna „Dyskusja o języku” („Cena wolności?”). Główny temat: czy młodzienci, mający ambicje pisarskie, a wychowani poza krajem, ba, często w ogóle go nie pamiętający, czy też pamiętający jak przez mgłę, posiada szanse wrośnięcia w polszczyznę, czy też raczej powinien przerzucić się na język kraju zamieszkania? Dyskusja wypadła interesująco, choć nie wyczerpała zagadnienia, pomijając wiele istotnych kwestii.

Mam przed sobą pierwszy numer almanachu „Nowe Poezje”, wydany w roku ubiegłym, w Nowym Jorku. Podobnie jak polska młodzież literacka przy „Kontynentach”, skupia się przy nim grupa najmłodszych pisarzy ukraińskich (jak i w polskim wypadku, prawie wyłącznie poetów), którzy opuścili ojczyznę w wieku dzieciennym. Analogia pełna, ale — jak zaraz zobaczymy — nie jedyna. Cztery tomiki wierszy czołowych przedstawicieli grupy, wydane nieco wcześniej (1956-58), ułatwiają zorientowanie się w estetycznej problematyce i ustalenie różnic, dzielących od starszych generacji. A są to różnice niemałe.

Jak ze wspomnianą analogią wieku? Tylko jeden z sześciu, drukujących w „Nowych Poezjach”, Bohdan Bojczuk, przekroczył trzydziestkę. Emma Andijewska urodziła się w roku 1931-ym, Bohdan Rubczak — w 1935-ym, Tarnaws'kyj — w 1934-ym, Zenia Wasylkyws'ka — w 1930-ym. Patrycja Kylyna jest najmłodsza (rok 1936), ale z powodów, o których poniżej, stanowi wypadek osobny i wyjątkowy.

Tak więc należy przyjąć, że w większości pisarze ci nie mieli dziesięciu lat, gdy wyjechali na Zachód. Dla amatorów

geografii kulturalnej garść informacji: Bojczuk, Rubczak, Tarnaws'kyj pochodzą z Ziemi Czerwieńsko-Halickiej; Wasylkyws'ka — to wołyńianka; tylko jedna Andijewska urodziła się na lewobrzeżnej Ukrainie.

Z programowego oświadczenia, otwierającego numer, nie wynika, aby ukraińscy rówieśnicy poetów z „Kontynentów” dzielili ich niepokoje i wątpliwości w sprawie języka. Z redakcyjnej notatki dowiadujemy się, że Tarnaws'kyj pisuje również po angielsku. Jednak problem „wżywiania się” w ukraińszczyźnie, zdaje się, w ogóle nie istnieje. We wstępnym oświadczeniu czytamy, że „fizyczne przesiedlenie ludzi pióra do krajów niemal wszystkich kontynentów” i spowodowane tym komplikacje nie są „sprawą istotną”. Naturalnie o zagadnieniu powrotu do kraju, czy choćby tylko składaniu wizyt w sytuacji ukraińskiej, tyle różnej od polskiej, nie może być mowy.

Po stwierdzeniu, że od dziewięciu lat literatura ukraińska na emigracji przeżywa głęboki kryzys, grupa młodzieży oświadcza:

„Ta rzeczywistość... wzmaga w młodej generacji literackiej poczucie artystycznej odpowiedzialności...”. A więc niejako ambitna zapowiedź przejęcia inicjatywy z rąk starszych. Przy tym pismo będzie „po raz pierwszy w historii ukraińskiej literatury” poświęcone poezji, pojętej wyłącznie jako sztuka. Czy należy to interpretować jako zrzucenie z siebie obowiązku służenia narodowi? Jeśli tak, byłaby to w ukraińskich warunkach emigracyjnych prawdziwa rewolucja.

Na marginesie: określiłem wypadek Patrycji Kyłyny jako wyjątkowy. Rzecz w tym, że chodzi o rodowitą Amerykankę, ze stanu Montana, która po ogłoszeniu szeregu utworów w języku angielskim, nauczyła się ukraińskiego. Jak do tego doszło, nie wiem. Jeśli nazwisko „Kyłyna” nie jest pseudonimem, być może, ta dwujęzyczność powstała w wyniku małżeństwa z Ukraińcem. Ale to tylko luźna supozycja.

Gdy więc młodzi Polacy londyńscy zastanawiają się i deliberują, czy ciągnąć dalej „eksperyment” pisanie w ojczystym języku, mowa ukraińska zdobywa sobie młodą poetkę z Montany, o czysto kozackim imieniu: Patrycja! *S p i r i t u s f l a t u b i v u l t !*



Przed kilkoma laty Mykoła Szlemkiewicz w szkicu „Zabłąkana twórczość” wzywał do „rozkucia Erosa” ukraińskiej literatury, która, zbyt jednostronnie pojawiając swój obowiązek patriotyczny, dobrowolnie poszła w jarzmo ideologii (1). Młodzi poeci, o których mowa, wyłamali się z tego jarzma całkowicie. W pięciu wspomnianych publikacjach nie znajdujemy ani śladu

(1) Omawiałem szerzej poglądy Szlemkiewicza w artykule „Poezja Jewhena Małaniuka”, „Kultura”, nr 10/96. 1955.

deklaratywności, publicystycznego utylitaryzmu, tróski narodowej, w ogóle ani razu nie pojawia się słowo Ukraina. Jeden jedyny wiersz, łudzący swoim tytułem: „Ojczyzna” — przynosi imażynistyczny krajobraz, nieco przypominający Lorkę. „Spętanego Erosa” wypuszczono na wolność.

Jest to niewątpliwie postawa świadoma, a nawet programowa. W almanachu poetyckim obok utworów oryginalnych ukazało się sporo przekładów. W krótkich przypisach informacyjnych redakcja podkreśla, że wszystkie przełożone wiersze Pabla Nerudy pochodzą sprzed socjalistowskiego, komunistycznego okresu czułyjskiego poety. A przy Paulu Eluardzie taka uwaga: „W ostatnich latach jego życia zaznaczył się, niestety, wpływ tak zwanej społecznej liryki”. To „niestety” i „tak zwanej” są dostatecznie wymowne, by uznać, że grupa „Nowych Poezji” zerwała „ideologiczne lejce” z całą świadomością i przekonaniem.

W ślad za tym przyszła zmiana poetyki. Nie jestem zwolennikiem „szufladkowania” i nalepiania etykietek. Gdy się jednak ma do czynienia z młodymi poetami, wolno chyba próbować określić, na przedłużeniu jakiej tradycji literackiej sytuują się, do kogo nawiązują. W tym wypadku nie przyjdzie to łatwo, gdyż omawiana grupa bliższa jest współczesnym kierunkom na Zachodzie, niż tradycji rodzimej. Z poezją starszych emigrantów nie ma prawie nic wspólnego, w każdym razie niewiele. Już raczej można wykryć pewne powiązania z ukraińskim odrodzeniem z lat dwudziestych: z Tycyną, Płużnikiem, Bażanem... Ale i te powiązania są dostatecznie słabe, by móc wykluczyć bezpośredni wpływ. Natomiast istnieje wyraźne pokrewieństwo z liryką anglo-saską i hiszpańską, w mniejszym stopniu z francuską. Młodzi emigranci dużo czytają, ślady tej lektury są oczywiste i naturalne. Dobór poetów tłumaczonych nie jest przypadkowy: Cummings, Ezra Pound, Eluard, Henri Michaux, Neruda, Georg Trakl. Wśród tych ojców chrzestnych najwidoczniej brakuje Eliota i Lorki. Wpływ tego ostatniego jest bardzo widoczny, zwłaszcza u Wasylkyws'kiej i Tarnaws'kiego, którzy nie na próżno w wydany w roku 1958 wyborze utworów granadyjskiego poety grają — obok redaktora antologii, Ihora Kostec'kiego — pierwsze skrzypce.

Wolny, przeważnie biały wiersz, i to często pozbawiony nawet tego wewnętrznego rytmu, który nie zależy od układów metrycznych, panuje niemal niepodzielnie. Tylko Rubczak i Andijewska uznają zwrotkę i miary tradycyjne, choć też wyłamują się z nich raz po raz. Z Andijewską sprawą jest bardziej złożona i dla krytyka kłopotliwa: wciąż nawraca do formy sonetu, ale w sposób tak dowolny i kapryśny, że niekiedy kształt graficzny oszukuje czytelnika. Jeśli w jednym kwartecie dźwięczą rymy i asonanse (dysonanse najczęściej), a w drugim znikają, jeśli tercety hasają na własną rękę, — po co właściwie upierać się przy nazwie sonetu? Tylko dlatego, że utwór ma

czternaście linijek? W takim razie każdy dowolnie rymowany ośmiowiersz zasługiwałby na nazwę oktawy.

Wszyscy są bardzo metaforyczni, najbardziej Andijewska, i nie zawsze potrafia utrzymać równowagę; ostatecznie, najbardziej skomplikowany obraz powinien rozjaśniać wiersz od środka, a nie zaciemniać. Nic nie szkodzi, jeśli metafora zaskoczy i oszołomi czytelnika; niedobrze, gdy staje się czarnym workiem, narzuconym na głowę i odbierającym widzenie. Surrealizm odegrał swoją historyczną rolę w poezji, zostawił po odpływie piękne muszle i koralowe gałęzie, ale również sporo mułu i gnijących morszczyń. Przychodzi następne pokolenie i nie zawsze umie stąpać po tym grząskim mułu bez ubłocenia się. Młodzi poeci ukraińscy widzą muszle i korale, nie zawsze dostrzegając niebezpieczeństwo zapadnięcia się w ruchomy piach (2).

Uważnego czytelnika cieszy wyraźny postęp. Wiersze, zawarte w almanachu, są na ogół lepsze od wydanych w zbiorach sprzed dwóch, trzech lat. Bardziej zwarte rytmicznie, osadzone mocniej w poetyckich konkretach, oczyszczone z przypadkowych naleciałości. Mniej słów, więcej rycznego rdzenia.

Poprzednio stwierdziłem, że poezja młodych odeszła od problematyki narodowej, od prób historiozoficznych syntez w bezpośrednim nawiązaniu do bieżących wydarzeń. Nie znaczy to jednak, że jest jej obca paląca problematyka naszych czasów. Chyba tylko jedna Andijewska, zamknięta w swoim hermetycznym gospodarstwie, nie wychyla się poza fantastyczny żywopłot metafor, w których groteska sąsiaduje z kosmogonią, najmniejszy skrawek krajobrazu przenosi się w niesamowity wymiar, na strunach gitar-olbrzymów grają równie olbrzymie szerszenie, zaś prorocy mają brody jak sumy, a na głowach „nimby z kawonów”. Ale i do niej dochodzi niekiedy dalekim echem niepokojący szum zewnętrznego świata.

„Moja poezja — to wasze rany, moja poezja — to ból!” — woła Bohdan Bojczuk w jednym z wierszy zbioru, zatytułowanego „Godzina bóleści”. Dla Wasylkywskiej słowa poety to „ścieżka, którą niekiedy przechodzi Bóg”. „Doszukiwać się tylko sedna — woła Rubczak w „Ars poetica” — jedynie nagiego bytu, sedna bytu...”. Ale także „odczuwać przestrzeń: daleki lot czarnych ptaków; odczuwać czas: ostre rysunki w czarnych jaskiniach, i wichrem wszechobejmującym wdrzeć się w swoją epokę...”.

Więc tzw. zaduma nad tajemnicą bytu łączy się jednak z troską o włączenie jej w zagadnienia współczesności, przesylenia jej „niepokojem naszego czasu”. Stosunek do współczesności jest zdecydowanie krytyczny, a nawet negatywny.

(2) Nowoczesność wierszy, zawartych w almanachu, podkreślają zamieszczone reprodukcje obrazów, grafiki i rzeźby ukraińskich plastyków, niektóre na bardzo dobrym poziomie.

Ale młodzi poeci zawsze pochylają się czule i współczująco nad losem człowieka. Można do nich zastosować znane słowa Alberta Camusa: „Świat, w którym żyję, napelnia mnie odrazą, ale czuję się związany węzłami solidarności z ludźmi, którzy w nim cierpią”. I taki właśnie jest uniwersalistyczny sens najmłodszej liryki ukraińskiej na emigracji.

Gdy ocena moralna epoki wypada negatywnie, nikogo nie zdziwi surowy katastrofizm. Pod tym względem ostatnia generacja kontynuuje dobrze już utrwaloną tradycję swoich poprzedników, wystarczy, że przypomnę Małaniuka, Hordynskiego, Olżycza... Z tą wielką różnicą, że u tamtych katastrofizm łączył się jak najściślej z losami narodowymi; tu nosi cechy bardziej ogólne. Zobaczmy to lepiej na indywidualnych przykładach.

Nie będzie też żadną niespodzianką ciągle ocieranie się o skrzydła śmierci, której cień zjawia się uporczywie, czasem nazwany po imieniu, kiedy indziej anonimowy. Już same tytuły wielu wierszy określają stan uczuciowy autorów: „Pośmiertna maska”, „Kwiaty dla umarłych”, „Rozmyślenia o mojej śmierci”, „Tutaj były groby”, „Pieśń żałości”, „Kraina czarnego żywota”, „Czarny tryptyk”, „Rozpacz”, „Pieśń bóleści”, „Epitety i epitafie”... Wyjątek znowu stanowi Andijewska, mimochodem tylko potrącająca o nisko brzmiące struny, aby natychmiast zanurzyć się z głową w rozbuchanym gąszczu swej iście tropikalnej fauny i flory poetyckiej.



Powstaje pytanie, czy nagle (choć niecałkowicie) wyłamanie się z dotychczasowego procesu rozwojowego poezji ukraińskiej wyszło tym młodym na dobre, czy nie ryzykują utworzenia samotnej wyspy, nie połączonej trwałym mostem z opuszczonym brzegiem.

Dramat piśmiennictwa i w ogóle kultury ukraińskiej ostatnich czterdziestu lat polegał — poza wyniszczeniem fizycznym tyłu wybitnych twórców i działaczy kulturalnych — na braku ciągłości, na nieustannym rwaniu się ledwie ustalonej tradycji, na improwizacji i n t e r a r m a, krótko mówiąc, na nieumożności utrzymania normalnego życia literackiego, choćby na przeciąg istnienia jednej generacji. Świadomie podejmowane próby bliższego kontaktu z Zachodem musiały się również urywać, nacisk sił zewnętrznych czynił wszystko, by Ukrainę literacką sprowadzić do poziomu głuchej prowincji.

Z drugiej strony bolesny kompleks narodowy narzucał poetom wolnym, dobrowolnie tym razem przyjęty styl prowincjalny, styl prowincji patriotycznej, docierający całą mocą wyrazu do uczuć i przeżyć w kręgu wtajemniczonych, ale tylko. Podobnie jak wiele utworów Mickiewicza, Słowackiego, Żeromskiego, nie mówiąc już o Wyspiańskim, które przy całej swej wspa-

niałości artystycznej pozostały nieczytelne poza Polską, narodowa poezja ukraińska z góry skazana była na hermetyzm, wynikający z bardzo zbliżonego partykularyzmu. Niewiele poematów Szewczenki czy Franki, w najlepszych nawet przekładach, ma szanse dotarcia do czytelnika, który nie poznał szyfru, wyuczonego przez nas na pamięć od dzieciństwa. To samo, aczkolwiek z pewnymi zastrzeżeniami, można powiedzieć o pierwszej i drugiej emigracji literackiej.

Nie wydaje się, aby wyłożone niebezpieczeństwa mogły zagrozić omawianym poetom. Świadczą o tym zarówno cytowane już deklaracje artystyczne, jak praktyka poetycka. Niebezpieczeństwo widzę gdzie indziej. Obcowanie z poezją innych narodów jest zawsze pożyteczne, ale ostateczne wyniki zależą od punktu wyjścia. Nowe doświadczenia należy konfrontować z odziedziczonym inwentarzem własnego podwórka, choćby z perspektywy Paryżów czy Nowych Jorków trąciło partykularyzmem. Silniejsze uwzględnienie najlepszych tradycji poezji ukraińskiej na pewno nie zaszkodzi. Wystarczy je przewietrzyć „wszechświatowym przeciągiem”, jak ktoś napisał, być może, zbyt patetycznie.

W niektórych wierszach, w niektórych fragmentach wierszy tej szóstki znajduję dowody, że tak się stanie. W każdym razie istnieje ku temu wyraźne możliwości.



Przechodząc do zarysowania sylwetek indywidualnych, należy zacząć od pań. Andijewska ma za sobą dwa tomy wierszy, zbiór opowiadań, więc jest na czym oprzeć się. Wasylkyws'ka sporo drukowała w czasopiśmie literackich. Gorzej z Patrycją Kyłną, trzeba ją oceniać na podstawie czterech wierszy zamieszczonych w almanachu. A z tym — przy szczupłym materiale — jak z procesem poszlakowym: łatwo popełnić błąd i wydać wyrok niesprawiedliwy.

Andijewska tkwi bez reszty w pejzażu. Prawie zawsze go mitologizuje, zaludnia świątkami, aniołami, słowiańskimi bóstwami, przerzuca na przesłach niespodziewanych metafor w czwarty wymiar, w baśniowy, nieistniejący świat. Jest w niej coś z Leśmiana, niestety, bez jego dyscypliny formalnej. Jak to bywa w fantastycznych snach, wyobraźnia poetki nie zna hierarchii zjawisk w naturze: wszystko jest pomieszane, otwiera się kosmos, przelatują olbrzymy na koniach, wodna pchła spaceruje po powierzchni strugi, ślimak sący lepką ślinę, bucza bąki, anioł łowi ryby, „podkasawszy skrzydło”, — surrealistyczne akwarium, na pewno przeładowane, chaotyczne, dyszące upałem, zaskakujące coraz to innym, dziwacznym stworem.

Wrażenie irrealności pogłębia typ metafory. Andijewska lubuje się w zestawieniach, opartych na skrajnej dysproporcji.

Gdy mówi o kawonie, który pękł od nadmiaru soku, przywołuje obraz muru rozbitego na bryły. Jezioro porównuje do końskiego oka, aniołów stworzenia przedstawia w postaci olbrzymich szerszeni. Nie, żebym odmawiał prawa obywatelstwa takiej metaforze, kryje ona jednak w sobie niejako niebezpieczeństwo. Już poeci arabscy doprowadzili ją najpierw do mistrzostwa, potem — do absurdu. Andijewska zbyt często zatracza poczucie umiaru, ryzyko utożsamiając mylnie z odwagą, bogactwo — z przeładowaniem. Najbardziej rozkiełzana wyobraźnia też powinna zdobywać się na pewne samoograniczenia.

Największym wrogiem poetki jest dowolność skojarzeń, niekiedy bez żadnego wyobrażeniowego uzasadnienia. „Mokrego ognia siedmiopudrowe sita...” — to jednak szyfr, klucz do którego mogłaby nam dać tylko sama autorka. Trzeba odróżnić najtrudniejszą choćby poezję od słownych łamigłówek.

Również zagraża Andijewskiej manieryzm metaforyczny, obsesja kilku powtarzających się motywów. Za dużo ryb w jej wierszach i za dużo kawonów. Znaczoną część dzieciństwa spędziłem na ziemi Kozaków Kubańskich, gdzie kawonów było więcej niż w Polsce kartofli. To znakomity przysmak, zwłaszcza w upalny dzień, ale w swojej liryce mogłaby już poetka dać tym natrętnym kawonom... harbuza.

Nie rozwodziłbym się tyle nad słabymi stronami poetyki Andijewskiej, gdyby nie to, że chodzi o duży talent metaforyczny i — więcej! — nieprzeciętną indywidualność poetycką.

*Młody deszcz wiadrami szumnie pluszcze,
cucić chce pobitych, utopionych.
W pniach, jak w piecach, świeżo napalono,
żar i błysk, aż niebo sływa tłuszcem.*

Tu metafora nie oddala, lecz przybliża, nie zaciemnia, lecz rozjaśnia. Przykład, jeden z licznych, jakie możliwości stoją otworem przed młodą poetką, jeśli zdobędzie się na większą samokontrolę i oczyszczenie warsztatu poetyckiego z niepotrzebnych przerostów. Nie namawiam jej, aby zaczęła podstrzygać wybujającą roślinność swej lirycznej puszczy. Wystarczy, aby wyrębała kilka orientujących ścieżek, wyznaczając jakąś topografię tego gęsto zalesionego gospodarstwa. Angielskiego strzyżonego parku z niego nie robi i nie potrzeba; pewien ład i eliminację warto by wprowadzić. „Aniołowie śpią w kartoflach... obróćni zadami ku słońcu...”, „i leżały jak kurhany na lewadach baby pjane...”. Niech aniołowie nadal usypiają w kartoflach, a baby upijają się, niech szerszenie przebiegają łapkami po „miodowych strunach”, niech Andijewska nie rezygnuje z baśniowego świata swej wyobraźni, ale niech go lepiej poetycko organizuje. Chodzi o zmysł architektoniczny, eliminujący zbędne przerosty, ten zmysł, którego jakże słusznie

domagał się przed przeszło trzydziestu laty Mykoła Zerow. Przy większym wysiłku i krytycyzmie stać poetkę i na to.



Zenia Wasylkyws'ka. Prawie jednolatka Andijewskiej, mniej rozrzutna, mniej malownicza, bardziej zwarta i oszczędna w słowach. Tłumaczka Fryderyka Lorki, wzięła sporo z jego poetyckiego inwentarza, bez szkody jednak dla indywidualnej suwerenności. Wszystkie jej wiersze utrzymują silny kontakt — nie na próżno jest wolynianką — z ziemią, czarną glebą, krzemienną skałą, z wiatrem i gwiazdami. Ale inna to przyroda niż u Andijewskiej. Surowa, związana organicznie z twardej ludzkim losem, włączająca się we wspólny, nierozzerwalny dramat. Spora kultura języka. Gdziekolwiek niekontrolowana tandeta: „Twoje usta — kanwa, na którą zejda kwiaty”. Bardzo złe. Na szczęście, takich potknięć niewiele. Jest wewnątrz, nie zawsze szczęśliwie wyrażone, zawsze poszukujące właściwego wyrazu. W sumie wydaje się: poważna przyszłość poetki.

O Kyłynie już napisałem, że materiał zbyt szczupły, by brać pełną odpowiedzialność za ocenę. Na pewno bliższa jest Wasylkyws'kiej niż Andijewskiej. Dramatyczne odczucie życia, liryka przemijania, melancholia niestałości. Oszczędność słów, zamierzona, ale nie zawsze konsekwentna. Biały wiersz, tu i ówdzie okraszony wewnętrznymi rymami. Żywił liryczny niezupełnie jeszcze zorganizowany, ciężący ku krystalizacji. Jeśli te wiersze Kyłyny, które znam, uważać za debiut, należy go określić jako szczęśliwy.



Tragiczna kondycja ludzkiego losu w naszych czasach znajduje, jeśli nie większą, to bardziej uświadomioną siłę wyrazu w utworach poetów: Bojczuka, Rubczaka, Tarnawskiego. Przy wszystkich indywidualnych różnicach łączy ich wspólna cecha, o której wspominałem już na wstępie: niepokój wyrastający z moralnego zasądzenia współczesnego świata.

„Godzina boleści” — już sam tytuł zbioru określa najlepiej lirykę Bohdana Bojczuka. Zdecydowanie tragiczna wizja epoki i zablakanego w niej bez ratunku człowieka. Życie — to „powolne umieranie”, „nie znaleźć przyjaciela, który by wsparł ramieniem”, ludzie nie mają oblicza, „ogłuszeni rykiem maszyn”, zdławieni gazeciarskim drukiem”, daremnie poszukujący dróg dla swojej bezcelowej wegetacji. Miasto jest „nielogicznym płatawiskiem ulic”, na których stoją „zgarbione budynki i kościste kościoły”, gdzie powietrze „pijane ludzkim potem i... żółtym dymem”, gdzie każdy jest sam aż do śmierci. Rzadkie chwile biologicznego optymizmu nie są

w stanie zmienić ciężkiego nastroju i tak „godzina boleści” staje się synonimem kończącej się cywilizacji.

Ten antyurbanizm jeszcze gwałtowniej występuje w poezji Jurija Tarnawskiego („Życie w mieście”). Poeta śpiewa „Hymn do miasta”, bolesny persyflaż, zapowiadający nadejście dnia, gdy z ulic wielkiej metropolii znikną żywi ludzie, a zjawią się manekiny z zegarkami zamiast serc, z kartkami papieru zamiast mózgu, a ono rosnąć będzie w dalszym ciągu, „wielkie, potężne, nieśmiertelne miasto śmiertelnych ludzi...”.

Bohdanowi Rubczakowi objawia się płaczący prorok Jeremiasz, a w „Kamienным ogrodzie” poety więcej ruin, niż drzew i posągów. W pierwszym zbiorze pesymizm i katastrofizm nie stanowią jeszcze zbyt jaskrawej dominacji, ale już wiersze ogłoszone w almanachu z całą siłą przekonania wieszczą nadejście Wielkiej Nocy, śmierć zdradzonego świata. Znamienne: im większa z biegiem lat dojrzałość artystyczna tych młodych, tym silniej wzbiera gorycz, wynikająca z odrzucenia osądzonej przez nich epoki.

Debiut Rubczaka z roku 1956-go tkwił dość wyraźnie w poezji tradycyjnej, nawiązując chwilami do „woluntaryzmu” i ostrości stylu typu Olżycza, czy Ołeny Telihi („W ostrego wiatru harcie twardnieję — błękitna stal...”). Z całej grupy jest on bodaj najbardziej umiarkowany w poszukiwaniach formalnych i może właśnie dlatego wydaje się, że zdobywa się na największą równowagę. Za wcześniej jednak na przesądzenie: dalsza droga rozwojowa stoi przed wszystkimi otworem.

Młodzi poeci bywają skłonni do nadużywania czystych pojęć, zamiast wyrażać je przy pomocy obrazów. Zbyt częste powtarzanie takich słów, jak „wieczność”, „miłość”, „samotność”, i to w samowystarczalnym kontekście, klóci się z właściwym pojmowaniem istoty poezji. „Samotność jest łagodniejsza od śmierci, samotność jest głębsza niż wieczność...” — to poetycko obojętne, p u s t e deklaracje, pozujące na głębie. Aby nastąpiło krótkie spięcie liryczne, trzeba by to samo powiedzieć inaczej. Taką bezpośredniość można od biedy uznać w wierszu polityczno-społecznym; intymna liryka powinna insynuować, nie deklarować.

Z tym wszystkim należy stwierdzić, że twórczość grupy skupionej przy almanachu, to nie tylko poszukiwania, ale i dokonania. Mimo wspomnianych już wpływów, które — należy sądzić — odpadną z biegiem czasu, gdy rzemiosło okrzepnie i rozszerzy się doświadczenie artystyczne, każdy z nich reprezentuje swój własny ton, wyraźnie zarysowaną indywidualność. Na obczyźnie wyrósł na naszych oczach młody las, zadając kłam tym wszystkim, którzy twierdzą, że literatura emigracyjna skazana jest na zagładę i nie utrzyma się poza życiem jednego czy dwóch pokoleń.

Józef ŁOBODOWSKI

Młoda poezja ukraińska

Emma ANDIJEWSKA

ANIOŁOWIE POCZĘCIA

I

Drozdzy patrzyły przez bylinę nieba
dziwnego, opadającego na wilgoć
bez formy, mowy jeszcze pozbawioną.
Gliniany półmrok sływał w dół,
w zgrzaną niepewność, w mnóstwo horyzontów...
Doliny puchły jak mydlane bańki,
siwe potwory, wymieszane z słońca,
grzmiały, bez twarzy jeszcze...
Wszystko krzątało się. Płomienie plazmy
nad światem powiewały, jak wachlarze.

II

Świt był potrzykroć. Hałas konstelacji,
zrywało brzegi, znosiło chojary,
nie pozwalało na czas rosnąć rybom.
Potop szedł światem.
Szczupaki błyskawic
cmokały wymię planety, jak pełnia.
Woda kanały otwierała w mroku,
zielona kra nieurodzonych sliżni.
Płynęła sperma świetlistego mięsa
na kraj istnienia w położniczą jasność.
Miękki skrzek żabi huczał na zakrętach:
„Któż wreszcie ruch ten zatrzyma?”
W górze, na skrawku nieba
siedziała panna, przygniatając wszechświat,
a przy niej
siedem gigantycznych gitar.
I szerszenie-olbrzymy, zdjęte z pracy,
welnianie lupy na miodowych strunach.
I od wyolbrzymionych rzeczy wiało smutkiem:
— Dlaczego nie ma ludzi, prócz tej panny,
że rechocące noże idą z piersi?
Niezdarne było wszystko, aż do płaczu,
kudlatym umęczone bólem...

III

Pierwsza parcela świata, na niej
stały szerszenie — anioły poczęcia,
przestawiający glazy światła. Z pustek
szło echo,
chwiejąc anteny na głowach aniołów.

NOCNY DESZCZ

Noc z farbami przemieszała ołów,
noc-bokserka, bab nienawistnica.
Lecą dęby na wznak i pospołu
leżą larwą w zeszytywniałych spódnicach.

Młody deszcz wiadrami szumnie pluszcze,
cucić chce pobitych, utopionych.
W pniach, jak w piecach, świeżo napalono,
żar i blask, aż niebo sływa tłuszczem.

Bohdan BOJCZUK

FRAGMENT

Radosne pokochaliśmy oblicze słońca,
co z wód błękitnych toczyło się ku nam;
noc pokochaliśmy jak matkę, co rzucała z rąk
jaskrawe muchy, brzęczące za oknem, jak gwiazdy;

i las, co zachłystywał się oparem liści,
i ptaków gaworzenie w gestych krzewach,
i pole, co spod mrocznych mgieł wznosiło
szerokie dłonie; i do nóg podpełzający

jedwabny szept zielonych traw. To pokochaliśmy.
Nierzeczywisty jakby świat, a my — pośrodku,
a wkoło szemrze dźwięczny nurt wszechświata,
jak morze, wkoło muzyka wzburzona,
światy padają i rodzą się — dla nas.

Przelatywały niekiedy zgubione
i niepotrzebne głosy ludzi,
i mrok się wdierał w duszę gniewem —
bośmy nie chcieli z nimi dzielić naszych dni.

Patrycja KYLYNA

POŚMIERTNA MASKA

Jeszcze kwitnie kamienny lotos,
jeszcze echem marmur się odzywa,
fryzy wciąż idą naprzód,
aby umrzeć tam, gdzie ściana się kończy.

Jedynie tabuny ech upraszają świętą rzeźbę,
upraszają za życiem.
Ale dokoła niej skrada się tygrys wiatru,
tygrys słońca na nią skacze,
krzemionnymi kłami szarpie ją tygrys deszczu.
Rzeźba spogląda na zwierzęta, jak na monarchów.
Jest jako człowiek zraniony grotami morza,
tonący wśród błyskających szabel fal.
Jej ręce poruszają się, jak korzenie,
już korzeniem jest jej oblicze,
prazieleni wzbiera jak przybój,
aby pochłonąć ciało świętego topielca,
fale liści mchem szminkują twarz,
cementarnymi malują farbami.

Jeszcze kwitnie kamienny lotos,
choć się wstrząsa zieloną boleścią.
Umiera rzeźba, powoli umiera jak człowiek.

Bohdan Tymisz RUBCZAK

**

Milcz! Usta wznies nad rozdeptanym mitem
i z cieniem nie walcz, rozejm z nim uzgodnij.
Po ziemi wschodzą kwiaty jadowite
najnikczemniejszej z wszystkich twoich zbrodni.

Nie czas na ptactwo dziś błękitnoskrzydłe,
coś niósł je z sobą w powódź i wśród moru,
każdego ptaka niszczą złe straszidła
twa własną ręką zmaistrowanych stworów.

Milcz. Niechaj usta gorycz soli wessą,
bo pęt lodowych szept twój nie rozwiąże;
w twych lochach dawno już przerosły pleśnią
stare stronicie najmańdrzejszych ksiąg.

Dłoń, która Łaskę niosła, teraz chłoscze
i winogrody łamie ostrym gradem,

więc ciszę nad ogrodem swym rozpostrzyj,
gdys świat swój zdradę skazał na zagładę.

**

Kłapią cyklotrony, krzyczą o zagładzie świata:
Nad przelotami głównych dróg rozlegnie się gwizd kon-
dorów, kruków i nikczemnych sów. Nad tysinami fałszywych
kapłanów zatrzępocą nietoperze, starcy zarehocą, pokazując
sine dziąsła, nastanie Wielka Noc.

Oblubieńcy lotu spłyną krwią. Prometeusze przypadną
piersiami do zimnych skał, żebraczka, stojąca przed pocztą,
będzie nakręcać staroświecki walc na zniszczonej katarynce,
stanie się całkowita ciemność, nadciągną dręczące sny.

Z balkonu zwiśnie kokon trupa, schłostanego batogiem.
Nikt nie obmyje jego stóp. Został pod nim tylko pateron i płacze
i płacze i płacze, a obojętni przechodnie depczą święty obraz
wisiela.

Wieczorami ciemnej i chłodniej. Nadchodzi Wielka Noc.

Jurij O. TARNAWS'KYJ

DWIE HISZPAŃSKIE PIESŃI
NA BEZLUDZIU

I. Dom boleści

Od morskich przezroczyстых wód,
od wód uwierających jak lzy,
zbiegłem na księżyc,
gdzie meteory gwiżdżą, jak oszalałe ptaki.

Ale pył księżycowy chlupocze jak morze,
spojrzenie słońca tnie, jak rdzawy nóż.
Przyjacielu, nie ma słodszych wód, niżli morskie,
wód, spływających pianą z sierści suchodolów.

Okno jest moim zwierciadłem,
księżyc jest moim obliczem,
ściany są moimi wrogami.
Przyjacielu, zleć archianołom,
wypal swym głosem zgniliznę milczenia!
W moim domu, oniemiałym domu
pod prześcieradłami z wapna
nieprzytomne chorują ściany.

Przyjacielu, na Boga, przyjacielu,
gdzież podziło się szkło twoich słów?

2. P i e s w i a t r u

Góry do ciebie nie mówią,
twoje pieśni nie umieją myśleć,
pod twoimi oknami smuci się ruja wiatrów!

Góry do ciebie nie mówią,
twoje pieśni są zwierciadłem twych ust,
psy pod twoimi oknami tęsknią za słońcem!

Gdy dusza słońca
przechodzi po czarnych marmurach nieba,
to właśnie wtedy duszę się w popiele snu!

Na bezludziu, na cmentarnej wyspie,
poszukiwałem winogrodu dojrzałych godzin,
a znalazłem jedynie psa wiatru.

Na bezludziu.

PIEŚŃ MIEJSKICH DZIECI

Słońce,
słońce,
ucaluj nasze ręce,
zaświeć nam oczy,
ogrzey nam ciała,
bo nasze matki śpią
w brudnych łózkach
jak wszetecznice po ciężkiej nocy,
bo nasi ojcowie pracują
wśród oszalałych maszyn
i nas zapomnieli i własne imiona.
Słońce,
słońce,
jasno nam świeć
abyśmy zapuścili korzenie
w martwy czerep asfaltu.

Zenia WASYLKYWS'KA

P O E Z J A I

Wybrzeże, ruchem fali przestonięte,
jedynie wzrok wytężywszy dostrzeżesz:

śdźbła gwiazd błękitne przewiązują lany
i śnieżna pustka błyska niewyraźnie.

Rękami zgarnąć śpiew i dróg istnienie,
porozrywane udźwignąwszy głazy,
ślać powiek szept w niezmienną zawsze przestrzeń,
gdzie każda twarz — to odpływ i horyzont.

Nie szarpać nazbyt mocno strun. I niechaj
nad wspólnym morzem, nad konarów chwiejbą
lato kadzidłem cierpkim się uniesie,
kołysze liśćmi, wiedzie rzek rozlewy,

gdzie na gałązkach dni nieodwracalność
zswisa — kryształów zadymionych grono,
a na granicy głosu trwa milczenie,
spokojny staw, przejrzysta treść przetrwania.

Lecz nie zatapiać czoła, jeno unieść
dłonie w ten dym, co dźwięcznym słupem echa
odejdzie w przystań, gdzie dojrzały księżyc
płonie nad schyłkiem dnia okrągłą pieśnią.

P O E Z J A I I

Tys jako wieniec z nasion. Światła młot
rozbije łuskę i na długo
rozjarzy ślady słów, a powódź
nie zerwie sieci, nie rozszerze wzroku,
który w półmroku zgarnia szczodrre żniwa.
Pomiędzy mleczem i miętą, na płotach
zielone żyły twoich myśli
kielkują głogiem, tarniną czarnooką,
pożogą dzikiej róży. Szum orzechów
w suchych gałęziach płynie, dziwność
przerasta czaszki i smolne pochodnie
płomieniem nad korzeniem spopielałym.

I tak się wszystko dokonywa — słowo w świetle.
W gorących gruszach ciszę tka południe,
w malinach prabyt wzrok odzyskał. Ale tan
jeszcze nie dorósł i niecierpliw niewód
zarzuca pustkę, jak siatkę na wiatry.
Odsuwasz słońce. Drogi koralowe
mrok wyścielają i strużki bławatów
spływają, umykając prosto w niebo,

promienie żyta — żółty żar — jak zbiera
żywicą sosny, morskich wód bursztynem,
łukiem podpira kroki, szumi przypływ.

W odpornej kości
rzeźbią cię, z twardych wyciosują głazów
i z drzewa, niczem bramę: świadek,
który zastania widok, miedze w kwiatach.
Nie, tyś jest wieniec. To na twoich polach,
od gromu rozjątrzonych, pełnych gliny,
napięta lat cięciwa, skaczą grzywy
krzemiennych koni, taniec nasion
wszdluż brzegu, łuk wysokiej tęczy,
tam, gdzie szyszakiem zaczerpnięte morze,
zielonym ptakiem śpiewa u rozlewów.

Przełożył Józef ŁOBODOWSKI

Poezje

ULICA PIASKOWA

wyhodowała mnie powązkowska dzielnica
czasem zła, zawsze głodna podmiejska wilczyca —
laleczki z cukru i lizaki na patyku,
oczy dzieci w orbitach ulicy,
ulicy Piaskowej

ach, jak to już dawno było,
chudy Sauer z twarzą szarego lustra
codziennie zakładał drewniany kołnierzyk
jak wiadro na żelazny hak —

bloto w plastik się zmienia,
gdy dzieci-wrzaskliwe jednokonki
pędzą na rynek
w ogrodzie starego mistrza Kleista
drzewa pełne soczystych owoców
i słoneczniki z ciężkimi głowami,
wiatr oddycha tu pełnią tlenu
obcując z ziemią

M. K. WŁODKOWSKI

KOŁO WŁOCŁAWKA

kołysze się wzgórze ciemnymi grzbietami —
stado krów spasionych sunie ociężałe
i wypija Wisłę w pociągnięciach długich —
dudnią przytłumione dźwięki
jakby echem w studni

w cichej burzy barwa —
w powietrzu rozgłośniej pobrzękuje komar

hen, tam za pagórką słońce się odmieni
w ciemnym świetle chyłkiem
w księżyc

M. K. WŁODKOWSKI

RAK

Uparty pasożyt,
niekonsekwentny,
żyje sokami gospodarza
wyrafinowanie niszcząc jego ciało,
nie składa jaj,
nie rozmnaża się,
żyje samotnie
i nie zaraża innych,
wysuwa macki-przerzuty
drogą naczyń limfatycznych,
czasem krwionośnych,
aby wreszcie zginąć
razem z ofiarą,
rodzą go nie matki,
lecz wirusy,
urazy
i resztki komórek płodowych,
a umiera od promieni
lub jak rzeszemieszek
od noża.

M. K. WŁODKOWSKI

Z WĄTPIENIE

poecie
Wiktorowi Woroszyłskiemu

Kiedy obdarci rybacy, klnąc,
wyrzucają z gniewem — puste sieci.
Kiedy dziewczyny o piersiach —

jak jabłka z Kaukazu,
których za wcześnie zrywać nie wolno —
kołyszą ciałem
— mijając leniwie:
kutry i latarnie,
kiedy widzę ludzi
w łachmanach i „fufajkach”
lęk mnie ogarnia.

Szary świt znów wróży burzę...
A w nocy —
drugi cyrk przyjechał.
A mówili — i zaufaj tu słowu —
...ileż razy mówili?
Że miał być prawdziwy teatr:
„bajlariny” i najprawdziwsi aktorzy...
I znowu —
I znowu...

— I znowu zwyczajny cyrk.
A w cyrku, zwyczajny zgiełk,
jak niegdyś —
na Ordynackiej:
przy sobocie i niedzieli.
— Tyle razy nas nabrali.
— Tyle razy skłamali.

A w cyrku?
— A w tym cyrku —
siłacze będą łamać fałszywe podkowy.
A sztukmistrze,
będą puszczać gołębie z cylindrów...
Potem,
będzie żongler Guzzi —
ten z „Carle Marle”
Później trapezy,
i ksylofon mowy.
A jeszcze potem, błazny,
drewnianym mieczem komuś głowę zetną.
— Później,
zapowie drugi antrakt — zawsze ten sam —
obleśny, łysy dyrektor.

I wtedy, w łóżach
zerwie się pokłask dyskretny.
A błazny będą śpiewać, komiczne:
kuplety satyryczne
— ani naprawdę, ani na niby —
że nikt się tym w dyrekcji
nie przejmie ani spieszy...
Na cóż więc czekać?

Rozwijajcie cyrk. Prędziej!...
Niech Wam z droższych miejsc kadzą
i niech się gawiedź cieszy.

Dla głupich i młodzieży
wstęp do cyrku bezpłatny.

Są w nim:
karły fryzyjskie,
słoń
są osty,
tresowana syrena
i arlekin z czapką w cekinach.

A błazny —
takie same, jak w cyrku
— który był niegdyś —
Tylko teraz, z syreny
starta łuska spadła...
Bilety rozdają na rogach ulic.
bo coraz trudniej się cieszyć
na widok — tylko karłów —
i brzękadła.

Kutry nie wyjdą dziś w morze.
Dziś podobno jest święto.
Lecz nie wiem jakie i czego? —
Choć o tym na Rynku
trąbią bez przerwy —
opodal gdzie bezpłatnie rozdają:
cukierki, bułeczki
i kielbaski;
pachnące anyżkiem i miętą...
Tak, tak...
To bywa kilka razy do roku.
— To musi być wielkie święto.

Na Rynku zgiełk.
Na Rynku wrzask.
— Bałamutne słowa —
Mijam wolno; rozgłośnię
i przystanki przepowiedni.
Niechęć, objęta mnie w pól, w pas...
Zniechęcony po czubki zmysłów;
brnę
— w zwałach bredni.

Ciągnę w nich, zanurzony w nocy
zawleczonej posoką jak sepią.
W wydme za miastem,

na której
wczoraj usechł krzak róży.
Chyba zawrócę?
— Ale dokąd...?
Dokąd wrócić z nocy,
która oblepia?

— Jak z tego miasta wyjść?
Jak uciec od cyrku...?

— Może przez dom obłąkanych
wyskoczyć oknem w próżnię...?
Wyskoczę!
Wyskoczę!!
„...Nie wyskoczysz.
— Z siebie trudno.

Wszystko jedno! Wyskoczę!
Wyskoczę!...
Z zyskiem — czy szkodą —
pójde wprost z dworca —
po torze,
po szpalach,
które przecież dokądś wiodą?
— — — — —
— Dokąd?
— — — — — Nie wiem.
— — — — —
— Może jednak
— do prawdziwego teatru...?

Józef JENNE

Archiwum polityczne

Powrót na punkt startu

Przy zamkniętych drzwiach i zapuszczonych storach w oknach KC PZPR w zakonspirowanym skupieniu powinien był uczcić rocznicę bitwy pod Warszawą. Bo gdybyśmy nie odnieśli wówczas zwycięstwa — nie byłoby dziś Polski Ludowej i nie byłoby granicy polsko-sowieckiej. Polska od 40 lat byłaby jedną z federalnych republik Związku Sowieckiego, a Gomułka spoczywałby w nieznanym grobie, jak tow. Kedrow (z tajnego referatu Chruszczowa) i tysiące komunistów objętych wielką czystką.

Obecna granica polsko-sowiecka — pomimo swej całkowitej bezbronności — politycznie jest niezmiernej wagi. Można sobie wyobrazić jakiś wielki przetarg między Zachodem i Wschodem, na mocy którego Niemcy opuszczą NATO, a Polska, Czechosłowacja i Węgry opuszczą Pakt Warszawski. Niezależnie od stopnia prawdopodobieństwa determinowanego zmiennością sytuacji światowej — trzeba stwierdzić, że przetarg tego typu leży w sferze rzeczy możliwych. Natomiast wycofanie się Sowieców z Litwy, Łotwy czy Estonii — a więc z terytoriów wcielonych do Związku Sowieckiego — jest problemem innej politycznej kategorii. Nie sądzę, by było możliwe wyprzeć Sowiety z tych krajów inaczej niż siłą.

Zwycięstwo sierpniowe było *de facto* tylko sprolongowaniem klęski lipcowej, która nastąpiła w 25 lat później. Ale w 1945 r. kapitulowaliśmy na lepszych warunkach i w ramach korzystniejszej dla nas sytuacji. Gdybyśmy przegrali bitwę warszawską w 1920 r. być może nie byłoby już nigdy dla nas zmartwychwstania.

Zwycięstwo sierpniowe należy do częstego w naszej historii typu zwycięstw jałowych. Owego sierpnia zamknął się właściwie okres tradycyjnej myśli politycznej, która poprzez epokę powstań wiązała nas z dawną Rzeczpospolitą. Nazajutrz

po zwycięstwie znaleźliśmy się w politycznej pustce z której Polska dwudziestolecia nie umiała wydobyć się do końca.

Wyprawa kijowska była ostatnim echem wschodniej polityki dawnej Rzeczypospolitej. W sierpniu 1920 r. ocaliliśmy stolicę i państwo grzebiąc równocześnie ideę jagiellońską raz i na zawsze. W miejsce tej idei nie umieliśmy stworzyć żadnej nowoczesnej koncepcji. Nie zdołaliśmy nigdy wyjść poza Piłsudskiego i Dmowskiego. A obaj ci mężowie stanu należeli do epoki poprzedniej i ich misja historyczna kończyła się na „przystanku niepodległości”. Polska dwudziestolecia żyła schedą Piłsudskiego — czyli czasem dokonanym. Sama nie produkowała żadnej własnej koncepcji politycznej.

Owego sierpnia myśmy Sowietów nie pobili. Myśmy ich tylko odepchnęli. Sowietów nie można pobić na przedpolu Warszawy. Sowiety pobić można tylko pod Moskwą i Lenin-gradem.

Gdyby Hitler zginął na froncie pierwszej wojny światowej a powserskimi Niemcami rządził katolicki kanclerz formatu Adenauera — nasz los byłby również przesądzony. Polska mogłaby istnieć jako niepodległe państwo tylko, gdyby czas się zatrzymał. Gdyby Rosja trwała bez zmian jako chaotyczna „Bolszewia” na poziomie z 1920 r. — a Niemcy pokornie pokoleniami godzili się na ograniczenia narzucone Traktatem Wersalskim.

Był czas — krótki i ograniczony — kiedy Rosja była pogrążona w bezładzie, a Niemcy rozbrojone. W owych bezcennych, policzonych kilku latach państwa pomiędzy Bałtykiem a Morzem Czarnym dysponowały niepowtarzalną koniunkturą historyczną. Taka koniunktura może się nie powtórzyć na przestrzeni stuleci.

Państwa w pasie międzymorskim — w szczególności Polska, Czechosłowacja, Węgry i Rumunia — politycznie nie dorosły do szansy historycznej, którą im los zaoferował. Nie umiały stworzyć systemu, który by oddzielał Rosję od Niemiec i nie rozumiały, że niepodległość jest przywilejem tych, którzy umieją ją uzasadnić. Państwo — względnie federacja państw — pełnić musi konkretną rolę — musi umieć stać się niezbędną częścią sprawnie funkcjonującego systemu. Rola historyczna, wynikająca z układu geopolitycznego, przerastała możliwości zarówno Polski jak i innych indywidualnych państw w pasie międzymorskim. Indywidualnie nie byliśmy zdolni wypełnić naszego zadania. Sprostać historycznemu wyzwaniu mogliśmy tylko na drodze zjednoczenia naszych sił i możliwości czy to w formie związku czy federacji.

To nie był problem „przedmurza” ani *cordon sanitaire*. Chodziło o coś znacznie donioślejszego a mianowicie o restaurację zdrowej równowagi sił na kontynencie europejskim.

Rozważając te sprawy z perspektywy lat nie waham się twierdzić, że tylko federacyjna inicjatywa państw pasa międzymorskiego, a w szczególności inicjatywa Polski i Czechosło-

wacji mogła uratować Europę przywracając „równowagę sił” zwicniętą rozpadem monarchii austriacko-węgierskiej.

Nie zdaliśmy historycznego egzaminu. Hitlerowska Trzecia Rzesza miała przed sobą nie sfederalizowany potężny blok, lecz szachownicę niewielkich, źle zagospodarowanych (z wyjątkiem Czechosłowacji) i źle uzbrojonych państw. Toteż Hitler zdecydował się rozgrywać nas kolejno. Sądzę, że pokusa była tak wielka, że i nie hitlerowskie Niemcy byłyby się jej nie oparły.

Historia niezależnej Europy zamknęła się na konferencji w Monachium. Była to również ostatnia prawdziwie europejska konferencja bez udziału Stanów Zjednoczonych i Rosji. Jest to niezmiernie ważna data. W tym bowiem okresie zamknął się niegodwołalnie pewien etap dziejów naszego kontynentu. Stało się oczywiste, że narody, które na gruzach monarchii austriacko-węgierskiej odzyskały swą niepodległość — zawiodły. Europa przestała być zdolna do wytworzenia zdrowej „równowagi sił”. Bez pomocy z zewnątrz — bez interwencji spoza kontynentu — nie byliśmy w stanie uniknąć supremacji Niemiec.

Z sytuacji jaka się wytworzyła Hitler wyciągnął logiczny wniosek, że jeżeli kontynentalna Europa ma być nadal rządzona przez Europejczyków — tymi Europejczykami muszą być Niemcy.

Nasza historyczna wina nie jest większa od winy Czechosłowaków czy Węgrów. Niewątpliwie osią jakiegokolwiek szerszego układu w tym rejonie Europy musiałoby być porozumienie polsko-czechosłowackie. Przeszkodą na drodze do tego porozumienia nie były Niemcy lecz Rosja. Dla nas to była „Bolszewia”, dla tradycyjnych czeskich rusofilów to był słowiański „wielki brat” — nadzieja i ostoja.

Czescy rusofile nie przewidzieli, że historycznym dziedzicem Monachium, które przypieczętowało los sukcesorów monarchii austriacko-węgierskiej stanie się Moskwa. Rosjanie są dziś najpotężniejszym narodem europejskim i rozumują identycznie jak Hitler. Jeżeli kontynentalna Europa ma być rządzona przez Europejczyków to tymi Europejczykami muszą być Rosjanie.

Czy naród w naszej sytuacji może mieć jakąś doktrynę polityczną? Prof. Sharp, którego książkę swego czasu omawiałem na łamach „Kultury” wyraził pogląd, że Polacy nie mogą mieć żadnej własnej polityki. Bez względu na to co Beck byłby czy czego nie zrobił — wynik zawsze byłby ten sam.

To jest pogląd skrajny, dyktowany osobistą niechęcią do Polski — niechęcią być może niepozbawioną konkretnych przyczyn. (Prof. Sharp przed drugą wojną światową mieszkał w Polsce i nosił inne nazwisko).

Nie ulega jednak wątpliwości, że układ geopolityczny bardzo poważnie ogranicza nasze możliwości. Polak rodzi się politycznie potencjalnie mniej wolny niż — powiedzmy — Amerykanin, Anglik czy Islandczyk. Z moralnego punktu widzenia wszyscy mają równe prawo do wolności. Ale warunki umożliwiające lub utrudniające urzeczywistnienie tego postulatu są bardzo różne. Anglicy nie wiedzą co to jest okupacja — my okupowani jesteśmy od 200 lat z bardzo małymi przerwami.

Wszystkie polskie doktryny i szkoły myśli politycznej powstały w okresie zaborów. Piłsudski, Dmowski, Witos — to są wszyscy ludzie uformowani w okresie niewoli. Jest rzeczą charakterystyczną, że Polska dwudziestolecia nie wyprodukowała żadnej koncepcji politycznej. Nasz wskrzeszony byt niepodległy zaczęliśmy od idei jagiellońskiej, a skończyliśmy na paleniu cerkwi, pacyfikacji i Ozonie Adama Koca.

Na emigracji przetrwały w formach szczątkowych tradycyjne szkoły myśli politycznej pod postacią tzw. stronnictw historycznych. Każda z tych partii powołuje się na Kraj, ale rozmowy z setkami Polaków, którzy na przestrzeni ostatnich 5 lat odwiedzali Zachód — umacniają mnie w przekonaniu, że w Polsce nikt dziś po tych liniach nie myśli. W Polsce nie brak ludzi, których można określić mianem ludowców, chrześcijańskich demokratów, socjalistów czy nawet endeków. Nie oznacza to jednak by ci ludzie związani byli z tradycyjną ideologią, reprezentowaną przez odpowiednie historyczne stronnictwa na emigracji.

Gdybym miał w jednym zdaniu ująć różnice — po dwudziestu latach rozłąki między nami a nimi — powiedziałbym, że w przeciwieństwie do nas, Polacy w Kraju nauczyli się myśleć geopolitycznie.

Większość Polaków na emigracji przez „idealne” rozwiązanie rozumie nie tylko powrót do Lwowa i Zaleszczyk — lecz również powrót do chińskiego muru na wschodzie, model 1939 r.

Nie spotkałem ani jednego Polaka krajowego, który by politykę chińskiego muru w stosunku do Rosji uważał za możliwą czy pożądaną. Przez ubiegłych 15 lat Polaków w Kraju nie zjednano dla ideologii komunistycznej wręcz przeciwnie, — ale lekcja geopolityki została zrozumiana. Polacy zagraniczni nie doceniają tej przemiany, ponieważ nie przeszli analogicznej ewolucji.

Czy w Kraju wypracowano jakąś koncepcję polityczną, która stanowiłaby opozycyjną alternatywę polityki komunistów?

Rozmawiałem niedawno z wybitnym eks-działaczem krajowym. Ów pan ofiarował mi potężny maszynopis, przedstawiający program i doktrynę stronnictwa. Jego wyjazd zagranicę był fiaskiem, bo ze swymi kolegami partyjnymi na emigracji nie doszedł do porozumienia. Dzielił ich pogląd na Rosję.

Program opracowany w Kraju podkreśla konieczność współpracy ze Związkiem Sowieckim — po dokonaniu reorganizacji ustroju Polski Ludowej po linii demokratycznej. Demokratyzacja nie obejmowałaby ani uprywatnienia przemysłu ani anulowania reformy rolnej. Program w ogólnym wydźwięku był zdecydowanie anty-kapitalistyczny.

Ale ów działacz „działa” tylko w czterech ścianach swego pokoiku. W minionym okresie „wypaczeń” cierpiał zbyt dużo, by dziś cokolwiek ryzykować. Ze swymi dawnymi politycznymi przyjaciółmi widuje się bardzo rzadko i zawsze w towarzystwie „mieszanym”, by nie stwarzać choćby cienia pozoru zebrania organizacyjnego. Nasz działacz zorganizowanie choćby grupy dyskusyjnej uważa za nierealne, a opublikowanie swych pism na emigracji za niebezpieczne.

Być może takich „działaczy” politycznych pracujących „dla szuflady” jest więcej. Ale z całą pewnością nie ma wśród nich Piłsudskich. Piłsudski nie zadowoliliby się organizowaniem „rewolucji w szufladzie” i wyjechałby za granicę.

W moim przekonaniu w Kraju jedynym politykiem nie marksistą, który ma jakąś koncepcję, jest Bolesław Piasecki. Po artykułach jakie ogłosiłem o Paxie na tych łamach nikt mnie chyba nie posądzi o sympatię dla tego ruchu. Ale analiza polityczna jeżeli ma mieć jakąś wartość nie może się opierać na sympatiach czy antypatiach.

Piasecki jest „sojusznikiem” zarówno Kościoła jak i komunizmu. Jednak jego doktryna polityczna odbiega w pewnych punktach zarówno od katolicyzmu jak i marksizmu. Obiektywna ocena działalności Paxu zależy od odpowiedzi na następujące pytanie: Dla kogo Piasecki jest bardziej niebezpiecznym sojusznikiem — czy dla katolików czy dla komunistów. W moim przekonaniu jest bardziej niebezpiecznym sojusznikiem dla komunistów.

Pax ani nie kwestionuje żadnego z dogmatów katolickich ani nie dąży do unarodowienia Kościoła. Pax odrzuca natomiast oficjalną katolicką koncepcję państwa, która posiada dziś bogatą literaturę naukową. Należy tu przede wszystkim wymienić pracę O. Arthur Fridolin Utz'a O.P. profesora uniwersytetu fryburskiego. Nie wchodząc w szczegóły trzeba jednak podkreślić trzy punkty. Po pierwsze współczesna koncepcja państwa katolickiego nie jest dogmatem. Po drugie koncepcje państwa katolickiego ulegały różnym przemianom. Po trzecie istnieje wiele państw klasycznie katolickich — jak np. Hiszpania, które swym ustrojem odbiegają niezmiernie daleko od koncepcji państwa katolickiego. Państwo katolickie winno być oparte o tzw. „zasadę subsydiarności” i wolne od jakiegokolwiek totalizmu.

Innymi słowy spór Paxu z Kościołem nie dotyczy ani dogmatów ani doktryny, ani zwierzchnictwa Rzymu i ogranicza się jedynie do koncepcji państwa. Piasecki sądzi, że w państwie

komunistycznym, które odrzuci monizm ideologiczny jest miejsce dla katolików.

Spór Paxu z komunizmem jest nieporównanie poważniejszej natury. Pax uważa się za „doświadczonego w ostrej walce socjalistycznego sojusznika partii” — lecz równocześnie odrzuca kardynalny i podstawowy dogmat marksizmu, tj. pogląd materialistyczny. Spór Paxu z komunizmem nie dotyczy koncepcji państwa. Dotyczy dogmatu i doktryny.

W poufnych, wewnętrznych „Wytycznych Ideologicznych” Paxu — czytamy m.in.:

„Młody obóz komunistyczny uznał jedynie materializm za światopogląd naukowy i w trosce o jedność swych szeregów ogłosił zasadę wyłączności materializmu jako światopoglądu dla mas wyzwalających się z ucisku klasowego. Nie wszystko jednak co jest historycznie zrozumiałe staje się przez to samo trwale obowiązujące. Obecnie według przekonania ruchu społecznie postępowego monizm światopoglądowy obozu socjalizmu przestał być narzędziem jego jedności, a stać się może powodem zwężenia jego dynamiki rozwojowej”.

Jest nie do pomyślenia, by ktoś w Związku Sowieckim mógł wystąpić z tego rodzaju tezą. Niemniej trzeba stwierdzić, że w odniesieniu do sytuacji w Polsce jest to analiza słuszna. Polacy nigdy nie zaakceptują socjalizmu dogmatycznego, jednogłównego i nie ulega wątpliwości, że monizm światopoglądowy komunizmu jest zasadniczą przyczyną uwiadu jego dynamiki rozwojowej w Polsce Ludowej.

Gdybym był komunistą uważałbym Piaseckiego za niebezpiecznego wroga. Pax uznaje przywództwo partii, dyktaturę proletariatu, nadrzędne stanowisko Moskwy — ale równocześnie dąży do utworzenia komunistycznego ruchu konkurencyjnego, nie-marksistowskiego. Ale to jeszcze nie wszystko. Piasecki dąży do zalegalizowania swego wydania polskiego komunizmu w Moskwie. Jego propozycje można ująć w jednym zdaniu: Pax odrzuca marksistowski materializm, ale nie odrzuca ideologicznego i politycznego przywództwa Moskwy. Pax chce być wprawdzie „kościółem narodowym”, ale równocześnie super-lojalnym w stosunku do czerwonego Rzymu.

Moskwa obserwuje i czeka. Nie tylko czeka ale aktywnie popiera Pax. Gdyby Piasecki nie miał tego poparcia jego „sojusznicy” z PZPR byłoby go już dawno zadławili i trudno byłoby im się dziwić. Pozycja Paxu rośnie — czego nie można powiedzieć o PZPR. Przedsiębiorstwa Paxu kwitną — czego nie można powiedzieć o przedsiębiorstwach państwowych. Gdyby Piaseckiemu powiodło się — choćby częściowo — dokonać na wsi zadania, któremu nie sprostali Zambrowski, kompromitacja partii byłaby oczywista. Pax pragnie wykazać w praktyce, czarno na białym, że w oparciu o materialistyczny marksizm niczego w Polsce dokonać nie można. To istotnie znakomity „sojusznik” partii marksistowskiej!

Pax dla Kościoła nie jest groźny. Gdyby Piasecki swoją zasobną i potężną organizację postawił do dyspozycji Kościoła Narodowego — sytuacja wyglądałaby inaczej. Ale Piasecki jest zbyt wytrawnym politykiem, by w roku 1960 wskrzeszać martwo-zrodzoną Reformację polską. Epoka reformacji jest w Europie definitywnie zamknięta. Niebezpieczeństwem dla Rzymskiego Kościoła jest postępująca laicyzacja a nie reformacja i heretycy. Zwalczając ateizm i monopol poglądu materialistycznego — Pax jest sojusznikiem Kościoła bez względu na to jak polityczną działalność Paxu ocenia Kuria Rzymska.

Jakie są zamiary Sowietów w stosunku do Paxu? Można przyjąć, że w pierwszym okresie chodziło o wprężenie prawicowo-katolickich kół do współpracy. W przełomowych momentach korzystniej jest mieć ideologicznych przeciwników „na powierzchni” niż pod ziemią. Nie może jednak ulegać wątpliwości, że w owym pierwszym okresie tak władze sowieckie jak i komuniści polscy uważać musieli ruch Piaseckiego i Bocheńskiego za fenomen przejściowy — dopuszczalny na pewnym etapie.

Ale dziś, niemal po 16 latach, trudno mówić o przejściowym charakterze Paxu. Jeżeli w planach Kremla celem Paxu było rozbicie Kościoła — czy dokonanie choćby częściowej secesji — to trzeba stwierdzić, że Pax tego zadania nie spełnił. I dziś uznać można za pewnik, że nigdy tego zadania nie spełni. Gdyby Pax reprezentował prawicowe koła katolickie, głoszące zasadą politycznego lojalizmu w stosunku do Rosji — stanowisko Kremla byłoby zrozumiałe. Można by wówczas przyjąć, że przywódcy moskiewscy wnioskuje, że dopóki komuniści w Polsce nie uporają się z religią — trzeba popierać tych katolików, którzy są prosowieccy. Ale ideologia Paxu nie ma nic wspólnego z prawicą. Program Paxu jest herezją komunistyczną — to znaczy jest komunizmem, który odrzuca marksistowski materializm. I Kreml nie tylko toleruje tę „herezję”, ale ją popiera. Dlaczego?

Kreml popiera Piaseckiego, bo wie jak wątłe i płytkie są fundamenty PZPR. Gdyby Pax przemianowano w drugą obok komunistów partię socjalistyczną i przeprowadzono wybory, w których wolno byłoby głosować tylko na PZPR albo na Pax — Piasecki odniósłby triumfalne zwycięstwo. Na jego kandydatów głosowałby bowiem nie tylko nieliczni zwolennicy Paxu, ale wszyscy przeciwnicy komunizmu.

Kreml uważa — i słusznie — że Pax robi wiele rzeczy za komunistów. Gdyby przeprowadzono choćby w części socjalizację wsi — to w końcu jest obojętne kto tego dokona — byle było dokonane.

Ale w sumie Piasecki mimo swego realizmu i rzadkiego u Polaków zmysłu organizacyjnego — jest w gruncie rzeczy utopistą. Wydaje mu się bowiem, że dla swoich protektorów na Kremlu stanie się z czasem na polskim odcinku tak nie-

zbędny, że uznają Pax za siłę polityczną. To się nigdy nie ziści.

Czytelnikowi nie nawykłemu do przestrzegania subtelności dialektycznych należy przypomnieć, że Pax jest „stowarzyszeniem” i niczym więcej. Paxowcy nazywają się również „ruchem społecznie postępowym”. Ani „stowarzyszenie” ani „ruch” ani „instytut” nie są zdolne do popelnienia jakiegokolwiek politycznej herezji. Co głosi stowarzyszenie Pax, stowarzyszenie esperantystów czy stowarzyszenie postępowych astronautów — jest bez znaczenia, dopóki cytowani panowie nie podejmują hasła wywrotowych czy godzących w ustalony porządek rzeczy. Herezję polityczną popelniać może tylko partia komunistyczna, względnie partia robotnicza czy socjalistyczna. Innymi słowy na to by być heretykiem czy reformatorem, trzeba wpięrować uzyskać odpowiedni status.

Gdyby program Piaseckiego był prawicowo-postępowy, gdyby reprezentował kierunek neo-konserwatywny w oparciu o tradycję Wielopolskiego — miałby daleko większe szanse otrzymania statusu partii politycznej niż Pax. Ale choćby Piasecki i jego sztab w służbie dla Kremla urobili sobie ręce po łokcie — Moskwa nie uzna nigdy ich „ruchu społecznie postępowego” za partię polityczną. Bo uznanie Paxu za partię byłoby równoznaczne z zalegalizowaniem heretyckiej partii socjalistycznej w ramach bloku wschodniego. Żywienie tego typu nadziei i ambicji — którym dano niedwuznaczny wyraz w cytowanych „wytycznych” — jest czystej krwi utopią. Dopóki istnieć będzie ustrój komunistyczny — dopóty o tym co to jest socjalizm decydować będą nie „postępowi katolicy”, lecz zawsze i wyłącznie komuniści.

Pax jako stowarzyszenie może być sojusznikiem PZPR w budowie ustroju komunistycznego. Ustrój ten buduje partia w oparciu o masy bezpartyjne. Do tych mas bezpartyjnych należy i Pax. Z chwilą jednak gdyby Pax zaawansował do statusu partii politycznej — sojusz by się skończył. Paxowcy przestaliby być masą bezpartyjną i staliby się członkami partii socjalistycznej, która w kardynalnych punktach swej ideologii reprezentowała by antagonistyczne stanowisko w stosunku do marksizmu.

Piasecki chciałby być czymś więcej niż agentem. I miałby po temu kwalifikacje. Ale to do czego dąży jest utopią. Jest bowiem absurdem sądzić, że wierno-poddającym lojalizmem politycznym w stosunku do Moskwy można wysłużyć z czasem przywilej odrębności ideologicznej. Najślabszą, najbardziej zdeprawowaną partią komunistyczną będzie dla Moskwy zawsze stokrotnie ważniejsza niż kwitnący i karny Pax. I na podium obok Chruszczowa będą figurowali polscy towarzysze z Biura Politycznego — ale nigdy pan Piasecki.

Kardynalnym błędem Paxu jest „socjalizm”. Tym terminem Piasecki przypieczętował swój los. Być może w sprzyjających okolicznościach Moskwa zgodziłaby się na partię pozy-

tywistów w ramach frontu narodowego. Wówczas, za cenę programowej lojalności, Piasecki mógłby wytargować nie jeden przywilej. Przy korzystnej koniunkturze i przy walorach osobistych Piasecki mógłby urosnąć do rangi narodowego przywódcy pro-rosyjskiego, nie komunistycznego obozu. Ale na nie-marksistowską partię socjalistyczną Moskwa nie zgodzi się nigdy. Raczej zalegalizuje związek monarchistów z Catem-Mackiewiczem jako prezesem. Pax jest dziś ideologicznym dziwolągiem, którym gardzą zarówno prawdziwi katolicy jak i prawdziwi komuniści.

Powracamy na punkt startu.

Wadą tradycyjnych szkół myśli politycznej jest ich obciążenie ideologiczne. W naszej sytuacji geopolitycznej istotna jest tylko koncepcja polityki zagranicznej. W praktyce jednak tradycyjne szkoły myśli politycznej z energią walczą o czystość swoich programów — problematykę polityki zagranicznej załatwiając wiązanką frazesów.

Polacy zagraniczni nie pogodzili się z geopolityką. W okresie dwudziestolecia nie godziliśmy się również z geopolityką, ale skończyło się tylko na negacji. Część Polaków w Kraju (Pax) kapituluje przed geopolityką — my ją negujemy. Obie postawy są fałszywe choć niestety bardzo charakterystyczne dla polskiej mentalności.

Piasecki kapituluje przed geopolityką z racji ideologicznej. Liga Niepodległości Polski neguje geopolitykę również ze względów ideologicznych. P. Giertych pisze otwarty list do Chruszczowa. Dlaczego? Dlatego, że jest endekiem. Gdyby był socjalistą czy ludowcem taki pomysł nie przyszedłby mu do głowy.

Dopóki zagadnienia geopolityki rozpatrywać będziemy w świetle poszczególnych ideologii — dopóty nowoczesna polska polityka zagraniczna nie ma żadnej szansy ujrzenia światła dziennego. (Naród może nie mieć ministerstwa spraw zagranicznych — ale politykę zagraniczną mieć musi).

W tym miejscu mocarstwowi „niezlomni” krzykną zgodnie: najpierw trzeba wytrzebić komunizm i wskutek tego walka ideologiczna jest sprawą najistotniejszą.

Choć w pełni doceniam znaczenie walki ideologicznej — ośmielam się twierdzić, że sprawa naszej niepodległości jest w pierwszym rzędzie zagadnieniem geopolitycznym, a nie ideologicznym. Po raz pierwszy utraciliśmy niepodległość w epoce, które komunizmu nie znała. Po raz drugi utraciliśmy niepodległość w roku 1939, kiedy Związek Sowiecki był źle zagospodarowany, źle uzbrojony i zacofany. Zostaliśmy pobici nie przez czerwoną armię, lecz przez hitlerowców.

Upadek komunizmu nie jest równoznaczny z gwarancją przywrócenia Polsce niepodległości. Między nie-komunistyczną

Rosją a nie-komunistycznymi Niemcami — niepodległość Polski może być równie nierealna jak w roku 1960. Nasze szanse poprawiłby upadek nie ideologii, ale upadek Rosji jako mocarstwa bez względu na jej ideologię.

Musimy się nauczyć podchodzić do zagadnień polityki zagranicznej bezpartyjnie, bezideologicznie, a natomiast racjonalistycznie i empirycznie. Gdybyśmy byli w większym stopniu niż jesteśmy narodem państwowym, nie musieliśmy się tego uczyć — bo mielibyśmy to we krwi. Ale ideologie i szkoły politycznej myśli zbyt długo zastępowały nam państwo. I dlatego dziś w większym stopniu jesteśmy endekami, piłsudczykami, socjalistami czy masowymi, bezpostaciowymi patriotami — niż nowoczesnymi państwowcami.

Stoi przed nami to samo zadanie, któremu nie sprostała Polska dwudziestolecia. Tak jak przed 40 laty i dziś nie ma miejsca na suwerenne, niezawisłe państewko w pasie pomiędzy Rosją a Niemcami. Musimy wreszcie definitywnie zerwać z tradycją „mocarstwowego kanarka”, który chce pożreć dwa czyhające na niego koty.

Przyjmijmy (jak pewni mocarstwowcy), że dochodzi do konfliktu zbrojnego. Przyjmijmy, że Rosja została pobita. Polska w takiej sytuacji odzyskałaby niewątpliwie byt niepodległy. Ale na jak długo? Po dwudziestu latach Rosja byłaby znowu potęgą z „cudem gospodarczym”, sfinansowanym w znacznej mierze za pieniądze amerykańskie.

Niepodległość Polski — jeżeli nie ma być zjawiskiem sezonowym — musi się opierać na innych założeniach niż czasowa niedyspozycja Rosji i Niemiec.

Problem geopolityczny jest ten sam, ale warunki polityczne uległy wielkiej zmianie na naszą niekorzyść. W okresie międzywojennym, przed dojściem Hitlera do władzy, istniała szansa utworzenia systemu państw międzymorza przy zachowaniu pełnej niezależności tak od Niemiec jak i od Rosji. Nie wydaje się by tego rodzaju bajeczna koniunktura historyczna mogła się powtórzyć w przyszłości dającej się objąć ludzkim przewidywaniem. Dziś, jakkolwiek koncepcja tego rodzaju musiałaby objąć Niemcy. I to jest konsekwencja błędów popełnionych trzy dziesiątki lat temu przez nas, przez Czechosłowaków i Węgrów. Ponieważ nie umieliśmy się zjednoczyć sami — będą nas dzielić i jednoczyć inni.

W obecnym układzie europejskim federacja środkowo-wschodnio-europejska bez udziału Niemiec czy bez udziału Rosji jest mrzonką. Innymi słowy Polacy, Czechosłowacy i Węgrzy skazani są albo na związek z Rosją albo na związek z Niemcami. Niemcy — przy zachowaniu pewnych warunków — byłiby partnerem korzystniejszym niż Rosja.

Ale rozpatrując te zagadnienia winniśmy zawsze pamiętać że interesy państwowe mają pierwszeństwo przed jakimikolwiek względami ideologicznymi. Państwo to ziemia i naród, a nie ideologia. Systemy społeczne i ideologie dziś są — jutro

może ich nie być. Ale ziemia i naród pozostają. Dlatego nie jest możliwy żaden układ z Niemcami za cenę ustępstw terytorialnych.

Pewni autorzy niemieccy rozważając los swych rodaków w NRD pocieszają się faktem, że „Niemcy wschodni są w tym samym worku co Polacy”. Cytowani autorzy chcą tą frazą dać do zrozumienia, że Polacy wcześniej czy później zrzucą jarzmo rosyjskie a tym samym pomogą w odzyskaniu wolności wschodnim Niemcom.

Osobiście wolałbym odwrócić tę tezę. Sądzę, że naszym szczęściem w nieszczęściu jest fakt, że Polacy są w tym worku co Niemcy. Ufam bowiem, że przyjdzie chwila kiedy Niemcy zachodnie zrozumieją, że ich pierwszym obowiązkiem jest przyjść z pomocą swym rodakom w NRD. Wyzwolenie Niemiec wschodnich jest możliwe tylko poprzez neutralizację całych Niemiec. Taki rozwój sytuacji otwierałby i przed nami nowe perspektywy.

Nie ma drogi powrotnej do epoki przed-monachijskiej. Europa nie wytworzy już nigdy samowystarczalnej „równowagi sił”. Równowagę europejską mogą odbudować i zagwarantować tylko Ameryka i Rosja. Stabilizacja i równowaga nie może się opierać na podziale Niemiec. Równowaga nie może się również opierać na uzbrojonej Niemieckiej Republice Federalnej, która zgłasza terytorialne pretensje pod adresem Rosji, Polski i Czechosłowacji. Jeżeli NATO ma zachować swój charakter czysto obronny — główny członek tego sojuszu na kontynencie europejskim nie może jawnie głosić polityki rewanżu i ekspansji terytorialnej. Nikogo nie przekonają zapewnienia niemieckie o „środkach pokojowych” ponieważ wszyscy agresorzy z Hitlerem włącznie nieodmiennie deklamowali o pokoju, paktach nieagresji itp.

Jeżeli przyszła polityka amerykańska zechce nadać NATO charakter prawdziwie obronny — jeżeli za jeden ze swych celów uzna dążenie do ustabilizowania sytuacji europejskiej — wówczas trzeba będzie wrócić do koncepcji pasa neutralnego obejmującego obie republiki niemieckie, Polskę, Czechosłowację i Węgry.

Tak jak 30 lat temu Europę mógł uratować związek państw pasa międzymorskiego, który by oddzielał Rosję od Niemiec — tak dziś Europę może uratować pas neutralny oddzielający Rosję od państw NATO czyli od Ameryki.

Tym którzy sądzą, że pas neutralny byłby tworem sztucznym — odpowiadam, że blok państw neutralnych w środkowo-wschodniej Europie byłby czymś znacznie bardziej normalnym niż dwie republiki niemieckie i dwa Berliny. Jakie będą konsekwencje tego podziału dla Europy i świata — jeszcze nie wiemy. Osobiście sądzą, że równoczesne zbrojenie Niemiec zachodnich i podtrzymywanie ich podziału — wcześniej lub później doprowadzić musi do kryzysu o trudnych do przewidzenia konsekwencjach.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Kronika angielska

„URODA NA POLSZCZYZNĘ”

Miałem w ręce pracę magisterską pt. „Emigracja Polska w północnej Francji”. Praca napisana jest oczywiście w języku francuskim a autorem jej jest młody Polak urodzony we Francji.

Nie miałem możliwości zapoznania się z całością ale przeglądałem rozdział poświęcony prasie emigracyjnej. Mimo, że „Kultura” wychodzi we Francji, autor jej nie wymienia. Należy więc wnioskować, że albo nie wie o jej istnieniu — albo uważa, że nasz miesięcznik nie odgrywa żadnej roli wśród emigracji w północnej Francji.

Interesujące są charakterystyki poszczególnych pism. I tak na przykład autor sądzi, że paryska „Syrena” (miał na myśli „Syrenę” przed fuzją z „Orłem Białym”) — jest arystokratyczna i odzwierciedla poglądy dawnych kół rządzących w przedwojennej Polsce.

Arystokracji w nieszczęśliwej „Syrenie” trudno się było dopatrzeć. Ale nasz magister w swojej pracy reprodukuje wiernie pogląd, w którym się wychował i wzrósł. Jest to pogląd „Narodowca”, który głosi, że w przedwojennej Polsce rządili książęta, hrabiowie, baronowie i pułkownicy.

Problem drugiego i trzeciego pokolenia emigracyjnego we Francji jest dla nas specjalnie interesujący bo sytuację, jaką tam dziś obserwujemy, będziemy mieli w Anglii za dziesięć lat.

Emigracja we Francji nie dzieli się na pokolenia, ale na fale. Mamy falę starej emigracji, falę wojennej (wojskowej) emigracji i falę najnowszej emigracji (z Polski Ludowej).

Autor cytowanej pracy magisterskiej ma daleko więcej wspólnego ze swoim ojcem i światem starej, przedwojennej emigracji niż z miejscowym kołem polskich kombatanów, o którym nic nie wie.

Można by w tym miejscu zadać pytanie dlaczego młodzi inteligenci, wywodzący się ze starej emigracji, nie czytują pism ogólnopolskich przeznaczonych dla wykształconych Polaków bez względu na miejsce ich zamieszkania.

Odpowiedź jest prosta. Nasz magister jest niewątpliwie inteligentem, ale inteligentem francuskim. W wymiarze polskim jest tylko pół-inteligentem. Jego znajomość języka polskiego, polskiej kultury i polskiej współczesnej problematyki jest dostateczna, by mógł czytać „Narodowca”, ale jest zbyt mała, by mógł czytać i rozumieć inne pisma.

Nie stawiamy tu żadnych zarzutów. Jest godne pochwały, że młodzi ludzie urodzeni i wykształceni na obczyźnie, którzy w Polsce nigdy nie byli — mówią po polsku i podtrzymują tradycję tej gałęzi emigracji, z której wyrosli. Niemniej faktem jest, że przedział jaki istnieje pomiędzy poszczególnymi falami emigracyjnymi — spowodowany jest nie tyle różnicą pokoleń ile stopniem polskiego wykształcenia.

Znam młodego polskiego inżyniera, który studia techniczne ukończył we Francji po zdemobilizowaniu się z 2 Korpusu. Pracuje na samodzielnym stanowisku w jednym z miast północnej Francji. Na poziomie francuskim ów inżynier jest pierwszorzędnym fachowcem — znającym dobrze język i miejscowe warunki. Na poziomie polskim — jest to typowy polski inteligent z otwartą głową, zorientowany w sytuacji krajowej i emigracyjnej. Czyta wszystkie polskie nowości i współczesna problematyka polska nie ma dla niego tajemnic.

We Francji mamy i innych polskich inteligentów. Są to synowie starych emigrantów, którzy swą polskość, tradycję i obyczaj zachowali z wiernością godną szacunku i pochwały. Ale na ogół młodzi inteligenci, wywodzący się ze starej emigracji, nie szukają zbliżenia do nowej wojennej emigracji. Nie czytują ani „Kulturę” ani londyńskich „Wiadomości” — choć czytują periodyki francuskie na analogicznym intelektualnym poziomie.

Nie sądzę, by tych ludzi można „zaagitować” politycznie czy zainteresować rozłamami i skandalami emigracyjnymi polskiego Londynu. Nie wydaje mi się również, by do młodych ludzi uformowanych w szkole francuskiej i wykształconych na francuskich uniwersytetach przemawiał wschodni werbalizm i frazesowiczostwo naszych wojskowych i cywilnych mężów opatrzościowych.

Można by natomiast podjąć próbę przekonania tych młodych ludzi, że jest rzeczą korzystną i *popłatną* znać język polski możliwie na najwyższym poziomie.

Nie wszyscy Polacy na emigracji zdają sobie sprawę z faktu, że nigdy dotąd nie było takiej „urody na polszczyznę” jak obecnie. Nigdy dotąd tylu cudzoziemców nie uczyło się polsku. Kilka dni temu odwiedził mnie młody polski stypendysta z Oxfordu i opowiadał mi, że wielu Czechów, Węgrów a nawet Anglików uczy się po polsku. Na odpowiedzialność mojego sympatycznego informatora odnotowuję fakt, że są w Oxfordzie studenci Angliki, którzy czytają „Kulturę”.

Wiem od przyjezdnych z Kraju, że po polsku uczy się wielu Rosjan, Czechów, Węgrów a nawet Rumunów. Na tę popularność polszczyzny składa się kilka przyczyn, ale myślę że dwa momenty są w tej sprawie decydujące. Po pierwsze — piśmiennictwo polskie, prasa, literatura — mimo cenzury bije o głowę pod względem jakości produkcję słowa drukowanego w innych krajach bloku wschodniego. Był czas, że w Czechosłowacji za numer „Po Prostu” można było dostać parę doskonałych butów. Wiem to od Polaków, którzy dokonywali tej transakcji. „Po Prostu” zamknięto, ale w porównaniu z komunistyczną prasą sowiecką czy czechosłowacką — polska prasa krajowa jest wciąż jeszcze olśniewająco różnorodna i zachodnia. To samo dotyczy literatury. Za numer „Twórczości” z essayem Kolakowskiego pt. „Kapłan czy błazen” w Pradze można zażądać każdej ceny. Niestety tego numeru już od dawna w Warszawie nie można dostać.

Innymi słowy znajomość polszczyzny dla obywateli bloku wschodniego stała się cenną i pożądaną umiejętnością. Polszczyzna otwiera bowiem okno na inny świat, o którym sowiecki czy czechosłowacki obywatel nie władający językiem polskim wie tylko z opowiadań i niepokojących tatarskich wieści.

Jeżeli jednak powyższy obraz ma posiadać pewne znamiona obiektywizmu należy uzupełnić go następującą uwagą. „Uroda na polszczyznę” w bloku wschodnim jest w pewnej mierze koniunkturalna. Konkuruje z zwycięsko z piśmiennictwem sowieckim nie dlatego, że jesteśmy bardziej genialni niż Rosjanie — ale dlatego, że nasz kaganiec jest ze sznurka, a ich kaganiec ze stalowego drutu. Gdyby kiedyś wyzwolono z kagańców tak piśmiennictwo polskie jak i rosyjskie — nasza koniunktura skończyłaby się natychmiast. Nie ma wątpliwości, że Rosjanie potrafiliby produkować wspaniałe pisma i periodyki i wskrzesić wielką literaturę rosyjską, oczywiście gdyby ich obdarowano wolnością. Ale na to nie zanoszą się na razie, więc koniunktura na polszczyznę trwa.

Istnieje jeszcze druga dyskretniejsza przyczyna popularności polszczyzny wśród narodów środkowo-wschodnio-europejskich. Język rosyjski — choć pełen czaru i urody — jest językiem zaborczego imperializmu. Poprzez asocjacje polityczne budzi zrozumiałą niechęć. Dźwięk mowy rosyjskiej ludziom w Budapeszcie kojarzy się z chrzestem czołgów, a nie ze śpiewną stancją puszkiniowskiego wiersza. Polska jest po Rosji największym europejskim krajem bloku wschodniego. Polszczyzna jest wolna od politycznego stygmatu. Węgier czy Czech wybierając język polski jako „lingua franca” bloku wschodniego — manifestuje sympatię dla najmniej totalitarnego z totalitarnych państw świata, jak również daje wyraz swej osobistej niezależnej postawie.

Ala to wszystko jest tylko obszerniejszy margines, gdyż w niniejszej notatce interesują nas emigranci a nie sytuacja w bloku wschodnim.

Na emigracji istnieją dwa typy polszczyzny. Drugie pokolenie urodzone na obczyźnie w większości wypadków włada już tylko „polszczyzną domową”. Jest to język, którym mówi się z rodzicami oraz z emigrantami przynależnymi do pokolenia rodziców. Dzieci i młodzież urodzona w Anglii czy we Francji — między sobą nie mówią „polszczyzną domową” lecz po angielsku lub po francusku. Jest to zrozumiałe jeżeli się weźmie pod uwagę, że nie tylko nauka w szkole ale całość poza-domowego życia — sporty, gry, zabawy, przyjaźnie i pierwsze miłości — wszystko toczy się w ramach języka kraju osiedlenia. Zasięg „domowej polszczyzny” kurczy się wybitnie pod wpływem telewizji.

„Polszczyzna domowa” jest językiem odciętym od druku. Tym językiem mówi się z rodzicami ale ani się nim pisze, ani się w nim nie czyta. Znam osobiście dwudziestotrzyletnią Polkę, która ze swoim narzeczoną 24-letnim Polakiem koresponduje po angielsku. Choć mówi płynnie „polszczyzną domową” — przyznała w rozmowie ze mną, że byłoby jej trudno opisać po polsku wrażenia z teatru czy podzielić się refleksjami notowanymi na marginesie lektury (oczywiście lektury angielskiej).

Ala nie ulega wątpliwości, że młode pokolenie emigracyjne mogłoby stosunkowo nie wielkim wysiłkiem opanować w pełni polski język literacki w słowie i w piśmie. Nie trzeba z tego robić patriotycznej piły — nie trzeba deklamować o obowiązku, tradycji, wierze przodków itd. Trzeba natomiast użyć argumentu racjonalnego. Trzeba młodych przekonywać, że to się opłaca, że to jest dobry „business” — znać w słowie i w piśmie drugi z kolei największy język słowiański. Dobra znajomość języka polskiego nie tylko poszerza horyzont myślowy, lecz również przed młodym Polakiem urodzonym w Anglii czy we Francji otwiera nowe możliwości w karierze.

Niedawno zmarły świetny historyk angielski, Sir Lewis Namier, nie byłby tym kim był i kim pozostanie w piśmiennictwie angielskim — gdyby nie umiał po polsku.

Ala trzeba coś wiedzieć o danym kraju o jego historii i kulturze, żeby zainteresować się językiem. Nie jedni bogobojni rodziciele oburzają się w tym miejscu — niemniej twierdzą, że często łatwiej jest zapalić się do polszczyzny Czechowi, Węgrowi czy nawet Anglikowi niż młodemu Polakowi urodzonemu na obcej ziemi. Bywa niestety, że dla takiego młodzieńca polszczyzna jest wspomnieniem nudy sobotniej szkoły — synonimem swarów i kłótni z kulturą kraju osiedlenia. Łzawy wspominkowy sentymentalizm, rocznicowe akademie, papierowi krakowiacy, amatorskie deklamacje — co w tym ma być atrakcyjnego? Nie można uczyć wspominków ludzi, którzy nie mają niczego do wspominania.

Szkola, telewizja, radio, ulica, sąsiedzi, sklepy, boiska sportowe — kraj osiedlenia agituje milionem ust. A polską kulturę i polski język reprezentuje tylko starszy pan i starsza pani czyli rodzice. Należałoby odwrócić porządek rzeczy. To rodziców winno się posyłać do sobotnich szkół a nie dzieci. Ich zadanie jest niezmiernie trudne, a przeważnie są do niego zupełnie nie przygotowani.

Polakom urodzonym za granicą trzeba umieć przedstawić polskość jako atut, nie jako stygmat. Ale wprawdzie trzeba być o tym samemu przekonanym.

GENERALOWIE

Na wstępie zaznaczam, że nie choruję, jak wielu moich kolegów po piórze, na „generalofobię”. Jestem starym żołnierzem nic więc dziwnego, że bardzo niechętnie podejmuję polemikę z generałami. Ale z chwilą gdy generał wkracza na mój teren zawodowy, łapie za pióro i atakuje „Kulturę” — nie pozostaje mi nic innego jak z kurtuazją podjąć rzuconą rękawicę.

Gen. Sosnkowski w swym liście z dnia 15 sierpnia br., ogłoszonym rocznicę zwycięstwa pod Warszawą — zauważył, że nie możemy wykluczyć wojny z naszych kalkulacji politycznych choćby najwymowniejsi dziennikarze przekonywali nas, że jest inaczej.

Z tym poglądem należy się zgodzić. Wojny niestety wykluczyć nie można i choć znam sporo wymownych dziennikarzy — nie znam ani jednego który by twierdził, że wojna jest wykluczona. Niestety nie jest.

Gen. Sosnkowski w swym liście z dnia 15 sierpnia br., ogłoszonym na łamach kanadyjskiego „Związkowca” — posunął się o krok dalej stwierdzając, że „.....analiza i obserwacja sił działających po obu stronach światowych barykad nie pozwala na dalszą metę wierzyć w pokojową koegzystencję”.

Co innego jest nie wykluczać wojny z kalkulacji i przewidywań, a co innego jest wojnę uważać za nieuchronną. Kiedyż ta wojna ma nastąpić?

Według gen. Sosnkowskiego — „rozgrywka końcowa generalna nie nastąpi prawdopodobnie wcześniej, zanim imperializm czerwony nie umocni się należycie na olbrzymiej i głębokiej bazie obejmującej kontynent azjatycki i przypuszczalnie również afrykański”.

Śliczne perspektywy. Ale wydaje mi się, że wojenny pesymizm Generala jest zupełnie nieusprawiedliwiony. Jeżeli przyjmemy, że Ameryka i mocarstwa zachodnie dopuszczają do „należytego umocnienia się” Sowietów na całym kontynencie Azji i na kontynencie Afryki — wojna w takiej sytuacji okaże się niepotrzebna. Będzie oczywiście, że Zachód skapitulował bez wojny.

Zasadniczy spór i przedmiot polemiki dotyczy jednak innego zagadnienia. Zespół „Kultury” choć nie wyklucza wojny (bo niestety wykluczyć jej nie można) nie wiąże polityki niepodległościowej z wojną. Nie stawiamy na wojnę. Natomiast obóz, któremu przywodzi gen. Sosnkowski de facto liczy tylko na wojnę i nie ma żadnego innego programu.

W serii artykułów ogłoszonych na tych łamach zobrazowaliśmy wszechstronnie nasze poglądy na wojnę wykazując, że katastrofa nuklearna nie prowadzi do niepodległej Polski ani w ogóle do nikąd.

Ponieważ wojny nuklearnej nie można wygrać — uważamy, że należy wygrać pokój. Nigdy nie przewidywaliśmy i nie przewidujemy, że Ameryka i mocarstwa zachodnie dadzą się wyprzeć z kontynentu azjatyckiego i afrykańskiego. Przeciwnie, sądzimy, że wolny świat uszanuje narodowe i wolnościowe dążenia ludów kolorowych i dopomoże im zachować niezależność.

Jeżeli wojna atomowa dla żadnej ze stron jest nie do wygrania — to nie mamy przed sobą wyboru. Musimy wygrać pokój albo ponieść klęskę. W naszym przekonaniu pokój można wygrać — wojny nuklearnej nie.

Rzeczą najbardziej zdumiewającą w tej całej sprawie jest fakt, że gen. Sosnkowski uważa, iż nasze poglądy są „ultra-postępowe”. Słowo „ultra-postępowe” ujął General w cytowanym liście w cudzysłowie.

W gruncie rzeczy nasze poglądy na to zgadnienie są mało oryginalne i nie mają nic wspólnego z postępowością. Tak jak my, myśli ogół oświeconej publiczności na Zachodzie z wyjątkiem kilku polskich emerytowanych generałów.

Ale czasem człowiek, który ośmiela się myśleć inaczej niż większość — myśli właściwie. Jestem ostatnim, który by temu przeczył. Anty-konformizm był zawsze bliski memu sercu. Rozpatrzmy więc spokojnie poglądy gen. Sosnkowskiego, którym nie brak oryginalności.

Gen. Sosnkowski jest chyba jedynym już nie tylko na Zachodzie, ale na całym świecie generałem, który uważa, że „wcale nie jest pewne czy w owej rozgrywce końcowej, zwanej popularnie III wojną światową — zostanie wprowadzona do gry broń atomowa”.

General przypuszcza, że tak jak na skutek „cichego porozumienia” w drugiej wojnie światowej nie użyto gazów trujących — tak na skutek „cichego porozumienia” strony walczące powstrzymają się od użycia broni nuklearnych w trzeciej wojnie światowej.

W jakim celu General wysuwa tak nieprawdopodobne pobożne życzenia? Dla celów politycznych. By uczynić wojnę nie tylko strasniejszą, lecz przede wszystkim, by przywrócić jej charakter narzędzia politycznego. I tu myli się nie tylko jako wojskowy, ale i jako polityk.

Na swym kanadyjskim odludziu General duma o sytuacji, którą ludzie na kontynencie europejskim uważają za koszmar wiszący nad ich głowami. Co stanowi istotę tego koszmara? Istotą tego koszmara stanowi lęk, że któregoś dnia Sowiety ruszą naprzód „konwencjonalnymi siłami”. Wówczas

w Londynie i w Waszyngtonie zaroi się od doradców, którzy będą gardłować, że dopóki Rosjanie nie użyli broni atomowej — Zachód nie powinien jej również wprowadzać do gry. Cóż można by przeciwstawić sowieckiemu „wałowi mięsa” setek dywizji? Kilka czy kilkanaście dywizji NATO. W takiej sytuacji zrezygnowanie z użycia broni atomowych byłoby równoznaczne z oddaniem kontynentu europejskiego Sowietom.

Całe szczęście, że gen. Sosnkowski nie jest generałem amerykańskim, bo to byłoby istotnie katastrofą. Gdyby generałowie amerykańscy zaczęli wygłaszać tego rodzaju poglądy — w Moskwie odczytano by je jako zapewnienie że „deterrent” nie zostanie użyty. A przecież całe bezpieczeństwo Europy kontynentalnej opiera się nie na rozrzedzonych dywizjach NATO, lecz na atomowym „deterrent” i gotowości jego użycia.

Koncepcja „wojny konwencjonalnej” jest wodą na młyn wyłącznego bloku wschodniego. Trudno pojąć, że zawodowy wojskowy może mieć na ten temat jakiegokolwiek wątpliwości. Wojnę konwencjonalną przeciwko koalicji sowiecko-chińskiej Zachód musiałby przegrać — ponieważ Sowiety i Chiny dysponują wprost niewyczerpanym rezerwuarem armatniego mięsa. Gdyby przywódcy sowieccy i chińscy choćby przez chwilę dali wiarę przypuszczeniom gen. Sosnkowskiego — wojnę mielibyśmy tego samego dnia. Ale na szczęście dla nas wszystkich przywódcy w Moskwie i w Pekinie nie podzielają poglądów gen. Sosnkowskiego i uważają za pewne, że w razie otwartej agresji Amerykanie nie zawahają się użyć broni nuklearnej.

Dopóki narody nie zorganizują prawdziwej ponad-narodowej władzy o atrybutach rządu światowego — wojny nie można wykluczyć. Podzielamy pogląd rzeczoznawców, że światowa wojna nuklearna prawdopodobnie żadnej ze stron nie przyniosłaby zwycięstwa. Powrót do wojny „konwencjonalnej” nie jest możliwy ani ze względów technicznych ani politycznych. „Milcząca umowa” nie użycia broni atomowej — z czym zdaje się wiązać swe nadzieje gen. Sosnkowski — równałaby się samobójstwu Zachodu. Choć jesteśmy jak najdalej od „orientacji wojennej” i wierzymy w pokojowe rozwiązanie obecnego konfliktu — uważamy, że w razie rozpętania przez Sowiety wojny w skali światowej Stany Zjednoczone miałyby moralne prawo i obowiązek użycia całego swego potencjału obronnego z bronią nuklearną wyłącznie. W obecnej sytuacji jedynym realnym fundamentem pokoju może być tylko niewzruszona wola obrony wolnego świata wszystkimi rozporządzalnymi środkami.

Wojna przestała być instrumentem polityki ponieważ w przeciwieństwie do gen. Sosnkowskiego — fachowcy tzn. generałowie amerykańscy i sowieccy nie mają złudzeń i wiedzą doskonale, że w obecnej fazie rozwoju technicznego wojna światowa musiałaby być wojną atomową. Gdyby bronie atomowe nie istniały — wojna sowiecko-amerykańska byłaby już w toku.

Na Święto Żołnierza można rodakom ofiarować garść serdecznych i krzepiących słów. Ale jak się nie ma niczego absolutnie do powiedzenia — jak się nie rozumie współczesnego czasu i sytuacji — lepiej jest milczeć i nie bawić się w wyrocznie. Tym bardziej, że od gen. Sosnkowskiego i obozu, który reprezentuje — po Wrześniu, po Powstaniu Warszawskim po Akcie Zjednoczenia — przywództwa i wyrokowania nie oczekuje nikt. Mamy dosyć.

ŁĄCZNOŚĆ Z KRAJEM

Prawdziwa łączność z Krajem uprawiana jest tylko przez instytucje emigracyjne i przez emigrantów. Biuletynów wydawanych przez reżymowe Tow. Łączności z Polonią absolutnie nikt nie czyta.

Nasza sytuacja jako emigracji jest uprzywilejowana, gdyż mamy swobodny dostęp do wszystkich pism i książek wydawanych w Polsce — natomiast nasi rodacy krajowi są odcięci od polskich pism i książek wydawanych zagranicą. Innymi słowy to my mamy coś do zaoferowania Polakom odwiedzającym Zachód a nie odwrotnie.

Członkowie wielkich i potężnych partii komunistycznych, które nie mogą być nawet porównane z PZPR — mają dostęp do całej prasy światowej. Mam na myśli komunistów włoskich i francuskich. Ale nagrodą za zdobycie władzy jest kaganiec.

Mądra polityka musi się opierać na obiektywnym rozeznaniu sytuacji. Władze reżymowe nie są w możności zabronić Polakom odwiedzającym Zachód czytania „Kultury” i polskich książek wydawanych zagranicą. Jako londyński korespondent „Kultury” na przestrzeni 11 lat — rozdałem wiele setek książek i egzemplarzy „Kultury” Polakom odwiedzającym Londyn. A tym bardziej redakcja w Maisons Laffitte. Wśród nich nie brakło członków partii. Jeden, jedyny wyjątek ustanowił członek Paxu (w owym czasie dość ważny), który odwiedził mnie w początkach 1957 r. Odwilił była w pełni — stalinowcy wyjeżdżali na taczach — ale mój gość rozpoczął rozmowę od następującej deklaracji: „Bardzo proszę by mi pan nawet nie pokazywał waszych wydawnictw, czy innych nielegalnych druków emigracyjnych”.

Zawsze powtarzam: — gdyby kiedyś Piaseckiemu zapalili zielone światła — on zrobiłby „porzundek” w KC. Szafa grałaby aż miło.

Ale wracamy do tematu. Jest oczywiście, naturalne i zdrowe, że każdy inteligentny rodak, gdy znajdzie się zagranicą, chce bezpiecznie i swobodnie przeczytać tak świetne książki jak „Pornografię” Gombrowicza czy „Rodziną Europę” Miłosza. Walczyć z tym jest nonsensem. Jedyną rozsądną polityką byłoby udać, że się o tym nic nie wie.

Ale komuniści gardzą *common sens*em jako filozofią przyziemną małych burżujów. Z drugiej zaś strony Polaków zagranicznych przesiąkniętych zachodnią modłą życia — śmieszy brak *common sens*u. Zatraciliśmy zdolność traktowania nonsensów poważnie. Nonsens wydaje się nam nieprzepracje komiczny.

Nigdy nie tailiśmy i nie taimy, że korzystamy zawsze z każdej okazji, by Polakom odwiedzającym Zachód udostępnić możliwie największą ilość naszych wydawnictw. Ponieważ wiemy, że Polacy przyjeżdżający z Kraju nie mają dewiz — robimy to darmo. Od początku naszej działalności każda książka i każdy numer „Kultury” ma nadwyżkę przeznaczoną na kraj. Koszta tej nadwyżki są wkalkulowane w cenę, którą płaci czytelnik emigracyjny. Nie może być tego zbyt dużo przy naszych możliwościach. Cieszymy się więc ilekroć jakaś instytucja emigracyjna kupuje od nas książki i „Kulturę” dla turystów z Polski. Niestety instytucje, o których mowa kupują od nas na ten cel znacznie mniej książek niżby należało. I robią to na zbyt małą skalę.

Są organizacje emigracyjne, które starają się wykorzystać większe okazje, takie jak Festiwal Młodzieżowy w Wiedniu czy Olimpiada w Rzymie. Prasa komunistyczna za każdym razem stara się te akcje „zniszczyć” serią komicznych nonsensów. I tak na przykład „Sztandar Młodych” — oskarża o współudział w rozdawnictwie książek w Rzymie w czasie Olimpiady, Tadeusza Parczewskiego, działacza społecznego na terenie paryskim, robiąc z niego konfidenta policji francuskiej i agenta wszystkich możliwych wywiadów z Watykanem włącznie. W tej samej notatce „Sztandar Młodych” zrobił z Witolda Zahorskiego również „agenta wielu wywiadów” i na dobitkę „konfidenta policji włoskiej”.

Byli żołnierze 2 Korpusu w kraju i zagranicą znają dobrze Zahorskiego, ponieważ jest prezesem Koła Kombatanów w Rzymie i opiekuje się grobami polskimi na Monte Cassino. Obaj wymienieni mają dokładnie tyle wspólnego z wywiadem co Chruszczow z Watykanem.

Charakterystyczny jest w tym wszystkim ów pogardliwy stosunek do sensu i prawdopodobieństwa. Normalnie można być agentem tylko jednego wywiadu. Ale tu nie chodzi o sens czy prawdopodobieństwo tylko o spiętrzenie absurdałnych oskarżeń z założeniem, że nikt w to oczywiście nie wierzy. Ani ten co pisze, ani ci co czytają. Tego rodzaju technika może się wyrobić tylko w ustroju, w którym zdrowym rozsądkiem i sensem pomiata się każdego dnia.

Kto w to ma wierzyć? Oczywiście nikt, bo przecież nie o to chodzi. Chodzi tylko o to, by było napisane zgodnie z ukazem z góry.

Z jednej strony administracja warszawska wydaje pieniądze na Towarzystwo Łączności z Polonią i na dziesiątki bezsensownych pisemek — z drugiej strony, na każdym kroku ośmiesza się w opinii Polaków zagranicznych. Naczelna zasada wszelkiej propagandy — czy chodzi o nowy ustrój społeczny czy o nową pastę do zębów — brzmi: nie szkodzić! Propagandysta, który ośmiesza towar zamiast go reklamować — sabotuje.

LONDYŃCZYK

GALERIA GRABOWSKIEGO

ZAPRASZA DO ZWIEDZANIA CO MIESIĄC
NOWEJ WYSTAWY W LOKALU GALERII

84, Sloane Avenue, London S. W. 3

Sąsiedzi

Przegląd niemiecki

Tegorocznym zjazdem Związków Wysiedleńców nadawano specjalnie uroczysty charakter z powodu przypadającego w sierpniu dziesięciolecia „Charta der deutschen Vertriebenen” (Deklaracji niemieckich wysiedleńców). Szczytowym punktem ogólnych uroczystości był zjazd delegatów w Sztuttgarcie.

Zgodnie z ustalającą się tradycją, cykl dorocznych manifestacji zakończono w Berlinie uroczystością zwaną „Tag der Heimat”. Osobliwością tegorocznego berlińskiego „Dnia” było: — zaproszenie Gomulki do wzięcia udziału oraz, jako protest przeciw urządzaniu tej imprezy w Berlinie — pięciodniowe zamknięcie granic Niemiec Wschodnich dla obywateli Republiki Związkowej, a na skutek tego gratisowe przeloty do Berlina dla tych, których nie przepuszczono przez zonę sowiecką.

Przebieg tych wszystkich manifestacji nie wykazywał istotnych zmian znanej polityki Związków Wysiedleńców, zaś mowy dygnitarzy państwowych przejawiały raczej troskę o wybory, przypadające w jesieni 1961 roku, niż o koncepcję polityczną przyszłych stosunków. Pozornie wygląda tak jakby zagadnienie przyszłości polsko-niemieckiej zastępyło w tragicznej sytuacji bez wyjścia, w nierozwiązalnym sporze granicznym.

Jednakże za fasadą pozorów — pracowicie formowanych i propagowanych, głównie przez kierownicze koła Związków Wysiedleńców ze starszego pokolenia, przy olbrzymim nakładzie wysiłków i funduszy — coraz częściej i donośniej odzywają się głosy krytyczne. Takimi wydarzeniami stały się ostatnio wystąpienia dwóch znanych seniorów uniwersytetu w Bazylei: — wywiad, jakiego udzielił telewizji zachodnio-niemieckiej filozof Karl Jaspers, i — cztery pytania, jakie teolog Karl Barth podsuwa do rozważenia „pozbowionym stron rodzinnym” ewangelikom niemieckim.

Wystąpienie Jaspersa w telewizji poruszyło tabu licznych polityków niemieckich, jakim jest bardzo wieloznaczne pojęcie „Wiedervereinigung”. Pod owym „Zjednoczeniem” można rozumieć równie dobrze: — połączenie w jedną suwerenną całość wolnych Niemiec Zachodnich z uzależnionymi obecnie od Związku Sowieckiego Niemcami Wschodnimi z uznaną granicą wschodnią na Odrze; — można pod tym samym określeniem

rozumieć przywrócenie granic wschodnich Republiki Wejmarskiej, albo Rzeszy Bismarcka; niektórzy uchodzący sudeccy do „Zjednoczenia” włączają także tereny wymuszone na Czechach w osławionym układzie monachijskim z 1938 roku; — znalazłoby się pewno i tacy, dla których granice Wielkich Niemiec Hitlera byłyby dopiero pełnym zjednoczeniem.

Jaspers twierdzi, „Wolność ma pierwszeństwo przed zjednoczeniem” i wyjaśnia:

„Niemiecka Republika Związkowa jest dzisiaj nikłym państwem, które może utrzymać się tylko w powiązaniu i pod opieką Wielkich. Niemcy Wschodnie w ogóle nie są państwem, lecz terenem pogwałconym przez obce panowanie. W takiej sytuacji pytamy: Jak można wyratować z niewoli naszych współziomków na wschodzie? Czy jedynym sposobem jest nawrót do zjednoczenia terenów objętych państwem Bismarcka (w dalszej konsekwencji wieczne negocjacje granicy, Odry-Nysy)? Odpowiadam:

1. Wielkością, od której to dziś zależy, jest Konfederacyjna Jedność Europy i Europy z Ameryką. Czy w tej Wielkiej Jedności, nieodzownej dla samostanowienia wszystkich wolnych państw, konfederacyjnym członem zostanie jedno czy kilka państw niemieckich, będzie to mało ważne dla wspólnych losów.

2. Stosownie do powyższego należy zbadać czy domaganie się zjednoczenia jest najlepszym sposobem uwolnienia naszych współziomków, czy nie stanie się ono obciążeniem dla nich.

Zdaję sobie sprawę jak takimi wypowiedziami spotwarzam ulubione wyobrażenia. Nie pragnę martwić kogokolwiek, ale zaklinam moich czytelników, by spojrzeli w twarz rzeczywistości, by zrewidowali własne uczucia i bez rozważań niczego nie nazywali nietykalnym”.

Profesor Barth porusza zagadnienie pojęć „Heimat” i „Recht auf Heimat”. (Słownictwo polskie nie posiada dokładnego odpowiednika słowa Heimat). Zwrot „prawo do miejsca pochodzenia” — podobnie jak pojęcie „zjednoczenie” — rozmaicie jest interpretowane, przeto profesor ustala najpierw terminologię, a następnie stawia pytania.

„Heimat” jest miejscem geograficznym, z jego naturą, historią i właściwościami, z którego człowiek pochodzi i do którego przede wszystkim należy. „Heimat” jest niezasłużonym darem; może być człowiekowi odebrany, albo inaczej utracony. Czymś innym jest próba utrzymania posiadanego na razie „Heimatu”, a czymś innym próba ponownego odzyskania „Heimatu”, a czymś innym próba ponownego odzyskania „Heimatu” utraconego. Obie te próby mogą być względnie dozwolone, albo zaofiarowane. W obu jednak wypadkach należy pytać, czy i w jakim stopniu istnieje zezwolenie lub zaofiarowanie. W obu także wypadkach należy rozważyć, że to co obecnie wdzięcznie traktuje się jako swój „Heimat” mogło być kiedyś „Heimatem” innych, którym z mniejszą lub większą słuszno-

ścią zostało to zabrane. Dzisiejszym niemieckim wysiedleńcom i uchodźcom z miejsc pochodzenia podsunąłbym do przemyślenia następujące pytania:

1. Jaki brałicie udział w latach 1933-1945 w rozwoju i gruntowaniu się narodowego socjalizmu, to znaczy w przyczynie 'wędrowki ludów', która pozbawiła was poprzedniego 'Heimatu'?

2. Czy jesteście dzisiaj (1960) rzeczywiście wciąż wysiedleńcami pozbawionymi 'Heimatu', czy nie znaleźliście w międzyczasie nowego (a w każdym razie wasze dzieci)?

3. Pomijając wasze względne do tego prawo — czego pozytywnego oczekujecie od odzyskania poprzedniego 'Heimatu'?

4. Czy możecie wytłumaczyć swe roszczenia do poprzedniego 'Heimatu' a) wobec tych, którzy w międzyczasie tam osiedli — również nie z własnej woli, lecz w przebiegu ogólnej wędrowki ludów? b) wobec dzisiejszej sytuacji światowej, w której urzeczywistnienie waszych roszczeń — zdaniem ogółu ludzkiego — jest możliwe tylko za cenę powszechnej wojny, tym razem przy użyciu broni atomowych?



Wystawa polskiej książki katolickiej podczas Kongresu Eucharystycznego w Monachium. Dwóch zwiedzających zapytuje mnie o coś poprawną polszczyzną. Panowie Polacy? Nie. Wprawdzie z Polski, ale Niemcy. Przedstawiamy się wzajemnie. Siegfried Bogdoll robi notatki z tej wystawy dla monachijskiej „Katholische Nachrichten Agentur”. Erhardt Gralla okazuje się współredaktorem akademickiego pisma „Argus” i współpracownikiem także akademickiego „Profilu”. Obaj legalnie emigrowali z Polski jesienią 1958 roku.

Po zawarciu tej znajomości nastąpiło kilka spotkań i rozmów, a ostatnią, z Erhardtem Gralla, publikuję za jego zgodą.

— Co Pan rozumie pod pojęciem „Heimatrecht”?

— Dla mnie „Heimat” nie jest pojęciem geograficznym, lecz raczej socjologicznym. Większą wagę przywiązuję do powiązań rodzinnych, przyjaźni sąsiedzkich, niż do martwego terenu. Swoją „Heimatrecht” traktuję jako prawo do zamieszkiwania tam, gdzie mi to odpowiada, dlatego nie mogę utożsamiać — jak wielu to czyni — swego „Heimatrecht” z restytucją niemieckiej państwowości na Śląsku, choć urodziłem się w Gliwicach. Moim zdaniem „Heimatrecht” wyczerpuje się w myślach artykułu 13-go, paragraf drugi, „Deklaracji Praw Człowieka” z grudnia 1949 roku, który mówi, że każdy ma prawo zamieszkać tam, gdzie zechce, udać się, opuścić, lub powrócić do każdego kraju.

— Czy Pan warunkuje swój ewentualny powrót na Śląsk od przynależności tego kraju do państwowości niemieckiej?

— Wyjechałem ze Śląska i z Polski przed dwoma laty nie dlatego że jestem Niemcem, nie dlatego że Śląsk znajduje się w ramach państwowości polskiej, lecz z powodu niemożliwości pogodzenia się z ideologią i praktykami panującego tam ustroju. Przeżywszy 13 lat w Polsce nauczyłem się dokładnie odróżniać polskość od komunizmu. W moim przekonaniu wolna — w znaczeniu zachodnio-europejskim — pań-

stwowość polska na Śląsku nie może być przeszkodą dla mojego powrotu do rodzinnych stron. Podczas mego trzynastoletniego współżycia z Polakami, w bardzo trudnym dla Niemców okresie, zdołałem przekonać się, że oba narody należą do tej samej kultury zachodniej i nie widzę powodów, które uniemożliwiałyby Niemcom być lojalnymi obywatelami wolnego państwa polskiego, ale podkreślam: wolnego w zachodnim znaczeniu.

— Czy w obecnym sporze granicznym niemiecko-polskim widzi Pan nierozwiązalne zagadnienie?

— Wydaje mi się, że jest to problem nierozwiązalny tylko dla osób wychowanych w czasach „Staatsraisonów”, „Saisonstaatów” i małych „mocarstw” nacjonalistycznych. Sądzę że dla moich rówieśników, zarówno polskich jak i niemieckich, zagadnienia graniczne dawno straciły swój poprzedni sens i ważność. Usunięcie tego sporu przez uznanie obecnego stanu granic odbije się bardzo korzystnie na sytuacji Niemców żyjących obecnie w Polsce i z całą pewnością nie utrudni ewentualnych powrotów Niemcom do ich rodzinnych stron.

Obecny przy tej rozmowie Siegfried Bogdoll zakończył: — Wszystkie sformułowania kolegi Gralla zgadzają się z moimi przekonaniami i popieram je całkowicie. Mogę najwyżej dodać, że te odpowiedzi nie wyczerpują ostatecznie tematów zawartych w pytaniach. Chętnie rozszerzyłbym te odpowiedzi, ale wynikłoby z tego dłuższe opracowanie, wymagające czasu, no i miejsca w „Kulturze”.

— Redaktor „Kultury” z pewnością chętnie wydrukuje każdą wypowiedź, która może się przyczynić do pozytywnego zbliżenia w stosunkach niemiecko-polskich.

S. W. KOZŁOWSKI

Noty biograficzne:

Erhardt Gralla, 1934, Gliwice. Studia filozoficzno-psychologiczne w seminarium katolickim w Nysie, prawo we Wrocławiu i w Monachium.

Siegfried Bogdoll, 1933, Opole, germanistyka i historia Uniw. Wrocław, b. sekretarz „Życia Uniwersytetu”. Wrocław, pisywał w „Odrze” i „Poglądach” studia socjol-dziennikarskie na wydz. filozof. w Monachium, współpracuje w „Kath. Nachr. Agentur” i w prasie akademickiej.

Kronika ukraińska

WALKA O MOWĘ

Jeszcze w zeszłym roku rozwinęła się na Ukrainie walka o czystość języka ukraińskiego. Inicjatorem tej akcji był sędziwy poeta Maksym Rylskij, który, jak wiadomo, w kongenialny sposób przyswoił literaturze ukraińskiej „Pana Tadeusza”. Występując na ostatnim zjeździe pisarzy

w Kijowie, Rylskij zaapelował w dramatyczny sposób do uczestników Zjazdu, by podjęli walkę ze zubożeniem wobec zastraszonego zjawiska zaśmiecania ukraińskiego języka literackiego. Od wystąpienia Rylskiego minęło z górą pół roku. Wnioskując z wielu artykułów w kijowskiej i w prowincjonalnej prasie literackiej, apel poety odbił się szerokim echem w rozmaitych ośrodkach twórczych. W akcji obrony języka ukraińskiego przodują takie pisma jak „Witczyzna”, „Literaturna Hazeta” i ukazujący się od niedawna czasopismo „Radianśkie Literaturonawstwo” (wszystkie wychodzą w Kijowie) oraz organ prowincjonalnego oddziału związku pisarzy w Charkowie, „Prapor”. Chodzi tu niewątpliwie o próbę utworzenia zapory przeciwko rusyfikatorskim metodom Moskwy, o rozbudzenie silniejszego, niż dotąd przywiązania do języka ojczystego zwłaszcza w dużych ośrodkach przemysłowych, gdzie język rosyjski w okresie stalinizmu poczynił wielkie postępy. Dyskusja dotyczy przede wszystkim twórczości młodych pisarzy i poetów, którzy często zaśmiecają swoje dzieła rusycyzmami lub dialektyzmami. Pierwsze niebezpieczeństwo daje się odczuć wśród pisarzy pochodzących ze wschodnich lub południowo-wschodnich peryferii Ukrainy zwłaszcza z Donbasu, drugie dotyczy przede wszystkim pisarzy z zachodnich ziem ukraińskich. Inny aspekt tej walki o język to wspólne wysiłki pisarzy, poetów i krytyków oraz profesorów wyższych uczelni i nauczycielstwa ze szkół średnich, dążące do tego, aby młodzież ukraińska nie traktowała języka ukraińskiego, jako czegoś gorszego czy podrzędnego w stosunku do języka rosyjskiego. Z relacji, drukowanych w ostryżnym zresztą tonie we wspomnianych czasopismach literackich, wynikałoby, że ta akcja daje pozytywne wyniki, i że młodzież garnie się od pracy nad pogłębianiem znajomości własnego języka. Sukces ten osiągnięto za cenę bardzo wyczerpanej pracy. Głównym środkiem są, zdaje się, wieczory autorskie znanych pisarzy, którzy bądź na miejscu, bądź też wyjazdami na prowincję rozbudzili zainteresowanie wśród szerszego ogółu do spraw języka i literatury. Inną formą tego rodzaju działalności są sesje wyjazdowe redaktorów i krytyków literackich czasopism kijowskich, charkowskich i lwowskich.

RUCH WYDAWNICZY

Po okresie forsownej rusyfikacji i likwidowania wydawnictw ukraińskich w okresie późnego stalinizmu, obecnie można zanotować rozwój w odwrotnym kierunku. Na Ukrainie wychodzi niewątpliwie o wiele więcej książek i w większych nakładach, niż to miało miejsce przed kilku laty. Przodują oczywiście wydawnictwa centralne w Kijowie, takie jak „Derżlitwydaw” w Kijowie, „Radianśkij Pyśmennik”, „Radianśka Szkoła” i inne. Pocieszającym zjawiskiem jest fakt, że od pewnego czasu obserwuje się ożywienie ruchu wydawniczego również i w miastach prowincjonalnych. W ostatnim roku wydano kilkanaście pozycji literackich i naukowych we Lwowie, Użhorodzie, Dniepropetrowsku, Połtawie, Odessie, Charkowie, a nawet w Czerniowcach, Żytomierzu i Drohobyczu. Jeśli chodzi o wysokość nakładów, to liczby wahają się przeciętnie od 30 tysięcy do tysiąca egzemplarzy. Również uniwersytety, (oprócz kijowskiego, który

już dawniej wydawał własne dzieła z rozmaitych dziedzin nauki), jak np. lwowski lub użhorodzki posiadają własne wydawnictwa, które drukują coraz mniej dzieł w języku rosyjskim na korzyść prac ukraińskich.

Czasopisma literackie wykazują natomiast podobnie jak w Polsce, wyraźny spadek nakładów. Weźmy np. najbardziej poczytne czasopismo, miesięcznik związku pisarzy ukraińskich, kijowską „Witczyznę”. W roku 1958 czasopismo to wychodziło w nakładzie 21 tysięcy. W ubiegłym roku nastąpiła obniżka nakładu do 17 tysięcy egzemplarzy, a w bieżącym roku „Witczyzna” drukuje 16 tysięcy. Lwowski miesięcznik literacki „Żowteń” wychodził w roku 1958 w nakładzie 15,300 egzemplarzy. W zeszłym roku nakład ten spadł do 10,500, ale w bieżącym roku „Żowteń” poprawił swą sytuację o tyle, że drukuje obecnie 12,300 egzemplarzy. W podobnym położeniu znalazły się również inne czasopisma literackie. Zjawisko to związane jest ze specyficznym zagadnieniem ukraińskiej „odwilży”. Wzrost nakładów w roku 1957-58 nastąpił pod wpływem zapowiedzianych, a częściowo nawet i zrealizowanych, rehabilitacji pewnej liczby pisarzy ukraińskich, którzy padli ofiarą terroru stalinowskiego. Pod koniec r. 1958 proces ten zahamowano i stąd wynikło niewątpliwie rozgoryczenie i zniechęcenie, co się w konsekwencji odbiło na wysokości nakładów.

POLONICA NA UKRAINIE

Sprawa kontaktów polsko-ukraińskich w naszych krajach nadal nie wygląda tak, jakby sobie tego należało życzyć. Ani w Warszawie ani w Kijowie nie wykorzystuje się nawet w przybliżeniu tych szans, jakie powstały dla pisarzy i artystów w okresie „chruszczewizmu”. Trudno ustalić o ile brak jakiejś żywszej współpracy można położyć na karb opieślności partnerów po obydwu stronach granicy, a o ile ma się do czynienia z trudnościami czynionymi przez „starszego brata” w Moskwie. W Polsce panuje kompletny brak zainteresowania kulturą ukraińską, datujący się zresztą nie od dziś. Na Ukrainie obserwujemy mimo o wiele trudniejszych warunków po temu, jakiś silniejszy pęd do nawiązywania kontaktów literackich i naukowych. Najaktywniejszą w tej dziedzinie jest lwowska grupa literatów i naukowców. Historyk literatury Hryhorij Werwes wydał dwie książki, które są poświęcone wyłącznie sprawom kontaktów polsko-ukraińskich. W roku 1957 wyszła jego praca pod tytułem „Iwan Franko i problem ukraińsko-polskich stosunków literackich i społecznych w 70-90 latach XIX wieku”. Jest to dość obszerne studium na 360 stronach, w którym autor — abstrahując od tendencyjnych ataków na rozmaitych działaczy ukraińskich z owego okresu — skrupulatnie wykorzystał obfitą literaturę i solidnie udokumentował wywód źródłowymi materiałami zarówno polskimi jak też ukraińskimi. Tenże Werwes napisał ostatnio nowe studium literackie (168 stron) pod tytułem „Juliusz Słowacki a Ukraina”. Książka ta wyszła przy końcu ub. roku nakładem 2,500 egzemplarzy w kijowskim wydawnictwie „Radianśkij Pyśmennik”. Znany przedwojenny krytyk ukraiński we Lwowie Mychajło Rudnyckij, który pisywał w dzienniku „Diło” wydał niedawno we „Lwowskim Wydawnictwie Książek i Czasopism” zbiór portretów literackich pt. „Pisarze z bliska”. W książce tej znalazł się również portret Boya-Zeleńskiego. Zanotujmy przy

okazji dość ciekawy artykuł, oparty na szerokiej bibliografii pióra H. Wasyłkowskiego o kontaktach, które istniały pomiędzy Mickiewiczem a Gogolem, w czasopiśmie „Radjańskie Literaturoznawstwo”. Wspomnieć należy również o niedawnej konferencji slawistów, która się odbyła we Lwowie. Na konferencji tej poświęcono sporo miejsca zagadnieniom polsko-ukraińskim. Wspomniany już Werwes wygłosił odczyt z historii ukraińsko-polskich stosunków literackich, pt. „Dwa epizody”, J. Butachowska miała referat o „Podobieństwach techniki przekładowej Maksyma Rylskiego i Juliana Tuwima”, zaś T. Paczowski wygłosił odczyt „Juliusz Słowacki w krytyce ukraińskiej”.

Oprócz tego w ostatnich dwóch latach wydano we Lwowie i Kijowie około 50 prac historycznych i ekonomicznych, poświęconych rozmaitym sprawom Ziemi Halickiej i Wołynia w okresie między obydwiema wojnami światowymi, w których poruszono w bardzo krytyczny, często oczywiście tendencyjny sposób, zagadnienie stosunków polsko-ukraińskich w aspekcie ówczesnej polityki administracyjnej, gospodarczej, kulturalno-społecznej, jak i policyjnej.

BEO

TAZAB's Boutique

Firma nasza pilnie śledząca fluktuacje rynków zarówno w Polsce jak i w Rosji wprowadza nowy dział lepszych artykułów poszukiwanych i łatwo zbywalnych.

Dział ten jest stale zaopatrzony w bogaty wybór towarów angielskich, włoskich, francuskich i niemieckich i zawiera między innymi: damskie palta popelinowe, nylonowe, deszczowe oraz tzw. kurzowce; żakiety „suedette”, mohairowe żakiety, swetry, stole i materiały na spódnice, sukienki jerseyowe i materiały na suknie, artykuły znanych firm KAYSERA i Heleny Rubinstein oraz wielki wybór poszukiwanych towarów.

Prosimy żądać ilustrowanych katalogów TAZAB's BOUTIQUE

Największy Polski Dom Wysyłkowy

TAZAB & co. Ltd.

Tazab House

LONDON, S.W.7.
22, Roland Gdns.,
Tel. FRE 3175-6

TAZAB of LONDON

NEW YORK, 3
36, Third Avenue,
ALgenquin 4-4161

MELBOURNE, C.I.
325, Collins Str.,
MB. 1314

Sprawy i Troski

Obojnaki

Ze jej córki były Amerykankami Krystyna zrozumiała jasno, może nawet z pewnym zaskoczeniem, gdy po długiej pierwszej wyprawie do Europy wrócili całą czwórką do Stanów Zjednoczonych i, wyładowawszy się ze statku w Nowym Jorku, czekali w zgłęku West Side'u na auto. Krystyna cieszyła się z powrotu. Statua Wolności, ciężka kariatyda z Bedloe Island, u wejścia do portu nowojorskiego, wydała jej się piękna, przecież wcale nie dlatego, żeby jej się kiedykolwiek podobał twór francuskiego rzeźbiarza. Różowa we wschodzącym słońcu koronka nowojorskich drapaczy chmur, najpoetyczniejszy widok na świecie, przejęła ją na wskroś dreszczem dojmującego wzruszenia. Ale gdy stanęli na West Side, na brudnej, szarej, rozjazgotanej, zaplutej i nędznej West Side — Krystyna wciąż jeszcze miała w uszach cisze leśne i jeziorne, a pod powiekami śnieżne Alpy bawarskie, ponad zielonymi łąkami, popod błękitnym niebem, i nie myśląc nic co to znaczy, czy to coś znaczy w ogóle, wykrzyknęła:

— Boże, jak tu brzydko!

Hania wtedy, rozglądając się z upodobaniem po nieapetycznych *slums*'ach, po wulgarnych reklamach, po mierzwie ludzkiej *Mischvolk*'u rojącego się na cemencie, powiedziała z najgłębszym przekonaniem, z radością przyjazdu w głosie:

— Jak tu prześlicznie!

— Naprawdę? Więcej ci się tu podoba niż w Tyrolu, niż w Paryżu, niż w Sorrento?...

— No, oczywiście! — wytłumaczyła Krystynie córka. — *It's home*.

Krystyna wzruszyła się wtedy i uszanowała zachwyt dziecka. Zmilczała. Ostatecznie przecież wytłumaczyć nikomu nie można, że Plac Świętego Marka jest piękniejszy od rozwrzeszczanych neonów Broadway'u. Miłości człowiekowi wytłumaczyć nie można, ani do niej namówić perswazją.

— Każdy musi mieć swój kąt na ziemi — myślała Krystyna zapuszczając motor. — Swój najpiękniejszy, własny kąt, który bezkrytycznie kocha. Właściwie chyba wszystko jedno, gdzie ten kąt jest. Byłby człowiek nie stał się kundlem internacjonalnym, zmuszonym życiem do cynizmu zblazowania.

Ani Babunia, ani Dziadunio — w dalekiej Polsce, której Hania i Magda nigdy nie widziały — oczywiście w ten sposób myśleć nie mogli. Nim wrócili do Polski, po latach tułaczki emigracyjnej, rozmawiali o tym często z Krystyną. Rozmowy zaczynały się spokojnie, kończyły burzliwie.

— Czy potęmi się ginęli w Powstaniu Warszawskim, żeby wasze dzieci się wynarodawiały? — wołała Babunia.

Krystyna krzywiła się niechętnie.

— Rzuć ziarno w ziemię, a tam ci wyrośnie gdzie rzucione — mówiła. — Kwiat wykwitnie na nieswojej grzędzie, byle miał słońce. Cóż człowiek?... Człowiek rośnie jak fasola, na tej grzędzie na jaką go los rzucił, na tej ziemi, na której się urodził.

— Nie można dzieci chować w próżni!

— W jakiej próżni? — dziwiła się Krystyna. — Jakaż tu próżnia? Inne życie, to prawda. Ale może być i równie pełne, i równie ofiarne, i równie bogate jak tam. To od człowieka zależy, nie od szerokości geograficznej.

— Moja droga — wtrącał się w tym miejscu Dziadunio (z biegiem czasu takie rozmowy dorabiała się sakramentalnego rytuału) — przecież nie możecie wychowywać dzieci na to czym sami nie jesteście. Wy oboje, i ty i Adam, jesteście Polakami, chcecie czy nie chcecie. Nigdy nie potraficie dać dzieciom tego, co każda amerykańska matka, każdy amerykański ojciec, automatycznie swoim dzieciom dają. Choćbyście zęby zacięli i nie wiem jak im tłumaczyli, że Waszyngton, a nie Żółkiewski jest ich bohaterem, to i tak nie potraficie tego zrobić. To wszystko będzie sztuczne. Zubożycie dzieci, jeśli ich nie będziecie wychowywać na Polaków, na to czym sami jesteście.

Krystyna milczała. Argument był łatwy do odparcia, ale sztych za bolesny dla rodziców. Czasem tęskniła, żeby pchnąć jak szpadą, powiedzieć po prostu:

— Przecież ja już nie jestem Polką. Przecież ja nie jestem Amerykanką tylko z paszportu, dla wygody. Ja ten kraj kocham. Ja do niego tęsknię gdy wyjeżdżam. Ja się zloszczę na to co w nim złego. Przecież ja tu większość życia przeżyłam. Tu chodziłam na uniwersytet. Tu pracowałam. Tu pokochałam i wyszłam za mąż. Tu rodziłam dzieci. Tu mam dom. To jest mój kraj.

Ale nawet w chwilach największej irytacji wahała się przed użyciem *coup de grâce*, przed powiedzeniem po prostu, spokojnie, rozsądnie:

— Moi drodzy, mylicie się w samym założeniu. Przecież ja już nie jestem Polka.

Czy naprawdę nią już nie była?

Wsiadając na „Batorego” w Montrealu, w drodze do Polski, ściągnięta przez rodziców dramatycznym listem, że może już nigdy... Krystyna zastanawiała się nad tym. Ciesząc się mewami tańczącymi wokół biało-czerwonej flagi na maszcie, myślała: — Ja to wszystko kocham. Od uświadomienia sobie tego wszystko się zaczyna. Ja to kocham mądrością nie nabytą. Nie muszę się tu nic dorabiać w kraju moich rodziców. Siedzę na leżaku i błogo puszczam mimo ucha niewybredne dowcipy orkiestry statkowej, która się nimi przerzuca wyszedłszy na papierosa. Uśmiecham się na radę miłego marynarza, malującego tratwy na słonecznym pokładzie: „Pani zdejmie ten fraczek, buzię wystawi do słońca, żeby było co w Gdyni pokazać”. Sama już zaczynam zamawiać „barszczyk”, „jajeczko”, „kapuśniaczek” i „ciasteczko”... Więc jak to jest? Dokąd ja jadę? Gdzie ja jestem? Bo przecież ja tamto kocham. Ja już jestem człowiek stamtąd, z kraju moich dzieci.

Chodząc po Polsce męczyła się i irytowała i tym co jest i tym czego już nie ma. Nie miała wrażenia powrotu; tylko przyjazd. Jej wzruszenia były tylko przypomnieniem dawnych wzruszeń, sflaczały jak odgrzewana kolacja. Czuła się jak kobieta, która po latach spokojnego, szczęśliwego małżeństwa spotyka nagle człowieka, którego kiedyś kochała, a z którym ją los rozłączył, i drży na dotyk witającej ją ręki tylko... bo pamięta; i może też, bo dziwi się, że już to dla niej nie nie znaczy. Czasem, jak rakieta, wybuchał w niej ognisty żal: „To już nie moje, nie moje...”. Myślała: „Szkoda...” i myślała o wszystkim co jest „jej” z tamtej strony oceanu. Ale żal zostawał i tak.

Stała sama. Na lekko zaczepne pytania: A cóż wy tam w Ameryce myślicie? robicie? mówicie? — odpowiadała zawsze: „Amerykanie”, „oni”, „ludzie tam”. Nigdy nie powiedziała „my”. Oprawdzana po pawilonach Targów Poznańskich, ucząc się tych Copexów, Ampexów, Zimexów, słuchając tych wszystkich „robimy”, „produkujemy”, „eksportujemy”, „planujemy” — wypytywała o wszystko z najwyższym zainteresowaniem, z najszczerzą życzliwością. Ale też nigdy nie powiedziała „my”. Nie mogła.

— My jesteśmy nieuleczalne obojniki, — myślała. — *Hyphenated people*. Ni-rak-ni-ryby. Nie daj Boże, żebym własnymi rękami dzieci w tę chorobę wpędzała.

Chodząc po Polsce starała się na nią patrzeć oczyma córek. Starala się je sobie wyobrazić tutaj, na tych ulicach, wśród tych ludzi. Czasem jej się to udawało. W błysku wzruszenia widziała Magdę w szarym, polskim mundurku harcerskim, na polanie przed namiotami rozbitymi w lesie nad jeziorem mazurskim; widziała Hanię, niestrudzonego zwiedzacza, ścichłą zachwytem odkrycia przed ołtarzem Stwosza w kościele Mariackim stojącą z głową zadartą na dziedzińcu wawelskim czy w Barbakanie i mówiącą: „To moje, to moje...”.

Rozpromieniona przyjazdem córki, jasna i odmłodniała, matka zawołała kiedyś do Krystyny:

— No, popatrz! Przecież to jest normalne życie dla dzieci. One tu się powinny przecież chować, gdzie ty i Adam chowaliście się, i rodzice wasi, i dziadowie. Pomyśl no tylko...

Były chwile, kiedy Krystyna chciała w to wierzyć, kiedy odurzonej kolorem przypominanego dzieciństwa zdawało jej się, że rzeczywiście jej dzieci do żadnego innego kąta na świecie należeć nie mogły. Ze śmiechem opowiadała o spotkaniu swoich „amerykańskich dzieci” (zawsze z tym cudzysłowem w głosie) z przyjacielem lat szkolnych Dziadunią.

Było to w Niemczech. Rasowy starszy pan, którego młodość zesłała w walce o Niepodległość, poglądził warkoczyki Hani i nie mógł się oprzeć pytaniu:

— A ty kto jesteś? Polka czy Amerykanka?

Dziewięcioletnia Hania nie miała chwili wahania.

— Amerykanka.

Starszy pan spojrzał z żalem. „Takie miłe dziecko!” pomyślał. Głośno powiedział:

— To szkoda! Bo Polacy to najlepszy naród na świecie!

Hania rozważyła tę sprawę. Wyczuła jakiś niezrozumiany konflikt i postanowiła go załagodzić. Hania lubiła ład w życiu.

— Żeby pan był Niemcem — zaczęła; a potem załamała się gramatycznie na trudnej konstrukcji zdania — to by ty myślałeś, że nawet Niemcy najlepszy naród na świecie.

Krystyna złapała się na tym, opowiadając to komuś teraz w Polsce, że w jakiś subtelny sposób stepiło się dla niej cierpkie ostrze prawdy w tej odpowiedzi. Zrozumiała zmianę. Drgnęła. Już nigdy więcej nie opowiadała.

Bo że Polacy to najlepszy naród na świecie, nikt tam wątpliwości nie miał. Dlatego mogli sobie pozwolić, pańskim gestem, lekką ręką, na te wszystkie dowcipy:

— że Polska to najbogatszy kraj na świecie, bo wszyscy kradną i ciągle jest z czego;

— że Polska jest jak rzodkiewka: z wierzchu czerwona, w środku biała;

— że, mimo że Polska była pierwsza w wyścigu do księżycy, bo Pan Twardowski już tam dawno wylądował, tym niemniej Chruszczow teraz powinien pojechać, żeby odwiedzić grób mamusi (Łajki).

Z dziecinną niewinnością chlubili się swoimi Trauguttami, Grottgerami, Dreszerami, Szuchami, Meissnerami, ale pot zgrozy rosił im czoła, że w jednej z gałęzi zacnej rodziny R. odezwał się nagle zew krwi niemieckiej; że ktoś w Bostonie mógł zamienić dobre polskie nazwisko Krzetrzpietowicz na Talbot; że córeczka pana Prztyprzykowskiego z Buffalo ma na imię Jenny i nie mówi po polsku; że pan Wołowicz z Chicago pisze się teraz „Volovich”. Z uznaniem mówili o Angielce, która wyszedłszy za mąż za Polaka przyjęła katolicyzm; ze

zgorszeniem — o Polce przechodzącej na protestancką wiarę męża Amerykanina.

Dla Krystyny i to i tamto znaczyło tylko jedno: że człowiek jak ziarno, tam korzenie zapuszcza, gdzie go los posieje.

— „Ja po prostu szanować nie mogę Polaka, który dobrowolnie poza Polską mieszka! — powiedział Krystynie ojciec. — Bo to znaczy, że on nie jest pełnym człowiekiem.

— Mój Boże! — wykrzyknęła Krystyna w zdumieniu. — A czyż ty szanujesz człowieka mieszkającego w Warszawie więcej, niż tego co mieszka w Katowicach? Albo tego z Krakowa więcej niż tego z Poznania?

— To wszystko Polska — upierał się ojciec. Dodał coś o magicznej sile przyciągania polskości. — Kto się jej opiera, sam siebie się zapiera.

— No, wiesz, jak ty będziesz ze mną mistycyzmami wojował... — zirytowała się Krystyna.

A swoją drogą, prawie w to wszystko uwierzyła — jak na seansie spirytystycznym. Myślała: a może? I chociaż było to myślenie ot, takie sobie, abstrakcja nabierała łatwych rumieńców i ciepła krew poczyniała kursować w teorii.

Telefon od Jadzi Zaleskiej bardzo ucieszył matkę Krystyny.

— Jadzia dzwoniła, — powitała kiedyś z miną niby-objętą Krystynę wracającą z wypraw odkrywczych po Warszawie. A potem roześmiała się szczęśliwym śmiechem. — Zupełnie jak dawne czasy! — wykrzyknęła. — Wszystkie twoje psia-psiółki dzwonią, a ciebie wiecznie nie ma w domu!

Jadzia, co prawda, już od dwudziestu lat nie była Zaleska, tylko Piotrowiczowa. Jej najstarszy syn urodził się w Palestynie, młodszy na Malcie, najmłodsza córeczka w Anglii. Piotrowiczowie sprzedali swój domek w Londynie i wrócili do Polski na dobre. („Czy na dobre nie wiem. W każdym razie na stałe” — odpowiedział kiedyś na pytanie znajomego Antoni Słonimski w podobnych okolicznościach).

Krystyna pobiegła klusem na Nowe Miasto, pożerana ciękawością.

— No, jak tam? Jak tam? — pytała prędko. — Jak myślisz? Uda ci się? Co dzieci? Jak się tu czują?

Jadzia potrząsnęła głową niepewnie i odpaliła nowego papierosa od starego.

— Ach, nie wiem, — powiedziała zmęczonym głosem. — Trzeba dać życiu czas. To nie takie proste. Dzieci czują się świetnie. Ale ja, wiesz... — Nagle rozplakała się. — Ja nie wiem co mam robić! — zawołała.

Krystyna głaskała skulone plecy.

— Co się dzieje, Jadziu? — spytała spokojnie. — Powiedz mi.

— To pewnie wszystko moja wina, — płakała Jadzia. — Jakoś nie umiem się ustawić. Jakoś wszystko jest inaczej, a ja nie wiem co robić. Zaraz w pierwszym tygodniu Zosia przysłała ze szkoły z jakimś takim jakby medalikiem przypiętym do

sukienki. „Co ty tam masz?” spytałam. Powiedziała dumnie: „To Lenin”. Właściwie, to przyjeżdżając wiedziałam, że tak będzie. Mówiłam sobie: mogą inne matki, mogą i ja. Pokoleniami przecież zawsze w Polsce uczyliśmy się czego innego w szkole, a czego innego w domu. Poza tym, wiesz, ta angielska *self-control* też jakoś się przykleja do człowieka. Powiedziałam więc tylko: „Jakież to Lenin? Przecież to jakiś mały chłopiec na tym twoim medaliku?” — „To, żebym pamiętała, że Lenin bardzo kochał dzieci” — wyjaśniła mi Zosia. „I on był też wielkim przyjacielem Polaków”.

— No, więc wiesz, od tego się zaczęło. A dzisiaj zdarzyło się coś, właściwie głupstwo, ale wytrąciło mnie z równowagi. Zosia wróciła do domu i pochwaliła mi się, że przyjechała od koleżanki tramwajem na gapę. „Zosiu, dlaczego?” — pytałam. — „Bo nie miałam 50 groszy na tramwaj”, śmiała się, bardzo z siebie zadowolona. „Zosiu, to nieuczciwie!” — zawołałam. — „Jak nie miałaś pieniędzy, trzeba było iść piechotą. Przecież to było tak jakbyś ukradła. Nieuczciwie”. — „Jakie tam nieuczciwie”, roześmiała się. „Wszyscy tak robią. To jest spryt, a nie nieuczciwość”.

Jadzia zapaliła nowego papierosa.

— Sama nie wiem — powiedziała ciężko. — To ja się pewnie zmieniałam. Pamiętasz „Bezgrzeszne Lata?”...

Krystyna uśmiechnęła się do wspomnienia. Jakże by nie pamiętała! Ulubiona książka dzieciństwa.

— Właśnie! — kiwnęła głową Jadzia. — Właśnie... — powtórzyła. — Ja też tak myślałam. Kupiłam to dla Tadzia. Przyjemnie, jak dzieci czytają książki, które nam się podobały, prawda? — Podskoczyła nagle na sam brzeżek krzesła. — Czy ty wiesz, — krzyknęła — że tam jest cały rozdział o ściąganiu?!

Krystyna kiwnęła głową ubawiona. Pamiętała. I nagle... przestała się uśmiechać. Zrozumiała. Sama się też widocznie zmieniła. Jak Jadzia. Już jej to nie bawiło. Wydawało jej się, jak Jadzi — groźne. Byłaby zszokowana do szpiku kości, gdyby jej Hania czy Magda „ściągały” w szkole.

— Wiesz, trzymałam tę książkę w rękę, — mówiła Jadzia — i przypominałam sobie jak kiedyś, w Anglii, widziałam Tadzia odrabiającego lekcje. Miał przed sobą rozłożony zeszyt; na stole leżał zegarek. W pewnej chwili, w pół zdania, zamknął zeszyt i wstał. Spytałam czemu nie skończył lekcji. Wy tłumaczył mi, że nauczycielka kazała im pisać przez 20 minut. Dwadzieścia minut upłynęło. Gdyby pisał dłużej, choć o tyle, żeby skończyć zdanie, to nie byłoby *fair*.

Jadzia spojrzała bezsilnie.

— Wiesz, nie śmiej się... Pomyślałam sobie: jak ja mogę taką rzecz psuć własnymi rękami? Schowałam książkę do szuflady. Nie dałam mu. Ja wiem, że to właściwie śmieszne. Ale... tu jest jakieś inne powietrze. I ja jeszcze nie umiem nim oddychać.

Krystynie po prawdzie wydawało się to trochę śmieszne. Człowieka trudno wychowywać tak, jak się piecze tort, według jakichś ścisłych miar i wag niezawodnego przepisu kuchennego. Nie była pewna czy ściąganie rzeczywiście piętnuje dziecko na życie stygmatem łatwizny i braku odpowiedzialności. Sama... hm... przypominała sobie swoje maturalne egzaminy z matematyki. Ale potem już nigdy, pocieszała się, nigdy, przy żadnym egzaminie, ani szkolnym, ani życiowym. Nigdy, przez te dwadzieścia lat od matury.

Bardziej ją niepokoił ten medalik z Leninem-chłopcem. Pamiętała, że Danka opowiadała jak jej Piotruś pewnego dnia zażądał, że chce zbudować kapliczkę dla Stalina w jednym pokoiku, w którym się gnieździł wtedy we czwórce. Długo perswadowała nim namówiła, że jeśli już musi tę kapliczkę gdzieś mieć — to chyba w kuchni. Siedemnastoletni już teraz Piotruś słuchał opowiadania matki rycząc ze śmiechu nad własną głupotą.

— Jakoś to się widocznie potem w głowach porządkuje — pocieszała się Krystyna.

Ale pamiętała też historię mądrej, miłej Marysi, przygotowującej się do matury. Marysia zakrywała uszy oburącz, kiedy ojciec próbował prostować fakty z podręczników szkolnych.

— Ja wiem, że to jest inaczej! — wołała. — Ale ty mi wszystko w głowie zamylisz! Ja nie chcę wiedzieć! Nie mów mi tego! Ja muszę przecież zdać tak jak oni chcą!

I pamiętała małą Bożenkę w prążkowanych pończochach na chudych nóżkach nie dorosłych jeszcze ani do stylonów polskich, ani do sowieckich kopronów, jak wróciła kiedyś ze szkoły do domu i prosiła matkę, szeptem pełnoprawnego towarzysza z konspiracji: „Powiedz mi teraz jak to było naprawdę”...

I pamiętała opowiadanie młodej nauczycielki, która pewnego dnia przebrnęła ze zgagą w gardle przez wymagany tekst wykładu o zbrodniarzach z Armii Krajowej, szaleństwie Powstania Warszawskiego, dziedzictwie zgubnych rządów obszarniczo-sanacyjnych, i o wyzwoleniu Polski przez zwycięską armię radziecką. Jeden z jej trzynastolatków, zresztą syn dygnitarza reżymowego, wstał wtedy i powiedział:

— To naprawdę było zupełnie inaczej. Warszawa została zniszczona, bo Rosjanie nie chcieli do niej dopuścić pomocy. Ja wiem, bo mnie to tatuś mówił, a tatuś wtedy z nimi pertrak-to-wał.

Ważkie słowo zawisło w klasie, czekając na odpowiedź. Młoda nauczycielka powiedziała:

— To jest najnowsza historia. Wszystkiego jeszcze zapewne nie wiemy. Z odległości czasu często bieżące wydarzenia wyglądają inaczej. Na razie — ogarnęła klasę bystrym spojrzeniem — mamy się uczyć tak, jak w naszym podręczniku.

Potem poszła płakać do łazienki.

— Ty nic nie rozumiesz! — gorączkował się przyjaciel w rozmowie z Krystyną, którą nauczyła się już te wykrzykniki przyjmować bez urazy. Wszyscy jej mówili, że nic nie rozumie. — Tu jest jedna wielka konspiracja. Konspiracja narodu. Z partyjnymi na czele.

— Wiele mi z tego! — myślała Krystyna. — To ładnie brzmi, rozpala imaginację świętym ogniem. Ale co te dzieci mają? Szkołę, która podważa autorytet rodziców. Rodziców, którzy podważają autorytet szkoły. Społeczeństwo, które się broni witzem i kombinowaniem nieustannym, gdzie wszystkie świętości wałęsa się z łomotem glinianych nóg, gdzie umiejętność „plywania” jest cnotą kardynalną, gdzie cynizm musi starczyć za skrzydła husarskie, lekceważenie wszystkich praw za obronę przeciw niepraworządności, a obojętność za skrzydła młodości. Gdzie tu w tym wszystkim miejsce dla moich dzieci, dla tych niezarad amerykańskich, które uważają każdego policjanta za przyjaciela, każdy podręcznik za ewangelię, każdy przepis za coś czego trzeba słuchać? Gdzie tu w tym wszystkim miejsce dla moich mięczaków, przyzwyczajonych do ogródka koło domu, do własnych jasnych pokoi, do własnego pewnego miejsca na świecie?

Wtedy właśnie spotkała Urszulkę. Urszulka była zachwycająca. Krystyna, która z początku skrzywiła się na projekt zabrania jej ze sobą autem z Olsztyna do Warszawy — rozbroiła się zupełnie od pierwszej chwili, kiedy tylko to cudne dziecko zobaczyła.

Urszulka miała dwanaście lat i medal Wzorowej Ucenicy przypięty do granatowego mundurka. Miała ciepłe, orzechowe oczka i berecik szkolny na jasnych warkoczyczkach. Córnica robotnika ze Lwowa, sparaliżowanego i pozbawionego mowy w wypadku przy pracy, Urszulka mieszkała gdzieś kątem z młodszym bratem i matką, harującą jako jedyny żywiciel całej rodziny. Urszulka zachowywała się jak księżniczka, jeśli to prawda, że księżniczki zachowują się prześlicznie.

Jechały długo, sześć, siedem godzin. Cały czas rozmawiały. Urszulka opowiadała Krystynie o swojej szkole. Chwaliła się co wie, ile umie, że zna już 50 najważniejszych dat z historii.

— Jaką znasz najwcześniejszą? — spytała Krystyna.

— 966. Chrztę Polski.

— A jaką najostatniejszą?

— 1864.

Krystynie wydało się, że widocznie dziecko się myli, że myśli o Powstaniu Styczniowym.

— 1864? — spytała. — Co to wtedy było?

— Założenie Pierwszej Międzynarodówki.

— A o jakich wielkich ludziach się uczyłaś?

— Lenin — odpowiedziała Wzorowa Ucenica z chętną gotowością. — On był wielkim przyjacielem Polski i bardzo kochał dzieci.

— A kogo lubisz najlepiej z tych wielkich ludzi, o których się uczyłaś?

— Fryderyk Engels i Karol Marks.

Krystyna zdziwiła się. Bez jakiegokolwiek pryncypialnej niezyczliwości. Tylko że to był taki jakiś nieromantyczny, niedziecinny wybór, więc ją zainteresował.

— Za co ich lubisz?

— Bo oni chcieli poprawić dolę biednych ludzi.

— A o Kościuszcze wiesz coś?

— Tak. Ja go bardzo lubię. On zginął w bitwie pod Racławicami.

— W bitwie... z kim?

Urszulka zawahała się.

— Zdaje się, że z Austrią.

— A z Rosją Polska kiedyś wojowała?

— Tak. Za Napoleona.

— Ale wolisz Marksa i Engelsa od Kościuszki? Dlaczego?

Wzorowej uczenicy zabrakło tekstu. Śliczne, miłe dziecko odpowiedziało po prostu:

— Bo ja się już tak przyzwyczaiłam.

Krystyna skurczyła się. Spytała:

— A o Piłsudskim coś wiesz?

— Ttak... To zdaje się był jakiś generał?...

Rozmawiały dalej o różnych krajach, w których Krystyna była, do których Urszulka chciałaby pojechać, o różnych narodach, różnymi językami mówiących.

— Ja nienawidzę Niemców — powiedziała Urszulka. — Oni zabili mojego wujka.

— A jaki ty naród najlepiej lubisz?

— Rosjan. — Bez chwili wahania powiedziała córeczka człowieka ze Lwowa, który leżał, sparaliżowana kłoda bez mowy, i mógł już tylko sam pamiętać.

— Za co ty ich tak lubisz?

— Za to co oni dla nas zrobili.

Krystyna zacisnęła ręce na kierownicy. Potem pomyślała, jakie to właściwie nawet zabawne, że to samo jedno krótkie zdanie może tak dokładnie tłumaczyć dwa tak różne stany ducha.

— A cóż oni dla nas zrobili? — spytała szybko, prawie ostro; trudno jej było złagodzić głos.

— Jak myśmy byli głodni, oni nam przysyłali jedzenie — wytłumaczyła Urszulka. Potem zastanowiła się i dodała poważnie:

— No, może nie tyle, ile myśmy potrzebowali. Ale tyle ile mogli.

— Czym ty chcesz być, jak będziesz duża?

— Ja będę sędzią. Będę chuliganów do więzienia wsadzać.

— A do partii się zapiszesz jak będziesz duża?

— Nie! — Szybko i kategorycznie.

— Dlaczego nie?

— Bo oni do kościoła nie chodzą.

Jechały dalej w milczeniu. Krystyna przeżuwała w sobie rozmowę.

— Ależ spreparowany dzieciak! — myślała.

Rozwagała to tak intensywnie, że zupełnie o małej zapomniała. Drgnęła, kiedy cienki, srebrny głosik zaczął jej coś nucić pod boki. Nastawiła ucha. Urszulka śpiewała rosyjską piosenkę.

— Takie śliczne, takie udane dziecko! — rozłościła się. — Kukłę z niej robią. Co tu pomoże inteligencja, zdolności? Jak człowiek nigdy nie zobaczy nic niebieskiego, to musi przecież myśleć, że takiego koloru w ogóle nie ma na świecie.

Rozżaliła się. O Urszulkę. I o swoje dzieci. Że też mogłyby tak rosnąć w niepełnym wachlarzu barw świata.

— Nie! — powiedziała sobie. — Nie!

Wróciła do dawnego myślenia.

Pisała do niej kiedyś druga taka sama obojnacka matka: „Pani ojciec twierdzi, że dawanie naszym dzieciom polskości jest dawaniem im tego, co w nas najlepsze. Przeraża mnie fakt, że w ogóle odeszłam widocznie na tyle, że ośmielałam się nawet poddawać w wątpliwość takie twierdzenie. Czy pani też ma wątpliwości na ten temat? Czy najlepsze w człowieku sprowadza się do przynależności narodowej? Czy są jakieś wartości, które mają rynek zbytu poza granicami psychicznymi polskości? A może ja się zabiłam, według pani powiedzenia, kundlem międzynarodowym?”

Tej „akaczce”, tej absolwentce kacetu, tej Amerykance, odpisywała wtedy Krystyna na gorąco:

„Jestem głęboko przekonana, że ojciec nie ma racji. Że nie chodzi o to, żeby dzieciom dać olbrzymią miłość do Polski, tylko żeby w nich wychować predyspozycję do miłości, cnoty zdumiewająco wszechogarniającej, z której rośnie potem przywiązanie, odwaga, gotowość do poświęceń, prawość sądu. Myślę, że jeśli się w dziecku zachęca zdolności muzyczne i ułatwia rozwój jego talentu, to już potem wszystko jedno czy gra ono Bacha czy Beethovena. Myślę dalej — dosyć heretycznie — że jeśli się w dziecku rozbudzi ducha religijnego, to na dobrą sprawę właściwie wszystko jedno czy będzie ono dobrym Kwakrem, Katolikiem czy Protestantem. I właściwie jest mi całkiem obojętne czy moje dzieci będą dobrymi Amerykanami, czy dobrymi Polakami. Myślę, że i tu i tam predyspozycja psychiczna jest wymagana ta sama, i że to o nią właśnie chodzi, i że osiągnąć jej abstraktami nie można na pewno. Jedynym kątem świata, do którego ja mogę przywiązać swoje dzieci naprawdę, nie akstrykcyjnie — jest Ameryka. To więc próbuję robić. Zgadzam się z ojcem do pewnego punktu: muszę powiedzieć, że dosyć mnie dziwią ludzie, którzy ze swymi dziećmi mówią po angielsku. Myślę, że to jest takie właśnie negowanie samego siebie w imię teorii, przeciw któremu ojciec tak zażarcie występuje. I słusznie. Tylko podejrzewam, że on nie rozumie

tego, że wychowując dzieci na Amerykanów — my już siebie nie negujemy”.

Wyjeżdżając z Polski do Stanów, Krystyna wsiadała na „Batorego” prawie z ulgą. Rozwiązała w sobie kompleksy tęsknoty. Miała radosne poczucie, że — tym razem — jedzie do Ameryki z wyboru, nie z trafu, nie z musu wojny. Płakała za znikającym wybrzeżem gdyńskim, bo wiedziała, że choćby jeszcze tu wróciła — wyjeżdża na zawsze.

Urodziny wypadły jej na statku. Tort czekoladowy stanął na stole. Orkiestra grała „Happy Birthday” i życzyła, żeby jej „gwiazda pomyślności nigdy nie zagasła”. Piękna laurka z podpisem Kapitana składała jej życzenia od załogi. Pan Stanisław, perla kelnerów, obsługujący kapitański stół przy którym siedziała, czuł jak kwoka, dogadzał smakolymkami, zadowolony, że Krystyna, stary koń, cieszyła się jak dziecko z niespodzianki. Chcąc jej zrobić przyjemność, usunął ze stołu kapitańskiego na tę uroczystość białą-czerwoną chorągiewkę, która tam zawsze stała. Na jej miejsce, na ten jeden wieczór ku czci Krystyny, postawił gwiazdzistą flagę amerykańską.

Krystyna spojrzała i zachnęła się. Zawisła jej ręka z nożem nad czekoladowym tortem. Biedna ni-rak-ni-ryba. Zrobiło jej się straszliwie, niewymownie przykro.

— Panie Stanisławie, — szepnęła. — Czy tam nie mogą stać obydwie te chorągiewki?

I miał się cieszyć swoim bogactwem — dwa światy były jej, szczęściara! — rozplakała się nad własnym ubóstwem.

Marta ERDMAN

GRYF PUBLICATIONS LIMITED

PRZEDSTAWICIELSTWO „KULTURY”

I WYDAWNICTWO KSIĄŻKOWYCH „KULTURY”
NA WIELKĄ BRYTANIĘ

zaopatruje w książki polskie mając na składzie ponad
3.000 tytułów. Wysyłka natychmiast po otrzymaniu
zamówienia.

Katalogi bezpłatnie na żądanie.

WYSYŁAMY BEZPOSREDNIO DO W. BRYTANII,
ST. ZJEDNOCZONYCH, AUSTRALII, BRAZYLII
I INNYCH KRAJÓW.

Na terenie Francji przedstawicielstwo:
„Libella”, 12, Rue St. Louis-en-l'Île, Paris 4°

BOGATY DZIAŁ NOWOŚCI

Najnowsza historia Polski

General Haller

Tak się złożyło, że kilkakrotnie w życiu odwiedziłem stolicę Grizonów, Chur (wymawiaj Kur, po francusku Coire). W miejscowej katedrze uderzyła mnie mnogość nagrobków członków rodziny Hallerów. Widocznie był to ród możny i wpływowy w tym wschodnim kantonie szwajcarskim, w którym ilość narzeczy, dialektów i religij jest zaiste zdumiewająca. Już wówczas chciałem się poinformować, czy polska rodzina Hallerów pochodziła z tych stron. Jakoś nigdy mi się zdobycie tej informacji nie udało.

Byłem też, jako młody chłopak czy raczej jako młody student, kiedyś we wiosce podkrakowskiej, niedaleko przepięknych Mogilan Konopków, która była siedzibą naszych polskich Hallerów. Stamtąd wywodzili się Józef Haller i jego młodszy brat, Stanisław, który był szefem sztabu w 1920 r., i później usunięty z wojska przez Piłsudskiego, zmobilizowany w 1939 r. i zamordowany przez Rosjan w Katyniu. Słyszałem z wielu stron, że Stanisław Haller miał być najlepszym szefem sztabu w okresie naszej niepodległości: nie mogę w tej sprawie zabierać głosu, nie będąc fachowcem. Zresztą mania tajemnicy, która osłaniała działalność naszego dowództwa i w 1920 r., i w okresie międzywojennym, i w roku 1939 i następnych, sprawia, że właściwie cała nasza historia wojskowa należy do dziedziny mitologii. Stąd, zamiast faktów, operuje legendami, a zwłaszcza legendą opatrnościowych wodzów.



O Józefie Hallerze mogę przytoczyć tylko dwa, niejako osobiste, wspomnienia. Na uniwersytecie w Krakowie byłem

Materiały zamieszczane w tym dziale drukowane są na odpowiedzialność autorów i nie są wyrazem poglądów Redakcji.

ulubionym uczeniem i pupilem ekscelencji Władysława Leopolda Jaworskiego. Odwiedzałem go często i lubił ze mną rozmawiać, nieraz godzinami. Kiedyś, bodaj że w roku 1924 czy 1925, Jaworski udał się — po raz pierwszy w życiu! — do Poznania. Tam spotkał też, znowuż po raz pierwszy w życiu, Dmowskiego na jakimś obiedzie, bodaj że u Adolfa Bnińskiego. Spędził z nim cały wieczór razem i wrócił do Krakowa dość zadowolony i nawet zafrapowany antagonistą, którego zwalczał całe życie. Trochę tak jak dwaj wielcy bridżyści, którzy należą do przeciwnych klubów, ale umieją wzajemnie ocenić swoje mistrzostwo. Zresztą na przykładzie Jaworskiego potwierdza się raz jeszcze teza, że naprawdę nienawidzi się tylko członków tej samej partii, z którymi człowiek się musi ścierać całe życie. Jaworski, człowiek właściwie bardzo dobry i przyjazny, naprawdę niecierpiał jednego tylko Bilińskiego. „To był człowiek mały” powtarzał swym chropawym, charkoczącym niezapomnianym głosem. I z naciskiem powtarzał raz jeszcze „ma-ły!”. Poza tym nie lubił Askenazego, co zresztą wśród polityków i profesorów nie było znowuż tak wyjątkowe: podobnie prof. Henryk Tennenbaum nie znosił Askenazego. Otóż po powrocie z Poznania i z tego obiadu z Dmowskim, Jaworski mi powiedział: „Rozmawialiśmy z Dmowskim o wszystkim, i zgodnie i przyjaźnie stwierdziliśmy, że się w żadnej sprawie nie zgadzamy, ani co do polityki zagranicznej, ani co do wewnętrznej, ani co do oceny ludzi; tylko w jednej sprawie stwierdziliśmy obaj całkowitą zgodność poglądów: oto, że ani ja w NKNie ani on w Komitecie Paryskim nie mieliśmy nigdy z nikim równie głupim do czynienia, jak z Józefem Hallerem”. I oczy Jaworskiemu figlarnie się śmiały, jakby miał nie lat 70, lecz dwanaście.

Osobiście zetknąłem się z Hallerem raz jeden tylko, w Londynie, w czasie wojny, gdy był ministrem oświaty w rządzie londyńskim. Któryś z młodych ludzi, moich znajomych, prosił mnie o pomoc w staraniach o stypendium: poszedłem więc do Hallera, choć go nie znałem. Jego ministerstwo mieściło się w jakimś dość ładnym, jak na Londyn, domu, koło Grosvenor Square: schody, salony — wszystko to wyglądało jakoś dość przyzwoicie. Było tam cicho i spokojnie i sennie, w przeciwieństwie do rozhisteryzowanego Strattonu czy Rubensa. Tam też w jakimś pseudo-rokokowym salonie-poczekalni poznałem wówczas po raz pierwszy Renatę Ostrowską, która pełniła obowiązki sekretarki ministra; jej syryjska uroda, jej orientalne oczy, jej szczupła i świetna figura, w bardzo obcisłej i szykownej czarnej sukni zafrapowały mnie dużo bardziej, zostawiły mi znacznie silniejsze wrażenie, niż jej pryncypał. Niestety, chwila oczekiwania w poczekalni ministra w towarzystwie chłodnej i raczej wyniosłej ale pięknej sekretarki była nader krótka: już po kilku sekundach panna Ostrowska powiedziała mi, że minister prosi. Zostałem w gabinecie zacnego staruszka, który robił wrażenie notariusza z Płocka. Ciekawe, jak ten zawo-

dowy wojskowy, pochodzący z rodziny ziemiańskiej, robił wrażenie cywila i przedstawiciela drobnomieszczaństwa. Po minucie rozmowy zorientowałem się, że jakkolwiek będzie w sprawie tego stypendium decyzja, zapadnie ona nie z polecenia Hallera lecz jakiegoś radcy czy referenta. Wszelka rozmowa z ministrem była czystą stratą czasu. Pożegnałem się więc jak mogłem najprędzej, zachowując uprzejme formy. Haller pożegnał się ze mną także uprzejmie, nawet serdecznie, do końca sprawiał wrażenie, że nie rozumie o co w ogóle chodzi. Był zdumiewająco prowincjonalny: człowiek ten wychował się bodaj w Wiedniu, działał w Paryżu, teraz w Londynie — a miałem wrażenie, że nawet Kraków był dla niego wielkim miastem, że obracał się między Bochnią a Wadowicami. Od Hallera pachniało głęboką, najgłębszą prowincją.



Przypadek rządzi naszym życiem. I rządzi przebiegiem wypadków wojskowych w wyższym stopniu, niż życiem cywilnym. Czy to nie przypadek zrzucił, że de Gaulle znalazł się 18 czerwca 1940 r. w Londynie i podniósł żagiew buntu? Czy nie przypadek spowodował że Hindenburg, korzystając z utalentowanych szefów sztabu, został bożyszczem tłumów niemieckich, naczelnym wodzem, wreszcie nieszczęsnym prezydentem Rzeszy Weimarskiej, który dopuścił Hitlera do władzy? Czy wreszcie przypadek nie odegrał dużej roli w promocji i karierze gen. Eisenhowera, gdy tyłu jego kolegów — Mac Arthur, Marshall, Patton, Bradley — górowało nad nim instynktem strategicznym i talentami wojskowymi? Haller byłby zapewne został, jak tyłu innych, zapomnianym brygadierem czy dywizjonerem, gdyby nie nieprzewidywany splot okoliczności, który go wyniósł do roli bohatera eposu: bitwa pod Kaniowem, przebijanie się aż do Murmańska, dowództwo we Francji — to były karty piękne, lecz dzieła raczej przypadku, niż woli i decyzji.

Lecz mniejsza o to. Założmy, że Haller był rzeczywiście człowiekiem obdarzonym wielkim talentem strategicznym, że nawet jego udział w bitwie warszawskiej z sierpnia 1920 r. nie był dziełem przypadku, jak chcą jego wrogowie, lecz że waleń się przyczynił do zwycięstwa nad Wisłą. Że Haller nie był drugim ks. Skorupką, który cudem pozostał przy życiu, lecz istotnym architektem zwycięstwa. Cóż to zmienia w istocie rzeczy? Czy Haller miał talenty wojskowe, które by pozwoliły mu powierzyć — po wojnie — tak trudną organizację polskich sił zbrojnych, polskiego przemysłu wojennego, polskiej doktryny wojennej tak, byśmy mogli sprostać ewentualnej rosyjsko-niemieckiej koalicji, tej zmurze i katastrofie naszych dziejów? Nawet najwięksi admiratorzy Hallera nie śmiały bronić podobnej tezy. Mogą najwyżej powoływać się na fakt, że w sytuacji Polski żaden inny dowódca nie potrafiłby naszego kraju uratować przed klęską.

Gdy mowa o Hallerze nie mogę bez nostalgii — mimo anglofobii — nie zwracać się myślą do stosunków angielskich. W Anglii wodzowie, którym się poszczęściło, otrzymują tytuły lordowskie, od barona do wicehrabiego i hrabiego, zależnie od szczęścia, plus wysokie order — od św. Michała do Łaźni i Podwiązki — plus tłuste emerytury, plus synekury i zaszczyty, jak np. stanowisko lorda-namiestnika hrabstwa Londyn, które pozwala nominatowi, w danym wypadku marszałkowi Alexander, uczestniczyć w uroczystościach urzędowych, jak np. przy powitaniu de Gaulle'a na dworcu Victoria etc. Naturalnie generałowie otrzymują rangę marszałka — musi ich być zawsze w Anglii dwunastu; generałowie lotnictwa otrzymują rangę marszałków lotnictwa — *marshalls of the R.A.F.*, a admirałowie rangę wielkich admirałów — *admirals of the Royal Navy*. I zaraz potem ci dostojnicy są całkowicie zapomniani. Dopiero gdy umierają, zostają pochowani znowu z wielkimi honorami. Za życia wygłaszają w Izbie Lordów, tylko z rzadka przemówienia, które przechodzą bez żadnego echa, lub pisują raz na rok listy do *Times'a*, które podobnie nie wywołują żadnego wrażenia. Od tej tradycji, która łączy szacunek dla bohaterów z pochowaniem ich za życia w grubej warstwie naftaliny, zaszedł w naszym pokoleniu jeden jedyny w Anglii wyjątek: mianowicie marszałka Montgomery, który nie zadowolił się zaszczytami, lecz wojażami do Moskwy i Pekinu próbuje jednak odegrać aktywną rolę polityczną. Chyba nie ma nikogo na świecie, który by negował katastroficzne skutki działalności marszałka Montgomery. Swym nie-taktem Lord Montgomery nadwyreżył stosunki z Francją, Włochami, z Ameryką (i Eisenhowerem osobiście), z Niemcami, z Japonią, a jego wypadki do Moskwy i do Pekinu przysporzyły Anglii tylko kłopotów. Chwała Bogu, nikt jednak nie myśli przydzielić Montgomery'emu stanowiska ministra; taka potworność nikomu do głowy nie przychodzi. Partie polityczne i prasa zachowują pełne zaambarasowania milczeniem wobec wybryków tego generała, który wyobraził sobie, iż posiada dane na polityka. Niestety, nikt nie ma odwagi przywołać go do porządku, i jest to jedna z poważnych plam na rządach Macmillana, ale przynajmniej nikt nie ma zamiaru erylować tego półinteligenta w mundurze na rodzaj sztandaru politycznego. Nawet prasa Beaverbrooka, znana na całym świecie z nieodpowiedzialności i niskiego poziomu, nie śmie odważyć się na podobną monstrialność.



Niestety, u nas sytuacja przedstawia się odwrotnie. Jesteśmy narodem politycznie infantylnym. Nasza opinia publiczna nie znosi ludzi politycznie myślących, kocha się we frazesach, nie-nawidzi przywódców politycznych o jakimkolwiek formacie, i darzy swym zaufaniem safandulów, niedołęgów, pół-intelligen-

tów i demagogów. Stąd skłonność ludzi wybitniejszych, którzy wiedzą, że sama ich aparycja mobilizuje całą kołtunerię przeciwników ich poglądom, do chowania się za sztyldem zasłużonych generałów, tak zwanych bohaterów narodowych. Haller nie był winien, że zrobiono z niego sztandar, że właściwie wbrew woli stał się osobistością polityczną i malowanym przywódcą politycznym. Bo prawdziwym nie był nigdy, i oczywiście być nie mógł. Haller sam nigdy nie zajął — bo zająć nie był w stanie — stanowiska w aktualnych sprawach politycznych. Nikt nie jest w stanie powiedzieć, o jaką walczył konstytucję, jakie kładł granice samowoli administracyjnej, jak wielki chciał mieć budżet wojskowy, co sądził o przeciążeniu podatkowym, jak chciał ułożyć nasze stosunki z naszymi dwoma potężnymi sąsiadami. Był on uosobieniem ogólnikowych sloganów w rodzaju „Bóg i Ojczyzna”, które nie znaczą nic. Był to jakby rodzaj Wojciechowskiego, tylko nie w staroświeckim meloniku, lecz w błękitnej konfederatce. Wojciechowski był mym sąsiadem na Polnej: widywałem go co dzień przez lata w cukierni, na rogu Śniadeckich i Marszałkowskiej, gdzie ten wysuszony staruszek co dzień spędzał cały poranek na czytaniu wszystkich dzienników warszawskich. Tak jak jestem głęboko — i coraz bardziej — przekonany, że rządy sanacyjne były katastrofą dla Polski, tak coraz bardziej utwierdzam się w mniemaniu, że Wojciechowski nie przedstawiał wobec tragedii sanacji i piłsudczyzny żadnej alternatywy. Po prostu nie reprezentował nic. Był symbolem reżymu i pojęć, które były z natury rzeczy skazane na zagładę. Otóż Haller był tak samo symbolem jakiegos świata, który nie mógłby istnieć nawet miesiąca bez sprowokowania załamania się całego systemu, a był o tyle niebezpieczniejszy od Wojciechowskiego, że, otoczony aurą zwycięstwa i wodzostwa, cieszył się wielokrotnie większą od niego popularnością. Zapewne bezwiednie, zapewne mimo woli, całe życie Haller uniemożliwiał krystalizowanie się opinii zachowawczej, prawicowej wokół ludzi i idei, które miałyby jakieś szanse sukcesu i odródnienia naszego schorowanego i sklerotycznego systemu politycznego.

Haller jest bardzo typowy dla tragedii naszego życia politycznego. Nie będąc człowiekiem wybitnym, był człowiekiem porządnym; wierzył, a zwłaszcza inni w to uwierzyli, czy udawali, że wierzą (co na to samo wychodzi), że sama zacność jest wystarczającą kwalifikacją polityczną. Jego zasługi były może dziełem przypadku, jak to często bywa w życiu, a zwłaszcza na wojnie, ale były niewątpliwe, a Piłsudski a zwłaszcza jego wyznawcy, nie przysporzyli sobie laurów negując je złośliwie, zwłaszcza jeżeli chodzi o udział w bitwie warszawskiej: ostatecznie nazwisko Hallera może naprawdę zelektryzowało młodzież warszawską w obronie stolicy. Ale wysunięcie tej

nicości do czołowej roli w życiu politycznym musiało zwichnąć wszystkie prawidła gry. Haller, tak samo jak wiele innych naszych osobistości w mundurze, mimo woli ściągał poziom naszego politycznego życia w dół, do beznadziejnego poziomu.



Piszę to wszystko, jako konserwatysta, jako człowiek przekonany, że dla zdrowia politycznego musi istnieć silna prawica, która brzydzi się demagogią i nacjonalizmem, która operuje wyłącznie rozumowaniem a nie sentymentem, która chce przekonać a nie oszukać, która dobiera przywódców, bo wierzy w ich rozum, a nie w ich popularność. Wybitni pisarze francuscy dotąd rozdierają szaty nad głupotą prawicy francuskiej, która uznała swego wodza w Pétain'ie tylko dlatego, że był marszałkiem Francji. Inni pisarze i politycy francuscy raz po raz przestrzegają przed wszelkimi próbami reaktywizacji politycznej pana Juina, który ma za sobą tylko kartę wojenną i tytuł marszałka, a nie rozum polityczny. Są zapewne wyjątki: mimo szlifów generalskich, de Gaulle, który w istocie jest cywilem a nie wojskowym, potrafił wznieść się do poziomu męża stanu. Piłsudskiego należałoby również zaliczyć do tejże kategorii — wypominając mu ogromne błędy, nie sposób zaliczyć go do kategorii ludzi, którzy tylko na podstawie munduru i przeszłości doszli do władzy. Ale Haller nigdy nie miał danych ani na wodza, ani na przywódcę, ani na polityka, ani nawet na działacza. Gdyby dano mu tytuł marszałka i gdyby potem zachował się całe życie biernie i cicho, można by same rzucać kwiaty na jego świeży grób na ponurym cmentarzu londyńskim. Gdy jednak rozlegają się próby zrobienia z tej pocziwej generalskiej mumii — podobnie jak z wielu innych, żyjących i zmarłych generałów — jakiegos nowego Kościuszki, trzeba w imię rzetelności zaprotestować.

W. A. ZBYSZEWSKI

Październik niedyskretny

Zawsze spoglądam z dużą podejrzliwością na wszelkie pamiętniki, z jakiegos bardziej gorącego okresu historycznego. Na ogół jeśli wydarzenia są interesujące, człowiek niebardzo ma czas na skrzętne, a dokładne zapisywanie, co się stało

rano, co wieczorem, z kim się widziało i jaka w ogóle była pogoda.

Tak więc w październiku 56 roku, ani też w następnym roku, nie przyszło mi nawet do głowy pisanie czegokolwiek zbliżonego do pamiętnika. Jednak czas pędzi jak z bicia trzaski i nim się spostrzegłem październik stał się czcigodnym historycznym wydarzeniem, o którym działki się w szkołach uczą. Nie mogłem się więc oprzeć chęci (działa ten pobyt na emigracji) zanalizowania, wyciągnięcia wniosków, słowem napisania porządnego kobylastego artykułu. Miałem nawet tytuł gotowy „Wielkość i upadek rewolucji Październikowej”. Spostrzegłem się jednak rychło, że w toku mego mędrkowania zagubił się gdzieś prawdziwy obraz wydarzeń, ich barwa, niezapomniana atmosfera.

Zrezygnowałem więc z górnych lotów i postanowiłem odtworzyć dzieje dwu październików możliwie „na gorąco”. Tak jak je widziałem oczami przeciętnego członka Koła Młodych przy Z.L.P. Za chronologię oczywiście nie ręczę. Prawdopodobnie kolejność faktów pokiełbała mi się porządnie zlewając się w jeden obraz okresu od października 56 roku do października 57.

Już od śmierci Stalina i Bieruta zaczynała skrzypieć rządowa machina. Przewrót jednak zaczął się dokonywać (przynajmniej na terenie Z.L.P. i prasy) dopiero od Poznania. A może, od burzliwego zebrania Z.L.P. w pałacu prymasowskim, gdzie to Antoni Słonimski publicznie się skarżył, że Witaszewski chce mu głowę zdjąć z karku. Słonimski od razu zdobył sobie tym ogólną sympatię a później prezesurę Z.L.P. Na tymże zebraniu wygwizdany Żółkiewski zakończył swe przemówienie proroczymi słowami. „Niejedni już na mnie tupali i gwizdali, ale ja ich przetrzymałem i was przetrzymam”. Sprawdziło się.

Ale, wracajmy do Poznania! Mówiono półgłosem, że wybuchła tam rewolucja, strajk, że komunikacja jest odcięta. Przyznam się, że nie wierzyłem. Strajk w Polsce. Coś niemożliwego. Strajk to rzecz historyczna o, której czyta się w podręcznikach, względnie, która wydarza się tylko na Zachodzie.

Jednak następnego dnia sam na własne oczy ujrzałem uzbrojone po zęby patrole przed Poczta Główną na Poznańskiej, oraz w innych punktach miasta. Dopiero wtedy uwierzyłem. Prasowe raporty o amerykańskich prowokatorach w Poznaniu przekonały mnie do reszty.

Był to precedens. Od tej chwili wydarzenia potoczyły się wartko. Jedno zebranie po drugim, każde bardziej rewolucyjne od poprzedniego. Ludzie nauczyli się mówić, żądać, krzyczeć. Upajano się rzeczą dawno zapomnianą, wolnością przemówień. Ogólnie chciano nadzwyczajnego zjazdu partii.

Nakłady „Po Prostu” wzrastały bajkowo. Po kioskach nie można było dostać numerów. Na czarnym rynku podobno

kosztowały po sto złotych. Za prawdę tego nie ręczę, gdyż w miarę możliwości brałem okazowe numery prosto z redakcji. Redakcja mieściła się na Wiejskiej, naprzeciw Czytelnika i „Nowej Kultury”. Kilka nędznych pokoików z zabazgranymi ścianami skupiało młodych zapaleńców, chcących zrewolucjonizować nie tylko Polskę, lecz i na dodatek cały świat, oczywiście w duchu marksistowskim tym prawdziwym, dotychczas tylko źle rozumianym.

Przyznam się, że ci młodzi patrzyli na mnie, jako na przedstawiciela grupy literackiej „Współczesność”, z dużą podejrzliwością. Oni robili rewolucję a ci niezdeklarowani mętlniacy bawili się w literaturę. Tę podejrzliwość zresztą odwzajemniałem im z nawiązką. Jakoś nigdy nie mogłem zapomnieć im przeszłości, zetempowskiego pisemka na uniwerku, które kwitło gdy ja i moi koledzy obijaliśmy się po więzieniach, za głoszenie rzeczy dopiero teraz odkrywanych triumfalnie przez grono z „Po Prostu”.

Nie pomogą jednak smętne wyrzekania. Im dostała się historyczna rola przewodniczenia rewolucji październikowej, nie nam. Stało się!

W okresie tym zewsząd podnosiła się fala krytyki. Ukazywało się coraz więcej artykułów, które by przedtem nigdy nie przebrnęły przez cenzurę. Rzucono się wściekle na socrealizm i jego przedstawicieli, zaczytywano się Gombrowiczem, Kafką i egzystencjalistami. Na rynek wkroczyli triumfalnie Amerykanie: Hemingway, Faulkner, Caldwell. Na rodzinnym rynku zabłysła nowa gwiazda, odkryta przez Andrejewskiego — Marek Hłasko.

Na niezliczonych zebraniach i wiecach domagano się usunięcia co wybitniejszych stalinowców i powrotu do władzy Gomułki. Gomułka stał się narodowym bohaterem. Więzienie zjednało mu szeroką sympatię i jedynie Wyszyński mógł z nim konkurować. To jednak na razie nie groziło. Panowało między nimi zawieszenie broni.

Oficjalna władza była wyraźnie zdeorientowana. Nigdy jeszcze nie spotkała się z tak ogólną i otwartą krytyką. Nie wiedziano jak sobie z tym nowym zjawiskiem poradzić. Ze wszystkich stron czegoś żądano: amnestii, usunięcia wojsk sowieckich z Polski, wolności prasy, powrotu ziem wschodnich a przede wszystkim nadzwyczajnego zjazdu partii i wyrzucenia wszystkich stalinowców.

Najwięcej przy tym gardłowali sobie tacy średniacy — stalinowcy, którzy błyskawicznie zmienili front i zaczęli przewodzić rewolucji. Zwłaszcza w środowisku literacko-dziennikarskim zjawisko to było nagminne. Jeśli dodać, że grupa ta praktycznie monopolizowała wszelkie pisma trzeba stwierdzić, że margines dla nowych ludzi był nader znikomym.

Cały święty gniew obrócono przeciw Stalinowi, jego co główniejszym popiecznikom, ustrojowi i cenzurze. Wszelkie

próby bardziej personalnej krytyki odrzucano z niesmakiem jako rozbijactwo.

Byli prześladowcy (a raczej okłamani i zawiedzeni) i prześladowani zjednoczyli się wspólnie i entuzjastycznie w duchu rewolucyjnym, wysyłając niezliczone petycje do towarzysza Wiesława, z których chyba najbardziej niefortunna była prośba o zezwolenie na przygarnięcie sierot węgierskich, które to pozytywne sieroty chciały pozostać w kraju socjalistycznym i być wychowane w odpowiednim duchu miast emigrować do krajów kapitalistycznych.

Ogarnięci świętym szalem samopoświęcenia literaci zaofiarowali na ten cel swój skromny domek w Szklarskiej Porębie i niezwłocznie wysłali odpowiednią delegację pod przewodnictwem Zawieyskiego. Niestety towarzysz Wiesław zezwolenia nie udzielił i delegacja powróciła ze smętnymi minami i racjonalistycznymi mówkami na temat, co racja, panie, to racja, już tam towarzysz Wiesław najlepiej wie co robić.

Zebrania, gadanina, narady oraz konspiracyjne czytanie Gombrowicza ciągnęły się do października. I wtedy to wydarzył się dzień, który na zawsze pozostał mi w pamięci i który chociaż nieodnotowany oficjalnie, w dużej mierze zaważył na losach października. Wtedy to po raz pierwszy od dziesiątków lat przeciwni ludzie próbowali coś zadecydować. Ale do rzeczy! Wracając z jednego z późnych zebrań zauważyłem, że ulice wyglądają jakoś dziwnie. Ludzie chodzili grupkami, przystawali, zatrzymywali się, by coś przedyskutować następnie szybko gdzieś podążali.

Przed gmachem Komitetu Centralnego rósł tłum. Coś mnie w nim uderzyło, coś chaotycznego, nieorganizowanego. Była to dla mnie nowość. Przywykłem do grzecznych, zdyscyplinowanych tłumów, zganianych na 22 lipca czy 1 maja. Ten tłum był zdecydowanie inny. Falaował, rozlewał się. Zewsząd wyskakiwały jakieś postacie. Słychać było pomruki i okrzyki.

W tym czasie sytuacja była napięta. Po Warszawie chodziły pogłoski, że Piasecki chce zorganizować zamach stanu, że wezwał na pomoc armię sowiecką, że Rosjanie są kilkanaście kilometrów od rogatek Warszawy, że robotnicy na Żeraniu dostali broń i strzegą wszelkich wejść do stolicy. Panikę potęgowało radio wzywając co chwila do zachowania spokoju.

Chcąc sprawdzić co właściwie się tu dzieje wyskoczyłem z tramwaju. W jednej chwili stopiłem się z tłumem. Stałem się jednym z wielu setek. Przez moment było cicho. Gdzieś wysoko w gmachu K.C. paliły się pojedyncze okna, rzucając niepewne migotliwe blaski na tłum.

— Gomułka, Gomułka, niech wyjdzie — zaczęły się domagać głosy.

— Kostek do Moskwy — coraz odważniej.

— Rokossowski do Moskwy — podnosił się ogólny ryk,

— My chcemy Wyszyńskiego!

— Gomułka nie chowaj się!

Od krzyku dźwięczały szyby. Gmach K.C. jednak milczał. Zgasły zapalone okna. Wyglądało jakby ktoś we wnętrzu czaił się do skoku. Korzystając z chwilowej ciszy z tłumy wyłoniła się pochyła postać i wspięła się na kamienne podwyższenie. Ostry cienki głos perorował z zapątem.

— Towarzysze rozejdźmy się, rozejdźmy się. To wszystko prowokacja. Nie dajmy się sprowokować, nie dajmy się sprowokować! Sowietci wyślą tu armię. Spokój, za wszelką cenę spokój!

Przecisnąłem się przez tłum w pobliże mówcy. Poznałem zgarbioną postać Grzegorza Lasoty, redaktora ze „Sztandaru Młodych”, młodocianego stalinowca i jednego z przywódców „pryszczatych”. Nie tylko ja go rozpoznałem.

— My dla ciebie nie towarzysze!

— Te, Lasota, zamknij mordę!

— Zdjąć go z tych schodków.

Lasota nie czekał. Sam zeskoczył z podmurowania i roztopił się w cieniu. Nagle przez tłum przeszedł dreszcz. Na zaciemnionym balkonie pojawił się Gomułka. Milczał spoglądając w dół. Czekano w napięciu na mowę. Na epokową płomienną mowę, do zebranego ludu.

— Ludzie rozejdźcie się do domów, do domów — powiedział wyraźnie zirytowanym głosem — ja mam pilną pracę, idźcie do domów!

— Wyszyński!

— Rokossowski do Moskwy!

Rozległy się głosy ze wzmoczoną mocą. Gomułka wzruszył ramionami i znikł we wnętrzu gmachu. Czekano, że pojawi się ponownie. Długo, na próżno. Tłum topniał. Nagle na opróżnione po Lasocie miejsce wskoczył chudy młodzieniec w wojskowym szynelu.

— Pod Kolumnę Zygmunta, za mną!

I nie oglądając się ruszył z miejsca. Ludzie powoli, jakby niechętnie, podążyli za nim. Po chwili uformował się szeroki beładny pochód.

— Porządnie, równo, szeregami — krzyczano.

Gdzieś na czele pochodu pojawił się białe czerwony sztandar. Ludzie ciągnęli za nim jak za magnesem. Dziwny i jakiś samotny wydawał mi się ten sztandar, bez asysty czerwonych chorągwi.

Szliśmy równo, rytmicznie, szeregami. Roztopiłem się w masie. Nie byłem dłużej sobą, lecz jednym z nas, z braci Polaków, idących gdzieś wspólnie, choćby na śmierć. Do zachrypnięcia wykrzykiwałem różne hasła.

Przyznam się, że po raz pierwszy odczułem na sobie działanie psychologii tłumy. Brałem udział w niezliczonych pochodach i spontanicznych odgórnie zorganizowanych manifestacjach, lecz nigdy nie zatracąłem swej indywidualności. Zawsze byłem niechętną, krytycznie nastawioną jednostką. A zbiorowisko takich jednostek nie tworzyło tłumy.

Szliśmy i szliśmy. Środkiem jezdni. Tramwaje przystawały. Ruch się zatrzymywał. Na chodnikach stali zdumieni przechodnie. Kawiarnie opustoszały.

Do nas, do nas!

Dołączyć! — krzyczano z szeregów.

I coraz ktoś nowy odrywał się od grupki widzów i wtapiał się w pochód. Szliśmy teraz Nowym Światem wypełniając go po brzegi. Przed hotelem Bristol tłum stanął. Rozległy się ze zdwojoną mocą okrzyki.

— Kostek do Moskwy!

— Polska niepodległa!

— Precz z rosyjską okupacją!

— Uwolnić Wyszyńskiego!

Z balkonów hotelu zagraniczni korespondenci w wieczorowych strojach pokiwali nam grzecznościowo białymi chusteczkami. Tłum zadowolony z tego efektu pociągnął dalej. Zastanowiła mnie duża ilość młodzieży szkolnej w jego szeregach. Idący obok mnie może piętnastoletni chłopaczek wprost zachłystywał się antysowieckimi hasłami. Dwunastoletnia dziewczynka, z następnego rzędu cieniutkim głosem domagała się zwrotu nauki religii.

Ze ci smarkacze byli aż do tego stopnia antysowieccy, było dla mnie czymś zagadkowym. Moja generacja przeżyła dzieciństwo za okupacji, w atmosferze walki i oporu. Wczesną młodość w latach tłumienia konspiracji powojennej, pewnego liberalizmu intelektualnego i została następnie siłą wtłoczona w socjalistyczne wychowanie. Nic dziwnego, że reakcja nasza była silna i negatywna. Tymczasem ci młodziecy, którym od ochronki wpajano miłość do wielkiego sąsiada okazywali taką niewdzięczność. Dziwne!

W końcu dotarliśmy do Kolumny Zygmunta. Gdzieś po drodze mignęły blade wystraszone twarze, schronione za szybą kawiarni Z.L.P. Tymczasem tłum stał niezdecydowany. Po prostu niewiedziało co robić dalej. Od Wisły szedł zimny przenikliwy wiatr.

Później przeczytałem w gazetach, że cała ta manifestacja była świetnie zorganizowana przez reakcyjne siły. Będąc na miejscu odniosłem wręcz przeciwne wrażenie. Pięć, sześć osób zmówionych i zdecydowanych mogłoby poprowadzić ten olbrzymi tłum.

Tak zaś jak było, wszyscy byli niepewni, lekko zdziwieni własną odwagą, a przede wszystkim przerażeniwie niezorganizowani. Przez dwadzieścia lat przeciętny człowiek odwykł od pochodów, manifestacji. Ci wychowani w P.R.L. nie znali nawet innych, niż te oficjalne i rządowe.

W międzyczasie pod postument króla Zygmunta wspięła się wysoka czarna dziewczyna. Ze znajomym zetempowskim „przyśpiewem” zaczęła wyrobionym głosem wygłaszać mowę. Wszystko było jak na zebraniu, słownik, akcentacja, frazesologia, tylko treść zupełnie inna. Przemówienie nie wywarło

na nikim wrażenia, a jednak jak sobie przypominam była to najbardziej płomienna antysowiecka mowa jaką kiedykolwiek słyszałem.

Świetnie wyważone końcowe wezwanie, by iść pod rosyjską ambasadę padło w próżnię. Zetempowska forma zabiła wszelki efekt. Zaledwie parę nieśmiałych głosów poparło apel by zaraz uciekać.

W końcu zdecydowano się pójść pod Pałac Kultury. Zniechęcony, czy nie dzięki swemu centralnemu położeniu, stał się najważniejszym punktem dla wszelkich zebrani i manifestacji.

Po tej decyzji tłum od razu odzyskał animusz. Zaczęto śpiewać Rotę, Jeszcze Polska i ciągnąć w stronę Marszałkowskiej. Ludzi ciągle przybywało. Wreszcie stanęliśmy pod Pałacem. Wokół roilo się morze głów. I tu znów wszystkich ogarnęło niezdecydowanie.

— Pod ruską ambasadę!

— Pod Belweder!

— Pod Kacę!

Na opróżnioną po jakiejś oficjalnej okazji trybunę wdrapał się mój przyjaciel S. Przypuszczam, że ten niepozorny chłopak, poeta i handlarz książkami, w wielkiej mierze zaważył na losach października.

Tłum zaczynał falować. Pomruki „na ambasadę”, na ambasadę” przybierały na sile. Brakowało tylko kogoś, kto by objął komendę. Tymczasem S. stanął na pokrytym czerwonym sukniem stole. Był świetnie widoczny. Oczy zebranych skupiły się na nim. Rozłożył ręce w dramatycznym geście.

— Polacy (to słowo było wtedy skuteczne) nie dajmy pretekstu. Sowieckie czołgi tylko na to czekają. Chodźmy pod Politechnikę zrobić wiec.

W tym czasie słowo „wiec” nabrało nowej treści. Do tej pory tylko tyle wiedziałem, że starożytni Słowianie zwolowali wiece, i że coś tak zwanego było kiedyś popularne w latach dwudziestych. Teraz zaś „wiec” co chwila się powtarzało. „Wiec” na Żeraniu z towarzyszem Goździkiem (co się stało z tym niegdyś najpopularniejszym bohaterem ludowego października? Podobno wyrzucono go z pracy za brak dyscypliny?). „Wiec” na Starówce. „Wiec” w akademii Sztuk Pięknych i najsłynniejszy „wiec” na Politechnice, którego powtórzenia chciał widocznie S.

Jego płomienny apel, wygłoszony z całą siłą przekonania zadecydował. Chwiejny tłum ruszył pod Politechnikę. Dotarłszy tam znów stał niezdecydowany, niepewny co robić dalej.

— Do środka!

— Otworzyć bramę!

— Cześć na studentów!

Wreszcie ciężkie wierzeje zwolna się otworzyły. Nikt jednak nie wchodził do wnętrza. Chorągwie w rękach przewodców ciągle chwiały się na wietrze przed wejściem. Rozlegały się teraz inne głosy.

— Nie wchodzić do środka!

— Chcą nas zamknąć!

Z rykiem motorów na widowni pojawiły się dwie ciężarówki wyladowane milicją. Tłum odetchnął z ulgą i naparł na nie. Wreszcie było coś konkretnego do roboty! Ciężarówki zachwiały się. Milicjanci nie wyskakiwali na zewnątrz. Bali się, lub nie mieli wyraźnych instrukcji. W ogóle milicja w październiku wyraźnie umywała ręce. Starła się nie wtrącać do niczego. Po chwili samochody odjechały. Tłum podniósł radosny ryk. Zwycięstwo!

Prawie w tej samej chwili zjawili się kilka wozów wypełnionych strażakami. Postali parę minut i też odjechały, żegnane gwizdami i okrzykami.

Tłum jednak zaczął po tych sukcesach maleć. Nie było co dalej robić. Było już po dziesiątej. Popadywał drobny, przenikliwy deszczyk. Po przyległych ulicach zaczęły kursować samochody opatrzone w potężne głośniki.

— Do domów!

— Rozejść się!

— Prowokatorów w dupę!

Zdawało się dochodzić z każdego miejsca. Głosy docierały wszędzie. Efekt był potężny. Ludzie zaczęli oglądać się niespokojnie, patrzeć na zegarki i widząc, że na nic ciekawego się nie zanoszą powoli ubywali.

Sztandary gdzieś zniknęły. Od tej chwili tłum topniał błyskawicznie. Wypełniony przed paru minutami po brzegi plac opustoszał. W mdłym świetle latarni potyskiwały mokre kocie łby.



Tak skończył się najburzliwszy, chociaż nigdzie nie odnotowany, dzień października. Jak później opowiadał mistrz Putrament, Kace porządnie obawiało się rozruchów, lecz nie wiedziało jak postąpić. W końcu ktoś rozwiązał sytuację wpadłszy na skuteczny pomysł wysłania wozów z głośnikami.

Właśnie jednym z takich samochodów jeździł sam mistrz Putrament, ba nawet został zatrzymany przez oburzoną grupkę wyższych wojskowych, którzy zrozumieli jego wojenny okrzyk „prowokatorów w dupę” jako „prowokatorów z wupear”. Nieporozumienie zostało wyjaśnione.



Później nastały dziwne dni. Z jednej strony wszyscy zdawali się bać oddychać, by wszechobecna rosyjska potęga nie usłyszała, a z drugiej strony ciągle wrzało. Gomułka zaś dążył przede wszystkim do ustabilizowania władzy i wzmocnienia nadzarpniętego systemu. Chociaż powoli wszystko zdawało się

wracać do normy. Dość wiecowania, teraz do pracy — głosił towarzysz Wiesław.

Jednak nie wszyscy chcieli się z tym zgodzić. Zwłaszcza młodzież, której krótki okres wolności uderzył do głowy i która zbyt wiele rzeczy wzięła na serio. Na nią też zaczęły spadać pierwsze represje. W pierwszym rządzie rozwiązano większość młodzieżowych i studenckich pism. „Po Prostu” na razie zostawiono. Było zbyt silne.

Sparaliżowano w zarodku próby stworzenia Związku Młodzieży Demokratycznej, który chociaż przez swój krótki okres istnienia był wysoce niepoważny, był precedensem jako pierwsza organizacja polityczna, która miała odwagę twierdzić, że nie chce socjalizmu i poparcia Sowietów i że jest w opozycji.

Cenzura, z której wyrzucono połowę cenzorów (tych zbyt rewolucyjnych, co chcieli ją sami znieść) zaczęła się srożyć na nowo. Programy teatrzyków studenckich straciły na ostrości i werwie. Brak usiłowano zastąpić „strip teases” i wyborami na różnorakie Miss.

Zapanowała ogólna apatia. Cieszone się osiągnięciami rewolucji i ogólnie rozumiano, że o niczym więcej marzyć nie można. Samo zadowolenie nie zdołano jednak zagłuszyć wyrzutów sumienia, gdy konała rewolucja węgierska.

Prawie każdy wtedy nosił wpiętą do klapy wstążeczkę z węgierskimi barwami. Przeprowadzano uliczne zbiórki „na Węgrów”. Przed Uniwersytetem, pod zwisającymi czarnymi chorągiewkami i transparentem głoszącym wieczną przyjaźń polsko-węgierską stały warty honorowe. I to ucihuło powoli.

Zebrania zwoływano coraz rzadziej. Zwykła szara rzeczywistość powracała na swe miejsce. Spostrzegano coraz więcej braków, coraz bardziej obawiano się przyszłości. Jednak szary człowiek z ulicy nie podzielał tych nastrojów. Był ciągle jeszcze zadowolony. Gomułka uratował nas od wojny z Rosją. Gomułka powiększył pensję. Gomułka zniósł kolchozy. Wziął pożyczkę od Amerykanów. Już on tam wie co robi, byle mu tylko nie brudzić.

Tymczasem w sferach zbliżonych do wydziału prasowego zaczęto przebąkiwać, że partia przystępuje do zdecydowanej ofensywy intelektualnej. Redakcja „Nowej Kultury” miała otrzymać ostrą reprymendę. Miano stworzyć nowe pismo („Polityka”) będące odpowiedzią na „Po Prostu”, które uparcie nie chciało się poprawić. Redakcja „Nowej Kultury” złożyła już samokrytykę.

Podczas wakacji, w sezonie ogórkowym, wszystko przycichło. Wyjechałem na festiwal do Moskwy. Po powrocie znów się zetknąłem z pogłoskami, że „Po Prostu” będzie zlikwidowane.

Nie pozostawało nic innego niż cierpliwie czekać na dalszy bieg wydarzeń. Już w czasie wakacji ogłoszono, że „Po Prostu” nie będzie się ukazywać w czasie letniej przerwy na uniwersytecie. Posunięcie mocno podejrzane, gdyż „Po Prostu”

już od dawna przestało być pismem studenckim, a stało się ogólnie polskim (reakcja uznała je swoje i teraz redaktorzy muszą się podporządkowywać jej żądaniom, twierdził jeden z członków K.C.), o chyba największym nakładzie.

Pewnego dnia w przedśionku cenzury wiadomość się potwierdziła. „Po Prostu” przestało wychodzić. Jak mówiono, przeniesienie redakcji do Pałacu Kultury na zdrowie im nie wyszło.

Z.L.P. energicznie zareagował na tę wiadomość. Nie pamiętałem, czy na walnym zebraniu czy też na nadzwyczajnym, zwołanym specjalnie z tej okazji, uchwalono ostry protest przeciw ograniczaniu wolności prasy. Pod koniec tego spotkania pani Z.B. przyniosła dramatyczną wieść, że milicja bije studentów pałkami, że podobno przed akademikiem na placu Naruszewicza wrze formalna bitwa.

Wywołało to ogólne oburzenie. Nie czekając na zakończenie zebrania wyszedłem. Ulice były wyraźnie opustoszałe. Ludzie szybko i niepewnie przysmykali się pod ścianami domów. Zatrzymałem się na chwilę przed gmachem K.C.

Nim zdążyłem się zorientować, co się tam dzieje otoczyła mnie, jak wyrosła spod ziemi, grupka chuliganów. Na rękawach czerwieniły się opaski z czarnymi literami R. M. Zza pazuch wydobyli łamigłówki i wyraźnie zamierzali się ze mną porachować. Zepsułem im tę przyjemność szybko uskoczywszy w pierwszą lepszą bramę i schroniwszy się na ostatnim piętrze. W całym tym zajściu nie licząc uderzenia w ramię, straciłem tylko okulary.

Później z mej kryjówki, wyzierając ostrożnie z bramy, obserwowałem dalszą akcję tej Milicji Robotniczej. Bito zasadniczo wszystkich. Tak dla postrachu, nie specjalnie mocno, ale nie daj Boże, żeby im student w łapy wpadł, względnie ktoś obdarzony tak zwanym inteligenckim wyglądem. Pałki tylko furczały.

Przechodnie byli wyraźnie zdezorientowani. Aż do momentu gdy padły pierwsze uderzenia nie byli pewni, czy to się ich w ogóle dotyczy. Później niezdarnie unikali uderzeń. Nikt się nie bronił. Tego wieczoru pobito ciężko kilkanaście osób i sterroryzowano prawie całą Warszawę. Po zmroku nikt nie chciał wychodzić z domu, chociaż i to nie zabezpieczało; podobno na M.D.M. wtargnięto do paru mieszkań i pobito właścicieli.

Następnej nocy, gdzieś ze śródmieścia zaczęły dochodzić wybuchy. Niebo zasnuło się dymem, odbijając czerwonym refleksem światła miasta. Nie mogłem się oprzeć ciekawości i wybrałem się na miasto z dwoma przyjaciółmi Hindusami.

Wziąłem ich jako rodzaj protekcji. Byłem pewien, że w ich towarzystwie jestem względnie bezpieczny. Przypuszczam, iż fakt, że od lat jedyni cudzoziemcy odwiedzający Polskę byli członkami różnych wielce szacownych delegacji, wytworzył w milicji naturalny szacunek dla zagraniczników. Jeśli zaś

chodzi o wszelkie ciemnoskóre nacje, trudno tu było o pomyłkę i plus naturalna sympatia dla wszelkich „kolorowych”, wrodzona wszystkim chyba Polakom, zapewniały swobodę poruszania i protekcję w najtrudniejszych nawet sytuacjach.

Obliczenia moje mnie nie zawiodły. Dotarliśmy jednak zaledwie do skrzyżowania Alej Jerozolimskich z Marszałkowską. Dalej tramwaje nie szły. Na olbrzymim pustym placu przed Pałacem Kultury kilkudziesięciu milicjantów uganiało się za tłumem chłopaczków.

Muszę tu wyjaśnić, że pierwotne studenckie manifestacje, następnego dnia po akcji milicji robotniczej (nie mylić z M.O.) przerodziły się w niezorganizowane rozruchy uliczne. Studenci pośpiesznie się wycofali, a większa część społeczeństwa schroniła się w pielesza domowe. Na placu boju pozostała przeważnie szkolna młodzież i trudny do określenia (choćby zdecydowanie, nie chuligański) element.

Postanowiliśmy zbliżyć się bardziej do pola walki. Idealnym punktem obserwacyjnym wydawały się unieruchomione po środku jezdni tramwaje. Tam też dotarliśmy i widzieliśmy wszystko jak w kinie.

Ciężko odziani i uzbrojeni po zęby milicjanci uganiaли się za szybkoonogimi młodzikami. Ci zaś prędko umykali, by z bezpiecznej odległości obrzucać milicję kamieniami. Gdy ci zaś ponownie się zbliżyli zabawa powtarzała się od nowa. W końcu jednak rozwścieczonym milicjantom udało się pochwycić paru chłopaków. Zaczęła się okrutna masakra. Milicjanci brali odwet za godziną gonitwę, za szyderstwa i obelgi. Młodzików bito pałkami, kopano ciężkimi butami. Ludzie zgromadzeni na chodnikach i obserwujący wszystko z bezpiecznej odległości, przestali naraz być biernymi widzami. Zaczęto krzyczeć. Ba, leciały pojedyncze cegły.

Milicjanci zwrócili się teraz przeciw przechodniom. Droga wiodła przez jezdnię. Nie czekając, by dotarli do naszego tramwaju, wyskoczyliśmy i schroniliśmy się w bramie. Tuż za nami pognęła masa ludzka unosząc nas z sobą.

Na zewnątrz padło parę strzałów. Strzelano w powietrze. Tłum to unosił nas na zewnątrz, to wpadając w panikę, porywał z powrotem do środka.

Po paru minutach ustalił się schemat, który z małymi wariacjami trwał aż do końca zajęć październikowych. Tłum formował się przed milicjantami. Wykrzykiwał obelgi, z których najpopularniejszą było „Gestapo” (milicjanci w długich deszczowych płaszczach i stalowych hełmach, rzeczywiście przypominali Niemców) i zmykał co sił w nogach, gdy milicja szarżowała.

Następnego dnia doszło do poważniejszych zajęć. Winna tu była przede wszystkim Milicja Robotnicza, lub, jak kto woli, chuligani specjalnie zmobilizowani do tej akcji. Podczas gdy regularna milicja na ogół nie dopuszczała się wtedy rękoczynów, ograniczając się do rozganiania tłumów, milicja

robotnicza atakowała wszystkich, traktując całą sprawą jako wspaniałe ujęcie dla sadystycznych instynktów.

Co młodsze i energiczniejsze jednostki zaczęły się jednak odplacać pięknym za nadobne. Na przykład pierwszego dnia zająć jeden z mych przyjaciół przyszedł skrzywiony i kwękający. Okazało się, że kopnięto go w brzuch zupełnie bez powodu.

Nazajutrz młodzieniec ten, znakomity zresztą sportowiec, zwerbował paczkę przyjaciół i uzbrojeni w pałki sprawili straszliwe lanie kilku oddziałom R.M. nie spodziewającym się oporu. Zasmakował on tak w tej działalności, że przerzucił się na regularną milicję, i pod koniec zająć triumfalnie pokazywał mi kilka zdobycznych stalowych hełmów. Podobnie postąpiło i wielu innych.

Nic więc dziwnego, że cała akcja przybrała wkrótce bardziej poważny obrót. Milicjantów zasypywano kamieniami, butelkami i cegłami. Ci zaś używali gazów łzawiących, petard i nawet pistoletów. W podnieceniu zapomniano o samej przyczynie zająć, o „Po Prostu”. Przez kilka dni ze śródmieścia dolatywały odgłosy wybuchów i ulice bywały zasypane odłamkami szkła, kamieniami, i wyrwanymi z płotów kołkami.

W miarę jednak przybywania milicji, która zdążyła się już oswoić z taktyką zwalczania tłumu, i ubywaniem elementu bardziej odpowiedzialnego, zająć przybierały charakter walki z chuliganerią i zatraciły wszelki odcień polityczny. Opór malał i w końcu zanikł prawie zupełnie. Miasto było sterroryzowane.

Dosłownie ostatniego dnia zaszedł incydent, który żywo pozostał mi w pamięci. Na wysepce przystanku tramwajowego, przed hotelem Polonia, zgrupował się tłumek czekający na tramwaje.

Nagle przemknęła, prawie ocierając się o krawężnik, ciężarówka. Spod plandeki ktoś się wychylił i krzyknął przeraźliwym głosem: „Zabili, ciała wieziemy”.

Zebranych nagle ogarnęła wściekłość. Ktoś krzyknął „Mordercy”. Zafalowało. Momentalnie przed tłumem wyrósł elegancki oficer milicji w skórzanych rękawiczkach. Wyłowił może osiemnastoletniego chłopaczka, który przez niewinność lub głupotę nie pozbył się jeszcze studenckiej czapki i zaczął go zdecydowanie i metodycznie obrabiać. Raz w zęby, raz w nos, raz w zęby, raz w nos. Zakończył kopnięciem w brzuch i oddał nieprzytomnego chłopaka w ręce milicji. Tłumek spokorniał i grzecznie załadował się w nadeszłe tramwaje.

Zastanawiające jest jak szybko udało się Gomulce wyszkolić specjalne oddziały milicji do walki z tłumem, i mieć je pod ręką na zawołanie w Gołędzinowie. Od ostatniego października upłynął przecież dopiero rok.

Okres ten od października 1956 do października 1957 wrył mi się na zawsze w pamięć. Doświadczyłem wielu nowych rzeczy wraz z całym moim pokoleniem. Wiedziałem świetnie co to znaczy brutalna siła użyta wobec jednostki, lecz po raz

pierwszy zobaczyłem ją użytą wobec tłumu. Zobaczyłem co to znaczy sterroryzować miasto, by nikt się nie odważył protestować. Po raz pierwszy w moim życiu użyto otwarcie i bez wstydu metod, które, jak nam wpajano, były używane jedynie w kapitalizmie i których praktycznie nie znaliśmy. Za moich czasów stalinizm był już bardziej wyrafinowany, miast zwalczając opór, tłumił go w zarodku, nim zdążył się zorganizować.

Pierwszy zaś październik, 1956 roku, pozostawił mi w wspomnieniach nie rozumowe, lecz upojne uczucie połączenia się z tłumem, uczucie rewolucyjnego nastawienia i wolności.

Tych lekcji dwu październików, łatwo się nie zapomina.

Leszek SZYMAŃSKI

Przeszło **1.000** egzemplarzy
sprzedano w przedpłacie

Gaëtan PICON

PANORAMA MYŚLI WSPÓŁCZESNEJ

CAŁA BIBLIOTEKA W JEDNYM TOMIE!

Najnowsze zdobycze myśli ludzkiej w zakresie filozofii, psychologii, religii, socjologii, problemów i form sztuki, nauk matematycznych, fizycznych i biologii.

Wybór autentycznych tekstów z dzieł najwybitniejszych uczonych i myślicieli.

**NIE CZEKAJ AŻ KSIĄŻKA BĘDZIE WYCZERPANA!
NAKLAD OGRANICZONY!**

700 stron dużego formatu

Cena dol. 6.00 lub sh. 43 — lub NF. 30.00

Do nabycia we wszystkich polskich księgarniach lub u wydawcy:

„LIBELLA”

12, rue Saint Louis-en-l'Île — PARIS (4)

Kronika kulturalna

Profesor St. Kościałkowski

2 września rb. w Pitsford w Anglii zmarł wybitny historyk polski, prof. Stanisław Zyndram Kościałkowski, w wieku lat 79. Prof. Kościałkowski urodził się 24 października 1881 roku w Grodnie, gdzie ukończył gimnazjum. Następnie studiował na uniwersytecie Jagiellońskim, który ukończył ze stopniem doktora filozofii z dziedziny historii. Po krótkim pobycie w Rzymie na dodatkowych studiach, powrócił do kraju i całe życie — do 1939 roku — spędził w Wilnie (od r. 1906). Początkowo był nauczycielem polonistyki w szkołach średnich, zaś w Dwudziestolecie został profesorem historii Polski na uniwersytecie Stefana Batorego.

Po zajęciu Wilna przez wojska sowieckie prof. Kościałkowski został wywieziony do Rosji. Zwolniony z obozu za Uralem w roku 1942, znalazł się w Persji, a następnie w Libanie. Przez szereg lat poświęcał się studiom nad historią i kulturą ludów arabskich. Był współzałożycielem Polskiego Instytutu Wschodniego w Beyrucie „Reduta”. W r. 1950 przybył na stałe do Wielkiej Brytanii. Został profesorem Polskiego Uniwersytetu na Obczyźnie, a przed paru laty jego rektorem. Nie mógł już niestety objąć tej godności wobec postępującej choroby. Był też seniorem Społeczności Akademickiej Uniwersytetu Stefana Batorego, która się ukonstytuowała w Wielkiej Brytanii. Prace swe ogłaszał przede wszystkim w kolejnych tomach wydawnictwa „Społeczności”, wychodzących pt.: „Alma Mater Vilnensis” w Londynie. Był ponadto członkiem Polskiego Towarzystwa Naukowego na Obczyźnie i członkiem honorowym Polskiego Towarzystwa Historycznego w Londynie.

Prof. Kościałkowski, jeszcze w czasie studiów w Krakowie, pod wpływem dzieła Tadeusza Korzona pt.: „Wewnętrzne dzieje Polski za Stanisława Augusta”, postanowił napisać pendant do tej pracy o wewnętrznych dziejach W. X. Litewskiego. Przez kilkadziesiąt lat studiował historię Litwy i centralną po-

stać tego okresu z lat 1765-1780, Antoniego Tyzenhauza, polityka, ekonomisty, działacza kulturalnego i społecznego i w wyniku napisał wielkie studium o tym okresie historycznym (ok. 1200 stron druku), którego druk rozpoczęto w przededniu wojny. Rękopis tej pracy ocalał, znalazł się w Polsce i dopiero przed paru laty, dzięki zresztą staraniom redakcji „Kultury”, udało się go sprowadzić na Zachód. Redakcja „Kultury” zamierzała wydać tę pracę w ramach Biblioteki „Kultury” i druk miał rozpocząć się na jesieni bieżącego roku. Śmierć zastała prof. Kościałkowskiego przy przygotowywaniu rękopisu do druku.

Dwa wyrazy proszą o chwilę uwagi

LIST DO WSPÓŁPRACOWNIKÓW I CZYTELNIKÓW „KULTURY”

Z okazji tysięcznej rocznicy pojawienia się Polski w kronikach i dokumentach Zachodu czyli na tzw. widowni historycznej, w dziennikach i czasopismach, obok „tysiąclecia”, ukazał się także łaciński wyraz „millennium”. Jedni piszą go *millenium*, inni *milenium*, inni wreszcie zachowują łacińską pisownię *millennium*. Na różnorodność tych wariantów graficznych czytelnicy nie mają zapewne powodu się skarżyć. We wszystkich trzech wypadkach wyraz wymawia się tak samo, a sensu jego łatwo się domyśleć. Kto zresztą wie czy upór, z jakim staramy się pisać wyrazy zawsze tak samo, z pozbawioną fantazji jednostajnością, nie jest tylko pedanterią? Ale to inna sprawa. Rzecz w tym, że Mieszka Starego będziemy wspominali jeszcze przez kilka lat, powtarzając wciąż wyraz „millennium” w piśmie i słowie. Dla ułatwienia więc pracy cecerom i korektorom, mającym już tyle innych zmartwień z niepewnością naszej ortografii, warto by być może ustalić, jak się ten wyraz pisze.

Sprawy pisowni załatwiano u nas dotąd w trybie autorytatywnym. W sporach językowych publiczność na ogół nie zabierała głosu. Wyroki sławnych językoznawców, instytucji naukowych i powołanych w tym celu komisji, a wreszcie i okólniki ministerialne przyjmowano za wyroki Opatrzności. W ojczyźnie rokoszów i konfederacji metoda autorytatywna nie wydała jednak pomyślnych skutków. Za mego życia widziałem wiele pisowni. Załedwie do którejś z nich przywykłem, musiałem już uczyć się nowej. Przez długi czas istniały w Polsce dwie równoległe pisownie.

Dwudziestolecie niepodległości nie zostawiło po sobie żadnej wiarygodnej ortografii. Piszemy więc figlarnie nieodmienne pozdrowienie „dzień dobry” oddzielnie a odmienne „dobranoc” razem, musimy wciąż zaglądać do słowników, a w ich braku, zamiast pisać jak mówimy, wysilamy się na peryfrazę dla uniknięcia wyrazów, których ortografii nie jesteśmy pewni. Wreszcie zabrakło autorytetów, mogących rozstrzygnąć jak należy pisać „millennium”. Siłą rzeczy musimy odwołać się do zwyczaju, a ponieważ zwyczaj zdaje się mówić w tej chwili tylko: „Pisz jak chcesz”, pozostaje nam — w granicach naszych możliwości — jakiś zwyczaj ustalić.

W tej myśli zwracam się do współpracowników i czytelników „Kultury” z zapytaniem, jak chcieliby ten wyraz pisać i widzieć w druku.

Nad tym, czy wyraz ten jest w ogóle potrzebny skoro mamy już „tysiącolecie”, nie musimy się już zastanawiać, bo sprawa została już przez zwyczaj przesądzona. Różnie pisany, wyraz ten od pewnego czasu spotykamy wciąż w druku. Zresztą wyraz łaciński nie jest wcale od rzeczy, gdy mowa o Mieszku Starym i Polsce Piastowskiej, bo znamy ją tylko z dokumentów i kronik łacińskich i pisząc o jej historii, instytucjach i obyczajach wpadamy mimo woli w łacińskie terminy i cytaty.

Niektórzy zdają się używać słowa „millennium” po prostu dla urozmaicenia swego słownictwa, nie chcąc powtarzać więcej niż dwadzieścia pięć razy z rzędu wyrazu „tysiącolecie”. U innych jednak „millennium” przybrało pewien szczególny sens, nad którym musimy się przez chwilę zatrzymać. Tysiącolecie, które Polacy zamierzają świętować w najbliższych latach, składa się z kilku sąsiadujących ze sobą rocznic, z tysiącolecia chrztu Polski i tysiącolecia aktów i wypadków wiążących się z pojawieniem się Polski jako samodzielnego tworu państwowego. Niektórzy używają wyrazu „millennium” nie w dosłownym sensie tysiącolecia, lecz dla oznaczenia zespołu tych rocznic lub w sensie całości projektowanych z tej okazji uroczystości, obchodów, akademii itd. Pojawiła się potrzeba terminu określającego całość obchodów kommemoracyjnych, i brzmiały nieco uroczyście wyraz „millennium” zdaje spełniać to zadanie. Nic więc nie wskazuje, aby wyraz ten miał wejść na stałe do mowy potocznej, współzawodnicząc z istniejącym już „tysiącoleciem”. Dla tych przyczyn wydaje mi się, że nie ma potrzeby spolszczania go. Na jednorazowy użytek możemy go zachować jako wyraz łaciński. W tym wypadku wszakże należałoby go pisać z łacińska tj. *millennium*.

Za pisownią *milenum* przemawia ogólna w naszym języku tendencja do nadawania wyrazom łacińskim pisowni fonetycznej. Piszemy np. *sugestia* — jakkolwiek nawet nie wszyscy wyraz ten tak wymawiamy — możemy więc też pisać *milenum*. Pisownię taką znajdujemy również w niektórych językach romańskich, w których wyrazy łacińskie nie są obce lecz swojskie. Po hiszpańsku np. pisze się *milenio* i *sugestión*. Przykład języków romańskich nie jest wszakże jednoznaczny, bo Włosi przy identycznej wymowie piszą *millennio*.

Najmniej umotywowana wydaje mi się pisownia *millenium*, którą widziałem w pismach polskich, a ostatnio także w pewnej publikacji niemieckiej. Byłaby to pisownia fantazyjna, ani łacińska ani polska, ani historyczna ani fonetyczna, nie odpowiadająca żadnej myśli porządkowej.

Dla wymienionych wyżej powodów uważałbym „millennium” za niespolszczony wyraz łaciński, spełniający chwilowo pewne doraźne zadanie,

i zachowałbym jego pisownię łacińską. Pisownia *milenum* wydaje mi się jednak równie poprawna i, jeżeli szanowni współpracownicy i czytelnicy „Kultury” za nią się wypowiedzą, będą razem z nimi pisać *milenum*.

Ustalenie się tej ostatniej pisowni byłoby wskazówką dotyczącą ortografii innego wyrazu, który według istniejącego obecnie obyczaju można pisać bez różnicy: *essay*, *eszej* i *esej*. Odpowiadający temu wyrazowi rodzaj literacki nie miał w Polsce większych tradycji i dopiero w ostatnich czasach zaczął zaprzętać uwagę krytyków i czytelników. Przyczynki i uwagi na ten temat mnożą się w czasopismach literackich, pisownia wyrazu pozostaje jednak nieustalona, bo nieraz w tym samym numerze znaleźć można *essay*, *eszej* i *esej*. Te trzy pisownie znajdują również w listach otrzymywanych na ten temat od przyjaciół. Aby nikt nie posądzał mnie o narzucanie mu moich poglądów na ortografię tego wyrazu — ambicje takie obce są prawdziwemu essayiście — w listach trzymam się pisowni każdorazowego korespondenta. W własnym więc interesie pragnąłbym, aby w tej mierze ustalili się jakiś jednolity *usage*.

Wyraz ten trudno byłoby zastąpić lub obejść przez peryfrazę oddające tentatywny charakter tego rodzaju szkiców i rozpraw. Tłumacząc *Les Essais* Montaigne’a Boy użył wyrazu „próby”. Wyraz ten odpowiada myśl starego autora francuskiego, posiada jednak zbyt wiele innych znaczeń, aby móc jeszcze dodatkowo służyć za nazwę rodzaju literackiego.

Jak łatwo się domysleć, pisownia *essay* wywodzi się z *Essayów* Bacona Werulamskiego, którego pierwszym pilnym czytelnikiem i naśladowcą był u nas Stanisław Herakliusz Lubomirski, autor barokowych *Rozmów Artaksesa i Ewandra*. Kierując się gustem osobistym, wybrałbym tę tradycyjną pisownię. Tak pisany wyraz „essay” przypominałby nam znakomite pierwowzory tej formy literackiej. Jeżeli jednak szanowni współpracownicy i czytelnicy „Kultury” wypowiedzą się za transkrypcją fonetyczną, będę wraz z nimi pisał *eszej*. Pisownia *eszej*, podobnie jak *millenium*, zdaje się być tworem pośrednim, nie mającym widocznego uzasadnienia.

Paweł HOSTOWIEC

NAGRODA SYNDYKATU DZIENNIKARZY POLSKICH W NIEMCZECH

Jury Nagrody Syndykatu Dziennikarzy Polskich w Niemczech — w składzie: T. Celt (przewodniczący), I. Klibański, M. Sambor, W. Trościanko, St. Zadrozny i T. Zawadzki (członkowie) nie przyznało nagrody za rok 1959 ze względu na to, że żaden z nadesłanych lub zgłoszonych artykułów nie odpowiadał ustalonym warunkom. W związku z tym Zarząd Syndykatu postanowił przedłużyć termin nagrody do 31.10.1960.

Warunki uzyskania nagrody są następujące:

I. Wysokość nagrody — \$ 50. Nagroda jest niepodzielna i może być przyznana tylko członkowi Związku Dziennikarzy R.P.

II. Nagroda będzie przyznana za oryginalny artykuł publicystyczny, którego tematem będą sprawy polskie w czasie drugiej wojny światowej.

Temat może być obrany dowolnie z dziedziny zagadnień krajowych lub działalności polskiej na obczyźnie.

III. Nagroda przyznana będzie za publikację, ogłoszoną drukiem w wolnej prasie polskiej na Zachodzie, w okresie od 1.10.58 do 31.10.60.

IV. Prace przedstawione do nagrody należy nadsyłać na adres Syndykatu Dziennikarzy Polskich w Niemczech do dnia 30.11.1960. Do pracy należy dołączyć dokładny adres autora wraz ze wskazaniem, jakiego Syndykatu Dziennikarzy Polskich jest członkiem.

Adres Syndykatu: Syndicate of Polish Journalists in Germany — c/o Mr. T. Celt München 19, Nibelungenstr. 53/1, Germany.

Książki

Nieporozumienie wokół semantyki

Tytuł nowej książki A. Schaffa — „Wstęp do semantyki” (1), nie odzwierciadla jej zawartości. Nie jest to bowiem wstęp do semantyki w sensie w jakim logik lub filozof posługują się tym terminem. W pierwszej kolejności należy przeto odpowiedzieć na pytanie, jakimi zagadnieniami książka ta się zajmuje.

W przedmowie do „Wstępu” autor uskarża się, że semantyka jest dyscypliną tak skomplikowaną a termin „semantyka” tak wieloznaczny, iż trzeba go poddać analizie semantycznej. Rugowanie rzeczywistych wieloznaczności, tzn. nieokreśloności wyrażen, jest rzeczą niezbędną jeżeli mamy uniknąć nieporozumień słownych i precyzyjnie formułować myśli. Lecz termin wieloznaczny nie zawsze jest terminem niejasnym. Znaczenie wyrażen zależy nie tylko od ich kształtu lecz również od kontekstu, w którym występują. Jeśli kontekst należycie informuje, do jakich desygnatów dany termin się odnosi, możemy posługiwać się nim sprawnie i trafnie. Termin „semantyka” nie naraża nas na niebezpieczeństwo werbalnych nieporozumień. Tak np. zwrot „analiza semantyczna” w sensie wyżej użytym przez autora „Wstępu” to synonim wyrażenia „analiza znaczeniowa”. Nie stajemy się semantykami dzięki temu, iż analizujemy znaczenie wyrażen języka. Autorzy „The Oxford Dictionary of Current English” uprawiali analizę znaczeniową lub jeśli ktoś woli analizę semantyczną wyrażen języka angielskiego. Nie uprawiali natomiast semantyki. Powszeczenie przyjęty jest obecnie podział nauki o języku na trzy działy — syntaktykę lub składnię, semantykę i pragmatykę.

(1) Adam Schaff, *Wstęp do semantyki*. Warszawa, PWN, 1960, 544 str.

Jeśli systematyczny rejestr różnych sposobów posługiwania się wyrazami języka angielskiego mamy zaliczyć do jakiejś dyscypliny, „The Oxford Dictionary” jest dziełem z zakresu pragmatyki opisowej.

Stosownie do wyżej wspomnianego trójpodziału, semantyka lingwistyczna uprawiana przez językoznawców jest w rzeczywistości pragmatyką, opisową lub historyczną. Na tzw. semantykę lingwistyczną składają się badania dotyczące znaczeń przysługujących wyrażeniom określonego języka etnicznego, genezy tych znaczeń, ich zmienności w czasie, przyczyn zmian znaczeniowych i prawidłowości, jakim te zmiany podlegają. Jeśli badania nad językiem odwołujące się do osób, które posługują się tym językiem, należą do pragmatyki — niezależnie od tego, czy czynią one również użytek z pojęć syntaktycznych i semantycznych — jasną jest rzeczą, iż nazwą właściwą dla tzw. lingwistycznej semantyki jest nazwa pragmatyki opisowej lub historycznej. Można wprawdzie wątpić, czy językoznawcy zaaprobowaliby tę terminologiczną propozycję, lecz przyszłość logicznej semantyki od tego nie zależy. Wymagania precyzji wysławiania będą spełnione, jeśli filozof będzie konsekwentnie trzymał się trójdzielnego podziału nauki o języku i nazywał składnią badania ograniczone do strukturalnych własności wyrazów i formalnych stosunków między wyrażeniami; semantyką — badania dotyczące relacji między wyrażeniami a przedmiotami przez wyrażenia te oznaczanymi lub do których wyrażenia te się odnoszą; pragmatyką — badania jakie niezależnie od innych pojęć uwzględniają relację między wyrażeniami a osobnikami posługującymi się tymi wyrażeniami.

Logik lub filozof nie ma trudności w odpowiedzi na pytanie, co to jest semantyka lub pedantyczniej — co to jest semantyka logiczna. W szczególności nie powinien jej mieć polski filozof. Albowiem semantyka logiczna powstała w Polsce. Jej początki łączą się z działalnością Stanisława Leśniewskiego, który w swych wykładach na Uniwersytecie Warszawskim zapoczątkowanych w 1919 roku poświęcał wiele uwagi problemom języka nauki, zwłaszcza języka nauk dedukcyjnych. Leśniewski zwrócił uwagę, iż pojęcia semantyczne wymagają odniesienia do określonego języka lecz że nie dają się zdefiniować formalnie poprawnie i materialnie trafnie w języku do którego się odnoszą. Język semantycznie zamknięty, tzn. język który zawiera prawa logiki oraz własną semantykę, jest językiem sprzecznym. W ten sposób Leśniewski ugruntował fundamentalne i płodne rozróżnienie między językiem o którym się mówi i w którym się mówi, inaczej — między językiem przedmiotowym i metajęzykiem, jeszcze inaczej — między językiem n -go i językiem $n + 1$ -go rzędu. Semantyka języka J należy zawsze do metajęzyka, który z reguły jest bogatszy niż język J . W szczególności metajęzyk, w którym budujemy semantykę języka J zawiera wyrażenia języka J , nazwy tych wyrazów i specyficzne pojęcia semantyczne.

Początkiem semantyki jako samodzielnej dyscypliny w ramach ogólnej teorii języka była słynna praca A. Tarskiego „Pojęcie prawdy w językach nauk dedukcyjnych”. Ukazała się ona po polsku w 1933 i w języku niemieckim w 1935 roku. Obecnie jest również dostępna w tłumaczeniu angielskim J.H. Woodgera. Od Tarskiego wywodzi się także termin „semantyka” w jego technicznym znaczeniu, jaki posiada w logice i w filozofii. Semantyką nazywa się badania dotyczące stosunków między wyrażeniami języka a przedmiotami, do których te wyrażenia się odnoszą, między językiem a pozajęzykową rzeczywistością, przez język ten odwzorowywaną. Gdy mowa jest o czystej lub teoretycznej semantyce, tą pozajęzykową rzeczywistością są abstrakcyjne wyrażenia językowe, języki sztuczne lub klasy takich języków. Użyteczność teoretycznej semantyki w badaniach nad strukturą języka nauk empirycznych jest sprawą dotąd mało zbadaną i budzącą wątpliwości. Do najważniejszych specyficznych pojęć semantycznych należy zaliczyć pojęcie oznaczania, tzn. związku istniejącego między znakiem lub wyrażeniem a przedmiotem przez nie oznaczanym, pojęcie spełniania funkcji zdaniowych przez przedmioty, pojęcie prawdy (przy arystotelesowym lub tzw. klasycznym rozumieniu prawdy), wreszcie pojęcie definicji.

Semantyka ugruntowana przez Tarskiego oraz początki pragmatyki wywodzące się z badań Ajdukiewicza nad językiem uchroniły filozofię w Polsce od pewnych błędów, które stały się udziałem tzw. filozofii lingwistycznej w obu jej głównych odmianach — filozofii lingwistycznej języków sztucznych i filozofii lingwistycznej języka codziennego (Schaff nazywa filozofię lingwistyczną filozofią semantyczną, co jest nazwą mylącą, wprowadzoną i używaną wyłącznie przez marksistów-leninistów w wyniku identyfikowania składni i semantyki). Filozofii lingwistycznej hołdował kiedyś logiczny pozytywizm, obecnie — w formie odmiennej — uprawia ją oksfordzka szkoła analityczna. Związki między ugruntowaniem logicznej semantyki a ogólnofilozoficzną problematyką są oczywiste. Zagadnienia filozoficzne są w części zagadnieniami języka. Zanim jesteśmy w stanie rozważyć określony problem, musi on być sformułowany w jakimś języku i badania nad językiem są przeto integralną częścią analizy rozważanego problemu. W związku z tym nie jest rzeczą obojętną jakie poglądy o języku wyznajemy i teoria języka nabiera filozoficznej doniosłości. Semantyka wykazuje, iż teoria języka, która uwzględniałaby jedynie kategorie wyrazów językowych i formalne związki między nimi, tzn. ograniczała się do składni języka (jak to uczynił Carnap w „Logische Syntax der Sprache”), lub też brała wyłącznie pod uwagę sposób posługiwania się wyrażeniami w różnych kontekstach, tzn. sprowadzała badania nad językiem do jego pragmatyki (jak to czyni obecnie oksfordzka szkoła analityczna), nie jest adekwatną teorią. Semantyka jest częścią ogólniej teorii języka dotyczącą semiotycznego wymiaru pomijanego

przez składnię, a często również przez pragmatykę, mianowicie wspomnianego związku między wyrażeniami języka a przedmiotami pozajęzykowej rzeczywistości. Tak pojęta semantyka jest obecnie najdoskonalszym instrumentem badania obiektywnego odniesienia języka, jego powiązania z odwzorowywaną rzeczywistością oraz ontologicznego zaangażowania wypływającego z języka jakim się posługujemy. Tak np. są filozofowie, którzy składają deklaracje: „nie istnieją klasy” lub „nie istnieją stosunki”. Lecz jednocześnie posługują się językiem, który dopuszcza uznanie jako też tego języka zdań w jakich mówi się o klasach lub stosunkach i implikujących istnienie klas i stosunków. Analiza semantyczna języka pozwala wykryć podobne niekonsekwencje.

We „Wstępie do semantyki” Schaff zajmuje się zagadnieniami logicznej semantyki tylko na marginesie. Przed kilkanaście laty Schaff odrzucał semantykę jako produkt burżuazyjnej filozofii i pseudo-naukę, ponieważ w jego mniemaniu semantyka odrywa język od rzeczywistości, której język jest odbiciem, lub wręcz „gubi rzeczywistość”. Obecnie Schaff nie kwestionuje ograniczonej użyteczności „semantyki w ściślejszym tego słowa znaczeniu” (jak określa semantykę logiczną). Tym sprawom poświęcony jest jeden ze wstępnych rozdziałów o treści historycznej, luźnie powiązany z główną częścią „Wstępu do semantyki”, która zajmuje się zupełnie innymi sprawami.

We „Wstępie” termin „semantyka” występuje w roli *pars pro toto*. Na semantykę „w szerokim tego słowa znaczeniu” składają się „wszystkie zainteresowania językowe logiki”. Posługiwanie się akredytowaną nazwą „semantyka” w odniesieniu do całości logicznej problematyki języka uzasadniać ma ta okoliczność, iż nie podobna zajmować się językiem nie zajmując się stosunkiem wyrażen języka do oznaczanych przez nie przedmiotów. Nie jest rzeczą jasną, czy tezę tę należy rozumieć jako postulat lub zalecenie, czy też jako stwierdzenie stanu rzeczy istniejącego w nauce o języku. W pierwszym wypadku mielibyśmy do czynienia z wypowiedzią normatywną, trudną do uzasadnienia i szkodliwą dla rozwoju nauki o języku, w drugim z tezą fałszywą. Albowiem nie wszystkie dziedziny badań nad językiem biorą pod uwagę określone stosunki między wyrażeniami języka a pozajęzykową rzeczywistością i czynić tego nie mogą jeśli mają wykonać wyznaczone im zadanie. Tak np. systematyczne badania syntaktyczne nad strukturą i kategoriami wyrażen, nad językami sformalizowanymi lub zastosowanie osiągnięć składni w analizie języków naturalnych, mają autonomiczną rację bytu. Kwestionowanie tej racji na tej zasadzie, iż składnia obywateli się bez pojęć semantycznych, byłoby równie nieuzasadnione i arbitralne jak kwestionowanie teorii liczb z tego powodu, iż teoria liczb nie zajmuje się wielkościami ciągłymi. Ajdukiewicz i Kotarbiński polemizowali kiedyś z tezą Schaffa, iż pod grozą popadnięcia w idealizm nie wolno w badaniach nad językiem abstrahować od spraw

pozajęzykowych (2). Poglądy Schaffa uległy w niejednym zasadniczej zmianie od czasu gdy prowadził „ofensywę ideologiczną” przeciw „idealistycznej” semantyce szkoły warszawskiej. Lecz teza, o której mowa, została jedynie złagodzona, chociaż i ona wymaga gruntownej rewizji.

Postulat uwzględnienia aspektu semantycznego niesłusznie zważa zakres problematyki nauki o języku. Z drugiej strony krytyczna ocena semantyki logicznej i jej metod ze względu na ich „ahistoryczne i społeczne” podejście do zjawisk językowych, z którą Schaff się solidaryzuje, nadmiernie zakres ten rozszerza i przekształca „semantykę w szerokim tego słowa znaczeniu” (naukę o języku) w *mixtum compositum* — zespół zagadnień nie powiązanych z sobą ani przedmiotem ani metodą. Albowiem zdaniem Schaffa problem porozumiewania się jako proces społeczny jest centralnym zagadnieniem teoretycznym „semantyki w szerokim tego słowa znaczeniu”. Lecz tak zdefiniowany problem porozumiewania się jest zagadnieniem socjologicznym i nie może być zaliczony w poczet „zainteresowań językowych” logiki. Jest rzeczą wielce wątpliwą, czy logika jest w jakimkolwiek stopniu zdolna przyczynić się do wyjaśnienia społecznych zjawisk komunikowania się. Należy pozostawić je socjologom uzbrojonym w metody i techniki badawcze dostosowane do badań zjawisk tego typu.

Trzeba wyjaśnić nieco szczegółowiej nieporozumienia, jakich autor „Wstępu do semantyki” stał się ofiarą. Ich źródłem jest chwiejne rozumienie wyrazów, którego efekty wzmacnia idiosynkrazja do metod formalnych. Filozof lub logik nie przeczy temu, iż proces porozumiewania się jest procesem społecznym. Lecz filozof lub logik zainteresowany problemem komunikacji między ludźmi nie jest nim zainteresowany jako procesem społecznym. Jego zainteresowania są selektywne i dotyczą zagadnień porozumiewania się w języku nauki. Problem jaki przed nim staje można sformułować następująco: Jakie konieczne warunki muszą być spełnione, by język nauki był sprawnym narzędziem intersubiektywnie sprawdzalnego opisu faktów i przekazywania informacji. W związku z tym zajmuje się teorią znaku lub tzw. semiotyką; logiczną składnią języka, która pozwala mu zdefiniować pojęcie wyrażenia sensownego, poprawnie zbudowanego, w danym języku i odróżnić je od ukrytych nonsensów; stosunkami semantycznymi, gdyż dzięki pojęciom semantycznym może mówić o wyrażeniach języka bez niebezpieczeństwa popadnięcia w antynomie; pojęciem znaczenia i zdania analitycznego oraz związków między nimi. Filozof i logik są z różnych przyczyn zainteresowani w eliminowaniu z języka pojęć niejasnych, niewyraźnych i chwiejnych. Jednym z tych względów jest również wzgląd na

(2) K. Ajdukiewicz, w sprawie artykułu A. Schaff o moich poglądach filozoficznych. *Myśl Filozoficzna* 1953, 2/8, 296-297; T. Kotarbiński, Wybór pism, T. 2. Warszawa, PWN, 1958, 188-189.

komunikatywną funkcję i obiektywne odniesienie języka. Filozof i logik, którzy zajmują się zagadnieniami porozumiewania się w ich aspekcie logicznym będą więc doceniali doniosłość teorii definicji, badań nad różnymi metodami definiowania oraz badań nad pragmatyką danego języka. Problem porozumiewania się jako zagadnienie filozofii języka i jako zagadnienie socjologiczne to dwa różne problemy.

Podobnie jak psychologizm w logice, tak i socjologizm w nauce o języku wypływa z błędu ekwiwokacji. Psychologizm w logice opierał się na następującym rozumowaniu: Logika zajmuje się prawami myślenia; ale prawa myślenia odnoszą się do pewnych zjawisk psychicznych; zatem logika zajmuje się pewnymi zjawiskami psychicznymi. Termin „prawa myślenia” w pierwszej przesłance użyty jest w innym znaczeniu niż w przesłance drugiej. Źródłem błędnej konkluzji jest posługiwanie się wyrażeniem o chwiejnym znaczeniu — „prawa myślenia” w wypadku psychologizmu w logice, „porozumiewanie się” w wypadku socjologizmu w nauce o języku.

Również inne względy zadecydowały o tym, iż Schaff upatruje w problematyce porozumiewania się centralne zagadnienie nauki o języku. Jak się zdaje, znaczną rolę odegrały po prostu osobiste zainteresowania autora „Wstępu do semantyki”. Subiektywne zainteresowanie jest jednak w jego mniemaniu uzasadnione względami obiektywnej natury. Dwa z nich zasługują na wyróżnienie. Po pierwsze, w grę wchodzi zasada holizmu, jedna z fundamentalnych zasad marksizmu-leninizmu. Stosownie do tej zasady „całość jest czymś więcej niż sumą swych części”, a składniki lub elementy całości posiadają własności wyznaczone przez swoje prawidłowości jakie rządzą całym układem. Nauka o języku, która nie obiera za swój punkt wyjścia „całościowego procesu społecznego porozumiewania się ludzi między sobą” otwiera drogę do „czczej spekulacji filozoficznej”. Zasadą holizmu nie będziemy się zajmować, ponieważ musiałoby to zaprowadzić nas zbyt daleko. Wystarczy powiedzieć, iż zasada holizmu niezależnie od tego, czy występuje w formie bardziej ogólnikowej, jak to ma miejsce w heglizmie lub w marksizmie-leninizmie, czy też w formie bardziej specyficznej, znanej z psychologii postaci, jest metodologicznie supozycją jałową. Odnosi sukcesy w sferze spekulacji i rozważań empirycznie nierozstrzygalnych w obecnym stanie wiedzy. Podobnie jak witalizm, holizm zawsze znajduje jakiś azyl, skąd toczy boje przeciw analitycznym metodom nauk empirycznych. Rozpoczyna się tam, gdzie kończy się nauka.

Drugim względem, który nakazuje obrać społeczny proces porozumiewania się jako podstawowe zagadnienie w badaniach problemów „semantyki” jest przekonanie autora „Wstępu”, iż ogólne założenia i metodologiczne dyrektywy filozofii „marksistowskiej” stanowią same w sobie doniosły wkład do teorii porozumiewania się. Albowiem filozofia „marks-

stowska” zawsze pojmowała komunikowanie się jako proces społeczny.

Jak już była o tym mowa, trudno byłoby znaleźć filozofa lub logika, który nie byłby świadom tego truizmu. W badaniach logicznych nad językiem truizm ten jest bezużyteczny. Dla uniknięcia nieporozumień między ludźmi posługujących się jakimś językiem nie potrzeba, by poszczególni ludzie posługując się wyrażeniami tego języka doświadczali tych samych przeżyć. Zapytanie, czy przeżycia te są te same lub podobne pod jakimś względem należy do psychologii, a nie do nauki o języku. Podobnie, fakt iż porozumiewanie się jest procesem społecznym, tzn. dokonującym się między ludźmi żyjącymi społecznie, a nie w odosobnieniu jak Robinson Crusoe, jest *implicite* zawarty w samym sformułowaniu problemu. Nie mówilibyśmy o porozumiewaniu się lecz o monologu lub soliloquiach gdyby było inaczej. Natomiast problem w jakiej mierze stosunki społeczne wpływają na obyczaj językowy lub ogólniej — na użytek systemu znaków, za którego pośrednictwem ludzie się porozumiewają, a również odwrotnie — użytek systemu znaków na stosunki społeczne, należy do spraw wykraczających poza zakres kompetencji nauki o języku. Nikt nie może się zajmować wszystkim jednocześnie. Co ważniejsze, jak pisał Schaff w innym lecz podobnym kontekście, „takiego problemu nie rozstrzyga się przez filozofowanie”. Należy on do zakresu innej specjalności. Jeżeli postulat oparcia badań nad językiem o problematykę „socjologiczną i gnoseologiczną języka”, zagubioną we współczesnej filozofii, jest jedynym tytułem marksizmu-leninizmu do wydobycia „semantyki” z wadliwych założeń charakteryzujących, zdaniem Schaffa, tradycyjny nurt „badań semantycznych”, wątpliwą jest rzeczą, czy proponowana przez niego akcja ratownicza osiągnie cel zamierzony. Kto nie umie pływać nie uratuje tonącego w wartkim i głębokim nurcie rzeki lub unoszonego na pełne morze falami oceanu.

Jeżeli piszący te słowa właściwie rozumie „Wstęp do semantyki”, Schaff pragnie przekonać wyznawców marksizmu-leninizmu, iż nie należy lekceważyć semantyki logicznej i w ogólności nauki o języku, gdyż mogą się one wykazać rzeczywistymi osiągnięciami. Z drugiej strony zdąży on do uzasadnienia poglądu, iż te osiągnięcia mają „ograniczony charakter” i utknęły na martwym punkcie, gdyż semantycy zajmują błędne „pozycje filozoficzne”, tzn. hołdują idealistycznej a nie materialistycznej metafizyce. Na poparcie tego klasycznego gambitu Schaff odwołuje się do sporów dzielących różne punkty widzenia i różne odpowiedzi na pytanie, jak dochodzi do skutku porozumiewanie się ludzi między sobą. Spór ten ma jednocześnie dostarczyć przykładu kryzysu, w jakim znalazła się współczesna „semantyka”.

Główny ciężar dowodowy świadczący o kryzysie w „semantyce” spoczywa na odkryciu, iż centralnego zagadnienia,

mianowicie wyjaśnienia procesu porozumiewania się ludzi między sobą, nie można rozwiązać metodami właściwymi dla problemów „częstkowych”. Trzeba sięgnąć do podstaw i do różnic dzielących zasadnicze orientacje światopoglądowe. Okazuje się wówczas, jak Schaff stwierdza, że we współczesnej „semantyce” walczą z sobą dwie koncepcje procesu porozumiewania się — transcendentalna i naturalistyczna. Żadna z tych koncepcji nie spełnia „kryteriów naukowości”. Porozumiewanie nie „tłumaczy się” bowiem ani transcendentalnie ani naturalistycznie, a społecznie.

Spór koncepcji transcendentalnej z naturalistyczną w analizie procesu porozumiewania się jest sporem mitycznym, którego śladów we współczesnej literaturze przedmiotu odnaleźć nie można. Autor „Wstępu” konstruuje go na podstawie dzieła W.M. Urbana „Language and Reality” i przedstawia John Dewey jako reprezentanta koncepcji naturalistycznej, Jaspersa i Urbana jako przedstawicieli koncepcji transcendentalnej. Zasadnicza różnica między dwoma stanowiskami polega na tym, iż transcendentaliści przyjmują świat idealnych znaczeń, a naturaliści bronią poglądu, że świat ten jest zbędną hipotezą, gdyż analiza ludzkich działań dostarcza wszystkich elementów niezbędnych do wyjaśnienia komunikatywnej funkcji języka.

Nikt dotąd nie traktował „Language and Reality” jako przyczynku do teorii języka. Książka ta doczekała się tego wyróżnienia dopiero we „Wstępie do semantyki” (oraz innych publikacjach Schaffa). Urban nie jest zainteresowany językiem i faktami językowymi jako takimi. Jego głównym zadaniem jest krytyka filozofii naturalistycznej i pozytywistycznej, a to dla obrony własnego stanowiska filozoficznego, zwanego absolutnym idealizmem. Urban wraz z Brand Blanshardem kontynuują tradycję zapoczątkowaną w Stanach Zjednoczonych przez Josiah Royce i są czołowymi współczesnymi przedstawicielami amerykańskiej gałęzi neo-heglizmu, reprezentowanego w przeszłości przez takich angielskich myślicieli jak J. E. McTaggart, F.H. Bradley i H.H. Joachim. Krytyka stanowiska Dewey z pozycji absolutnego idealizmu nie jest wymierzona w naturalistyczną koncepcję porozumiewania się jako pogląd konkurujący z koncepcją transcendentalną, lecz dotyczy naturalistycznej postawy w filozofii. Ani Urban ani Dewey nie zajmowali się logiczną strukturą faktów lingwistycznych i obaj — niezależnie od zasadniczych różnic jakie ich dzieli — należą do tradycyjnego nurtu w filozofii. Filozofia języka która powstała w ostatnich 50 latach, jest jednym z owoców krytycznej oceny metod właściwych filozofii tradycyjnej. Należy pamiętać, iż G.E. Moore i Bertrand Russell byli nie tylko krytykami absolutnego idealizmu Bradleya, lecz również tzw. instrumentalizmu Dewey. Rzekomy spór transcendentalizmu w nauce o języku jest arbitralną konstrukcją zbudowaną na piasku i niewystarczającej znajomości historycznego rozwoju filozofii w XX wieku.

Wróćmy jednak do tezy, iż porozumiewanie nie „tłumaczy się” ani transcendentalnie ani naturalistycznie, a społecznie. Stanowi ona fundamentalną przesłankę wszystkich rozważań składających się na główną część „Wstępu do semantyki”, obejmującej dwie trzecie objętości całej książki. Opierając się na wspomnianej przesłance Schaff rozwija na 350 stronach własne „konsekwentnie naukowe” rozwiązanie problemu porozumiewania się. Na rozwiązanie składają się następujące tezy: komunikowanie się jest działaniem społecznym związanym z procesem pracy; porozumiewamy się przy pomocy systemu znaków; znaki spełniają funkcję komunikatywną gdyż posiadają znaczenie; znaczenie nie przysługuje znakom na mocy konwencji, lecz jest „swoistym odbiciem” rzeczywistości, zmieniającym się stosownie do rozwoju samej rzeczywistości oraz poznania przez ludzi tej rzeczywistości.

Być może, że piszący te słowa nie zrozumiał nowych, głębokich i cennych myśli zawartych we „Wstępie do semantyki” lecz jeśli można je tam odnaleźć są one skrytnie ukryte przed okiem czytelnika. Powyżej wyliczone tezy „marksistowskiej” teorii porozumiewania się nie tworzą teorii, a nawet nie stanowią przygotowania do niej lub uprzątnięcia gruntu, na którym wzniesić można nową teoretyczną budowlę. Jeśli pominąć tezę ostatnią, która ogólnikowo formułuje ideę przewodnią „Tractatus Logico-Philosophicus” Wittgensteina i o której można powiedzieć słowami Schaffa: „to czysta mistyka, czysta spekulacja metafizyczna”, tezy pozostałe łącznie formułują punkt wyjścia od którego rozwiązywanie problemu się rozpoczyna. „Teoria” porozumiewania się, która w ostatecznym obrachunku jest listą faktów wymagających wyjaśnienia, jest pretensjonalnym nieporozumieniem. Jeśli autor „Wstępu do semantyki” chciał w ten sposób uzasadnić przekonanie, któremu daje wyraz w swej książce, iż przyjęcie jego własnej pozycji filozoficznej umożliwi „głębką analizę relacji języka do myślenia i rzeczywistości”, jego wysiłek całkowicie chybiał celu. Autor „Wstępu” sugeruje w pewnym punkcie swych rozważań, iż istnieją problemy o „wąskotechnicznym aspekcie” i autentyczne problemy filozoficzne oraz zapowiada że on sam jest zainteresowany w problemach autentycznych, o szerokiej teoretycznej doniosłości. Kontrast między tym programem a wykonaniem raz jeszcze uzasadnia pogląd, iż „szerokie horyzonty” nie zastąpią kompetentnej znajomości „wąskotechnicznych” zagadnień oraz iż nie należy szukać „autentycznych problemów filozoficznych” w kręgu ogólnikowych, niejasnych i nie zdefiniowanych problemów.

Rozwiązanie problemu porozumiewania się wymaga podania warunków koniecznych jakie muszą być spełnione, by różne osoby rozumiały jednakowo wyrażenia określonego języka. Pojęcie znaczenia i pojęcie znaku odgrywają podstawową rolę w analizie komunikatywnej i poznawczej funkcji języka. Obydwom tym pojęciom poświęca autor „Wstępu do semantyki”

ki" obszerne rozważania. Wprowadzają one w krąg skomplikowanych i trudnych zagadnień, o których można pisać w dwojaki sposób: bądź sprawozdawczo i krytycznie, bądź celem wyłożenia własnych pomysłów. „Wstępu do semantyki” nie można zaliczyć do żadnego z tych gatunków.

Informacje o współczesnych teoriach znaku, które Ch. W. Morris ochrzcił mianem semiotyki, są fragmentaryczne i dobrane przypadkowo. Kto chciałby zapoznać się z nimi gruntowniej musi sięgnąć do innych źródeł, np. do rozprawy J. Kotarbińskiej „Pojęcie znaku” (Studia Logica T. 6, 1957), gdzie znajdzie wyczerpujący, jasny i precyzyjny wykład i krytyczną analizę różnych koncepcji znaku. Nieco gorszący praktyką autora „Wstępu do semantyki” jest odrzucenie pewnych poglądów jako „wadliwych i niekonsekwentnych”, by je przyjąć samemu w zmodyfikowanej formie i w odmiennej terminologii (ten los spotkał husserlowski podział na oznaki i znaki). Podobne refleksje nasuwa część sprawozdawcza poświęcona niektórym teoriom znaczenia, które cierpią jeszcze dotkliwiej niż teorie znaku na skutek, niedostatecznej dbałości o wierne odwzorowanie referowanych poglądów. W szczególności teoria znaczenia, która mówi iż znaczenie wyrażenia W to przedmiot oznaczony przez wyrażenie W, jest kłębówiskiem myśli niejasnych. Można wątpić, czy sam autor rozumie co napisał.

Nie będziemy jednak zatrzymywać się nad wspomnianymi ułomnościami sprawozdawczych części „Wstępu do semantyki”, gdyż autor nie zamierzał dokonać wyczerpującego przeglądu różnych teorii semiotycznych i teorii znaczenia; wystarczy wspomnieć, że te partie sprawozdawcze są merytorycznie niezadowolające, niejednokrotnie niezrozumiałe dla czytelnika nieobznajmionego z nimi z oryginalnych źródeł i często mylące. Jak Schaff podkreśla, jego intencją jest zbudowanie własnej definicji znaczenia i znaku (str. 235, 320). W tej samodzielnej próbie przemyślenia dawniejsze mają służyć jedynie „jako swoiste bodźce myślowe”.

Ostatecznym wynikiem samodzielnej próby nie jest ani synteza, ani wykład teorii znaku i znaczenia z „marksistowskiego” punktu widzenia, lecz produkt syntetyczny. Selektywny i fragmentaryczny charakter części sprawozdawczej wyjaśnia się sam przez się. Tak np. Schaff omawia „denotacyjną” i różne pragmatyczne teorie znaczenia, gdyż uważa że chociaż każda z osobna jest niezadowolająca łącznie obejmują wszystko co potrzeba dla wyjaśnienia procesu porozumiewania się. Mechaniczny zlepek różnych teorii nie daje koherentnej całości. Nie wystarczy powiedzieć, iż pewną rację ma Morris i również platonizujący Russell, że jest ziarno prawdy w pragmatycznej definicji znaczenia „późniejszego Wittgensteina” i w reizmie Kotarbińskiego (pod warunkiem odrzucenia nominalizmu, jakby ta operacja eliminująca była w ogóle wykonalna). Jeżeli rugowanie hipotaz, zreifikowanych idealnych znaczeń, fikcji i niesprawdzalnych hipotez jest rzeczywiście zamierzeniem ca-

łego przedsięwzięcia, można się z tym zamierzeniem solidaryzować. Lecz wykonanie jest nie tylko ułomne i niekompletne, lecz nie daje się ono nawet rozważyć, gdyż nie wiadomo co autor „Wstępu” ma na myśli. Są to luźne i nieskonkretyzowane projekty, pseudo-rozwiązania i pseudo-definicje, sformułowane bez należytej dbałości o dokładność wypowiedzi, nagromadzenie myśli mglistych i zbitek pojęciowych zwycięsko opierających się próbom wydobycia z nich określonego sensu.

Powyższa ocena brzmieć może surowo. Okażemy przeto jej słuszość na konkretnym przykładzie, mianowicie na projekcie definicji znaczenia. Punktem wyjścia tej definicji jest stwierdzenie, iż gdy mowa jest o znaczeniu „w grę wchodzi pewien system stosunków społecznych”. W najbliższym sąsiedztwie mamy dwa inne sformułowania, które przypuszczalnie mają wyrażać tę samą, lecz wyrażają myśl tylko podobną: „znaczenie jest określonym stosunkiem społecznym”, względnie „znaczenie jest systemem takich stosunków” (str. 376-377). Autor „Wstępu do semantyki” zdaje sobie sprawę, iż to wyjaśnienie nie tłumaczy się samo przez się, a nawet gdyby było zrozumiałe wymaga postawienia pytania, jakim to systemem stosunków społecznych jest znaczenie. Odpowiedź jest następująca:

„Są to swoiste stosunki między wszystkimi elementami sytuacji znkowej: między porozumiewającymi się ludźmi, między ludźmi a rzeczywistością, między ludźmi a znakiem, między znakiem a rzeczywistością, między znakiem, a innymi znakami systemu. Są to stosunki różnego typu, leżące niejako w różnych płaszczyznach, przede wszystkim w płaszczyźnie psychologicznej i w płaszczyźnie ludzkich postaw i działań. Zawsze jednak decydujące w tych stosunkach jest porozumiewanie się ludzi. Tylko w tym kontekście rozumiała jest sytuacja znkowa, rozumiała jest znak i znaczenie. Wydzielenie z całości jakiegoś fragmentu tych stosunków (np. stosunku znaku do oznaczanej rzeczywistości, stosunków znaków między sobą, nawet stosunku producenta znaku do znaku itp.) może być potrzebne do celów badawczych i jest oczywiście dopuszczalne. Nie jest jednak dopuszczalne traktowanie tego fragmentu jako samoistnej całości, stwarza to bowiem, jak już mówiliśmy, niebezpieczeństwo różnego typu 'fetyszizmów'” (str. 377-378).

Po uważnym przeczytaniu tych uwag dwie sprawy wysuwają się na czoło. Schaff stara się nas przekonać, że znaczenie jest i jednocześnie nie jest stosunkiem społecznym, lecz raczej jest nim niż nie jest. Albowiem stosunek między znakiem a rzeczywistością lub między znakami nie jest ze względów oczywistych stosunkiem społecznym. Czytelnik może wyciągnąć tylko jeden wniosek: w definicji znaczenia autor „Wstępu” nagromadził myśli niespojne i wyprodukował niedoręczność. Po wtóre wydaje się, że sens powyższych wyjaśnień jest prostszy i sprowadza się do zalecenia, by definicja znaczenia uwzględniała łącznie syntaktyczny, semantyczny i pragmatyczny aspekt wyrażen językowych. Jest rzeczą jasną, iż takie zalecenie nie jest definicją znaczenia, gdyż nie jest definicją.

Jest to wyliczenie warunków, jakie w przekonaniu autora „Wstępu” definicja znaczenia winna spełniać, by była użyteczna. Zdanie: „znaczenie jest *sui generis* systemem stosunków społecznych” jest wyrażeniem o kształcie podobnym do definicji, lecz bądź nonsensem, bądź sformułowaniem sugestii.

Definicja innego podstawowego pojęcia teorii języka z „marksistowskiego” punktu widzenia, mianowicie definicja pojęcia znaku (str. 252), nasuwa podobne refleksje do tych jakie podyktowały rozważania autora „Wstępu do semantyki” o pojęciu znaczenia. Pojęcia jakimi posługujemy się w badaniach teoretycznych winny być dostosowane do zadań, jakim mają służyć. Dotychczasowe próby zdefiniowania pojęcia znaku doprowadziły do sformułowania pewnych warunków lub propozycji które definicja znaku winna spełniać, jeżeli pojęcie znaku ma być przydatne w badaniach nad językiem. J. Kotarbińska wymienia trzy takie warunki: treść pojęcia znaku należy tak dobrać by (a) jego zakres obejmował możliwie wszystkie przedmioty służące do celów komunikowania się, (b) z treści pojęcia znaku można było wywieść rolę znaku jako środka porozumiewania się i (c) odwzorowywania rzeczywistości (3). Wyliczenie warunków lub propozycji jest zabiegiem wstępnym poprzedzającym definicję, a nie definicją. Schaff przyswaja sobie wyżej wymienione warunki i podaje je jako definicję lub raczej pseudo-definicję znaku.

We „Wstępie do semantyki” napotykamy stwierdzenia, które bądź na skutek niedbałego sformułowania bądź z innych względów budzić mogą wątpliwości, czy autor zawsze dokładnie wiedział o czym pisze. Tak np. co mamy sądzić o zdumiewającym wyznaniu, iż rachunek zdań był „nikomu niepotrzebny i czysto spekulatywny” do czasu gdy znalazło się dla niego zastosowanie w teorii sieci elektrycznych? (str. 80). Podobne refleksje nasuwa teza, iż języki sztuczne są „niemożliwe i niezrozumiałe” w oderwaniu od języków naturalnych lub gdy nie są na język naturalny przetłumaczalne (str. 122, 233). Znajomość języka logiki i matematyki uchroniłaby autora „Wstępu do semantyki” od pochopnego angażowania się w tę tezę, z której wyciąga on daleko idące wnioski i ukuwa zarzut „błędów logicznych” w stosunku do takich filozofów jak „Wittgenstein, Carnap i in.”.

Zarzut, iż Wittgenstein nie uwzględnił problemu stosunku języka do „myślenia i rzeczywistości” jest całkowicie bezpodstawny, a połączenie nazwiska Carnapa i Wittgensteina w tym właśnie kontekście jest nieporozumieniem graniczącym z nieznaną rzeczą. We „Wstępie do semantyki” jest sporo opinii tego typu. Trudno je pogodzić z rzetelną znajomością dzieł cytowanych lub skrupulatnym referowaniem i obiektywnym streszczeniem cudzych poglądów. Do wspomnianej kategorii rażąco mylących informacji i ocen zaliczyć trzeba np.

(3) J. Kotarbińska, Pojęcie znaku. *Studia Logica* T. 6, 1957, 101.

opinię, iż „Tractatus Logico-Philosophicus” Wittgensteina jest „bliźniaczym bratem intuicjonizmu bergsonowskiego i jego metafizycznych koncepcji” (str. 103) lub iż radykalny konwencjonalizm czyni z podmiotu „w pewnym sensie twórcę rzeczywistości” (str. 125). Wittgenstein wykazał w „Traktacie” — jak uczynił to przed nim Russell w „The Philosophy of Logical Atomism” (*second lecture*) — iż logiczny atomizm prowadzi do solipsyzmu. Błędne jest natomiast twierdzenie, że Wittgenstein nadał intencjonalnie ideom logicznego atomizmu postać solipsyzmu epistemologicznego, jak słowa Schaffa zdają się sugerować (str. 102, 106). Bertrand Russell zaprzecza temu, by istniała wiedza niekomunikowalna w słowach. Autor „Wstępu” wyciąga z tego wniosek, iż Russell wyklucza możliwość „myślenia alingwistycznego” (str. 456). Tak jednak nie jest, Russell uważa za błędną tezę, iż zawsze myślimy w jakimś języku (4). Nie jest również prawdą, iż koncepcja metajęzyka i hierarchii języków „wypływa” z teorii typów i że Russell mówi o tym *expressis verbis* w „An Inquiry into Meaning and Truth” (str. 68). Gdyby nawet Russell tak się wyraził, nie miałby racji ani on ani Schaff powtarzając tę opinię Russella. Jeżeli rozróżnimy kategorie semantyczne — chodzi w rzeczywistości o kategorie syntaktyczne — i stopnie języka, jak to uczynił Leśniewski, teoria typów staje się zbędna. Albowiem ograniczenie wartości zmiennych, jakie możemy postawić za zmienne w funkcjach propozycjonalnych (teoria typów) wynika z wyżej wspomnianego rozróżnienia. Teoria typów spełniała określony cel, mianowicie usuwała antynomie logiczne, lecz wzięta w odosobnieniu była teorią niezadowalającą, gdyż nie była w stanie uzasadnić ograniczeń jakie nakładała na dyrektywę podstawiania. Definicja nominalizmu, jaką znajdujemy we „Wstępie do semantyki”, jest może historycznie poprawna, lecz żaden współczesny nominalista nie podpisałby się pod poglądami przypisanymi mu przez autora „Wstępu” (str. 402, 461). Podobne uwagi nasuwa charakterystyka konwencjonalizmu. Wysoce mylącą rzeczą jest przypisywanie konwencjonalistom twierdzenia, iż „poznanie naukowe opiera się na umowie, że tworząc naukę stworzymy faktycznie konwencje dobierane z punktu widzenia ich dogodności” (str. 123). Tych kilka przykładów dostarcza reprezentatywnej próbki niedokładności i mylących informacji zawartych we „Wstępie”, których pełna lista jest zbyt długa, by można było ją w komplecie wyliczyć.

Do książki pisanej przez wyznawcę określonej postawy filozoficznej podejść można z dwóch punktów widzenia. Można się mianowicie zapytać, czy wnosi ona coś nowego do naszej wiedzy o przedmiocie, względnie czy jest ona wkładem do dorobku szkoły myślenia reprezentowanej przez autora. W wypadku dzieła, którego autorem jest wyznawca marksizmu-

(4) Zob. np. B. Russell. *History of Western Philosophy*. London, Allen and Unwin, 1946, 849.

leninizmu, oceny dokonane z tych dwóch punktów widzenia mogą być całkowicie rozbieżne. Filozofia marksizmu-leninizmu jest doktryną dziewiętnastowieczną, nieufną i pogardliwą w stosunku do nowszych technik badawczych, postępu metodologicznego i dorobku myśli krytycznej. Publikacja, która nie wnosi niczego nowego do filozofii, może być znakomitym osiągnięciem w skromniejszych ramach, mianowicie w programie unowocześnienia marksizmu-leninizmu.

Z tego punktu widzenia książka Schaffa jest ważnym wydarzeniem i zasługującym na podkreślenie osiągnięciem. „Wstęp do semantyki” jest książką, która poddaje rewizji konserwatywny metodologiczny marksizmu-leninizmu. Pisana jest z determinacją oczyszczenia marksizmu-leninizmu z poglądów przestarzałych i nadających mu w naszych czasach charakter filozoficznego *curiosum*.

We „Wstępie do semantyki” Schaff bierze ostatecznie rozbrat z poglądem, do którego panowania w Polsce przez kilka lat walczył się przyczynił, mianowicie iż marksista-leninista jest *ex definitione* jedynym człowiekiem zdolnym poznać prawdę. W myśl tego założenia, poglądy niezgodne z marksizmem-leninizmem były stekiem nonsensów wymyślonych przez ludzi służących świadomości lub nieświadomości sprawie obrony kapitalizmu zagrożonego zwycięskim pochodem rewolucji proletariackiej. Ten punkt widzenia miał gorsze następstwa dla marksizmu-leninizmu niż innych szkół myślenia w filozofii. Marksści-leniniści w Polsce zrozumieli przed kilku laty konieczność i pożytek płynący z wyrzeczenia się „monopolu jednej szkoły” i Schaff raz jeszcze stwierdza to w słowach jasnych i stanowczych. „Nie jest tak, by jedne kierunki miały monopol na prawdę, a inne na fałsz”; zwolenników poglądów filozoficznych, z którymi się nie zgadzamy, nie wolno ignorować i pomawiać o głoszenie absurdów; istnieją różne drogi rozwiązywania problemów filozoficznych i która z nich jest najlepszą można rozstrzygnąć wyłącznie w swobodnej wymianie opinii i argumentów.

Ta deklaracja jest godna podkreślenia w obecnej chwili, lecz wyraża ona jedynie solidarność z rewizją dokonaną w przeszłości. Rewizjonizm „Wstępu do semantyki” dotyczy innej sprawy. We wczesnych latach pięćdziesiątych Schaff wyznawał pogląd, iż semantyka logiczna której nie odróżniał wówczas od składni języka, jest semantyką idealistyczną a logiczne badania nad językiem są wyrafinowaną formą subiektywnego idealizmu. Materializm dialektyczny, pisał wówczas autor „Wstępu do semantyki”, wykazuje ścisłą więź języka-myślenia z obiektywną rzeczywistością. Natomiast „sens idealistycznej semantyki, mimo pozorów rozprawiania o desygnatach słów, leży właśnie w 'zagubieniu' obiektywnej rzeczywistości, w jej eliminowaniu na rzecz 'czystej' analizy językowej... Nie trudno dostrzec, że skoro się 'zgubiło' po drodze obiektywną rzeczywistość zostaje otwarta droga do ahistorycznego metafizycz-

nego ujęcia zarówno myślenia, jak i języka”. Powołując się na autorytet Stalina, Schaff uznawał wówczas jedynie semantykę lingwistyczną, tzn. semantykę pojętą jako jedną z dyscyplin językoznawstwa (5).

Obecnie Schaff wycofał się z tego stanowiska. Jak podkreśla na pierwszych stronach „Wstępu do semantyki”, zrozumienie faktu iż język winien być przedmiotem badań a teoria języka stać się integralną częścią filozofii jest „odkryciem genialnym w swej prostocie”. Słusznie przypisuje neopozytywizmowi, oskarżanemu w przeszłości o doprowadzenie maskarady naukowości do perfekcji, wielkiej zasługi w ugruntowaniu filozofii języka. Wreszcie sam podejmuje badania w tej dziedzinie. Chociaż wartość „Wstępu do semantyki” jako wkładu do naszej wiedzy o języku jest wątpliwa, jest to pierwsza próba tego rodzaju podjęta przez wyznawcę marksizmu-leninizmu. Tę nowatorską rolę „Wstępu do semantyki” trzeba w pełni uznać. W dziejach marksizmu-leninizmu książka ta może okazać się publikacją doniosłą, jeżeli jest zapowiedzią odrzucenia metodologicznego konserwatyzmu i utoruje drogę unowocześnieniu innych przestarzałych założeń doktrynalnych.

Zbigniew JORDAN

Z pozycji jaśniepana

Jeden z moich znajomych — emigracyjny literat — powiedział do mnie zgorznięty, gdy zauważył, że czytam książkę Zbigniewa Florczaka *Autoportret z rubinem*: (1) „Florczak? Toż to propagandysta, przysłany w swoim czasie dla rozkładania emigracji”. Sprostowałem z miejsca: żaden „przysłany” propagandysta. Żołnierz AK, uczestnik Powstania Warszawskiego, potem jeniec w niemieckim stalagu, po wyzwoleniu student w Brukseli. Owszem, w prasie emigracyjnej dyskutował i polemizował, przedstawiając swój punkt widzenia, odbiegający od „oficjalnej” ortodoksji (spory rozgłos miała jego dyskusja z Wańkowiczem w kwestii „Klubu Trzeciego Miejsca”). Ze robił to we własnym imieniu i z głębokim przekonaniem, jestem tego pewien. Miał do tego prawo. Tak

(5) A. Schaff, Poglądy filozoficzne Kazimierza Ajdukiewicza. *Myśl Filozoficzna* 1952, 1/3, 215, 224-225.

(1) Wyd. MON, Warszawa, 1960, str. 322.

jak miał prawo w r. 1949 wrócić do Polski. Że kilka lat potem w ramach kampanii repatriacyjnej prowadzonej przez rozgłoszenie „Kraj” brał udział w tzw. dialogu z emigracją, to już inna sprawa.

Istotne jest, że dawny powstaniec opublikował książkę o powstaniu z tej prostej przyczyny, że odczuł potrzebę ustosunkowania się do owego dziwnego zjawiska. Jeśli książka jest inspirowana, to w sposób negatywny, a źródło inspiracji znajduje się na emigracji właśnie. Florczak pisze w przedśłowiu:

„Napisałem ją głównie dlatego, że bardzo mi się nie podobały pewne rzeczy. Ot, na przykład bardzo nie podobał mi się taki pogląd ogłoszony przez żyjącego dziś w Londynie publicystę i pisarza, Zygmunta Nowakowskiego: „Powstanie Warszawskie w naszej historii to jakby wielki rubin, rubin prawdziwy, o blasku przedziwnym i niezwykłym szlifie”. Veto. Nie zgadzam się z taką jubilejską oceną zdarzeń, w których sam brałem udział”.

W kraju książka została ponoć rozchwyтана, głównie zapewne przez młodzież, a więc przez czytelników „mitotwórczych” *Kamieni na szaniec*, *Zosiek i Parasoli*. Pokazanie drugiej strony powstańczego medalu było rzeczą bardzo pożądaną, ale Florczakowi próba się nie udała, choć nie dlatego, by miał mylne poglądy na generalia powstania. Ogólne wnioski są słuszne, nie wnosząc zresztą nic nowego. Chodzi więc o coś innego. Odbrażając tragedię tych rozmiarów, i pod wieloma względami tak ważne wydarzenie w najnowszych dziejach Polski jak Powstanie Warszawskie, nie wolno być małoduszynym, nie wolno być egotystą absolutnym. Trzeba dokonać operacji bolesnej, jaką jest *alienacja* wobec tych spraw, choćby autor był głęboko nimi dotknięty. Tę alienację, wyłączenie siebie i osobistych pretensji, widzę zarówno w dziełach Borkiewicza i Kirchmayera, jak w najbardziej bezpośrednich relacjach pamiętnikarskich (np. pamiętniki żołnierzy baonu „Zośka”, czy pamiętnik Dejwira). Tego rodzaju relacje i opracowania wywołują największe wrażenie i spełniają rolę „odbrązowiającą” najlepiej. Niestety Florczak stworzył książkę apodyktyczną, egotystyczną, małosłowną, a przy tym niezbyt ciekawą i miejscami wręcz nie przekonującą. Oczywiście autor nie czyni tajemnicy z tego, że książkę swą zamierza nadać oblicze osobistego rozrachunku. Ale aby temat „ja i powstanie” — ważny dla autora — był również interesujący dla czytelników, musi on mieć coś istotnego do przekazania.

Autoportret z rubinem nie jest pamiętnikiem pisany wprost. Ma to być kunsztowna, wielopiętrowa rekonstrukcja *ex post*. Autor, mieszkający w dzisiejszej Warszawie, przystąpił do odtwarzania swoich przeżyć powstańczych w formie rozmów z przyjacielem, prowadzonych w obozie jeńców. A więc mamy rozważania Florczaka z r. 1959 kierowane wprost do czytelnika; mamy dialog Florczaka z r. 1959 z przyjacielem Jerzym, prowadzony na wstępie i w zakończeniu książki; mamy obrazki

ze stalagu w Sandbostel, w których Florczak i Jerzy z r. 1945 rozmawiają z sobą i innymi kolegami o Florczaku i Jerzym z r. 1944, a czasami o Florczaku przedwojennym. Opisy wydarzeń mieszają się z refleksjami, fragmentami pamiętnika, charakterystykami osób, kompilacjami z historyków powstania, cytatai z klasyków literatury. Miała to być wysoce oryginalna kompozycja, novum w zakresie formy. Nie pamiętnik, nie powieść, nie dziennik, ale wszystko po trochu. Forma, o jakiej zamarzył Florczak wymaga nielada talentu, wymaga fascynującej narracji, inwencji. Zamiast tego mamy rozmaite odmiany Florczaka, nieodmiennie zapatrzonego w siebie, skłonnego do nonszalancji, a nawet mistyfikatorstwa. Autor zamierza udowodnić, że rubin powstania był fałszywy. Czytelnicy muszą niestety dojść do podobnego wniosku o autoportrecie Huberta (bo tak brzmiał wojskowy pseudonim Florczaka).

Hubert był szlachetnym młodzieńcem, „samotnym intelektualistą”, zatopionym w książkach, czytającym Carlyle’a, Brzozowskiego, Berenta, Chestertona, Carrela. Jak skromnie stwierdza, „czynów zbrojnych nie dokonałem aż do powstania żadnych”. Z poczucia obowiązku, ale i ze wstrętem wobec tak niemądrych zajęć wstąpił do konspiracji i w dzień wybuchu powstania znalazł się z oddziałami Baszty na Mokotowie, potem w niewoli. Myślący, kulturalny, obowiązkowy, odważny człowiek miał zaiste wyjątkowego pecha. Wszędzie otoczony był (jeśli wyłączyć jedyne przyjaciela Jerzego) samymi bydlakami, szabrownikami, tchórzami, głupcami, w najlepszym razie — niedorajdami. Nielatwa była droga życiowa kaprała Huberta przez rafy, sidła, potrzaski, w jakie obfitował świat w owe tragiczne dni. Ale Hubert przeniósł swą cnotę w stanie nieskażonym przez wszystkie zasadzki, jakie mu zgutowała głupota ludzka i losu złośliwość. W jednym z rozdziałów *Autoportretu* czytamy:

„...zastępcą dowódcy (drużyny, przyp. mój, B.T.) mianowano mnie. Zresztą nie najgorzej na tym wyszedłem. Nie mam na myśli korzyści materialnych, wręcz odwrotnie, tych byłem pozbawiony przez pełne pięćdziesiąt kilka dni istnienia grupy mokotowskiej. Dzięki obowiązkowi dowódczym przeżyłem jednak powstanie w sposób całkowicie uczciwy. Gdyby przypadkiem nie włożono na mnie tej odpowiedzialności, może znalazłbym sposób zaszycia się gdzieś w rozmaite kulisy życia powstańczego i nie miałbym dziś prawa mówić o powstaniu tego, co myślę” (str. 127).

A więc tylko przypadek uratował cnotę Huberta? Nie, autor jedynie kryguje się w fałszywej skromności; z takim wstrętem nakreślił sylwetki niektórych swych podkomendnych — szabrowników, że ani przez chwilę nie wierzymy, iż mógłby się stoczyć do ich poziomu, gdyby nie dowodzenie. W każdym razie dzięki Ci Boże, że Hubert dowodził, a nie był jako ci podli strzelcy — kanalią. Dzięki Ci także i za to, że nie był jako ci inni dowódcy — tchórze, zupaki, gbury — których też

nam opisał z należytych wstrętem. Innymi słowy, dzięki za to, że był sobą — jedynym, niepowtarzalnym, znakomitą Hubertem. Zaiście jest to ironią losu, że Hubert, aby odbrzązić powstanie, musiał sobie samemu zbudować pomnik z brązu...

Autor tak określił wymagania czytelników w stosunku do człowieka piszącego:

„żeby mówił w sposób dostatecznie ciekawy to, co ma do powiedzenia. Żeby to, co mówi było prawdą, albo... żeby w stopniu optymalnym wyglądało na prawdę. Nawet to drugie ma więcej nabywców”.

Gdyby książka jego była powieścią, trzeba by się pogodzić z tworem wybujałej wyobraźni. Ale relacja faktyczna, traktująca o autentycznych wydarzeniach i ludziach, którzy w większości żyją, nie może być pozostawiona bez odpowiedzi w wypadku rażących nieścisłości i w ogóle — dość niefrasobliwego podejścia do wypadków. Huberta nie obchodzą fakty i ludzie. Liczą się jedynie własne wrażenia i reakcje. Ale kimże jest on, by nam ustawicznie prezentować swoje „gombrowiczowskie pozy”? Czy jest wybitnym twórcą, wybitną indywidualnością? Dlaczego na każdym kroku musimy dowiadywać się, że np. „serników w żadnej postaci nie lubię”, albo wyczytywać retoryczne wątpliwości: „Cygan — nie wiem, czy już o nim wspomniałem”? (Co nas to obchodzi? Niech autor przejrzy maszynopis i zbada, jeśli mu na tym zależy). To, co prawda jest irytujące, ale nieszkodliwe. Gorzej, gdy jego egocentryzm mierzy w innych.

Hubert myli się, uważając swoje reakcje za tak ekskluzywne i oryginalne. Dla niego powstanie miało charakter „groteskowy”. A dla innych... „Założę się, że przytłaczająca większość uczestników powstania zachowała w pamięci wrażenie czegoś podniosłego i poważnego” — mówi Hubert, uważając iż szara masa jego rówieśników oczywiście *musiała* być w nas troju pompatycznym i podniosłym. Skłonność do uogólnień często prowadzi Huberta do twierdzeń fałszywych, w których znowu sam wygląda kryształowo na tle tłumu barbarzyńców. Np. gdy ze zgorszeniem patrzy na niepotrzebne robienie drzwi przez powstańców i twierdzi, że tego rodzaju wandalizm „dziecinnych umysłów w stanie szaleństwa” był nagminny. (Dziwne, że jakoś nie zauważyłem tego w swoim oddziale. Przeciwnie — obchodziliśmy się ostrożnie z rzeczami w zajmowanych przez nas kwaterach — opustoszałych mieszkaniach).

Biada temu, kogo Hubert nie lubi. A jest tych ludzi spory zastęp, w tym wszyscy prawie dowódcy — od dowódcy („nominalnego”) drużyny, Aleksa (oczywiście łajza i tchórz), po dowódcę kompanii — Jacka, tytułowanego na zmianę kapitanem i porucznikiem. Pocziwy por. Szymczyk (którego był to pseudonim), z zawodu nauczyciel, bodajże łaciny, człowiek skromny, dość bezpośredni w obejściu, został przez Huberta pomówiony

o „kapralstwo”, imperynencję i takie chwytły jak obiecywanie żołnierzom butelki wódki za zdobycie bunkra, a w niewoli — wyłudzenie od podkomendnych chleba pod pozorem zamierzonej ucieczki. W czasie powstania ironiczny i wyższy ponad otoczenie Hubert był jednak nastawiony inaczej. Skomponował wówczas hymn kompanii B1 (skromnie nazywa go teraz „grafmańskim tekstem”), w którym pisał:

„Słyszycie jak dzwoni dziś nasz zew?
My mokółowską wiarą Jacka —
Choć wolność blisko, śmierć o włos,
W granatów trzewiach i kół sercu
Hoduję swój tegi los.
Nam jasne słonko spadkobiercą
Rozlaną w piachu wysię krew.
Nam prosta droga, chłodna sroga,
Lecz wspaniale brzmi nasz śpiew.

Kompania pierwsza,
Mitu warta i wiersza,
Moc w sercu i wrzawa,
Nocy wiele i dni szalonych —
W głowach młodzieńców
Ostatniego rytm ataku
I wolna Warszawa
I dań spleciona krwi”.

Dalsze zwrotki mówiły o „pazurach orłów, skrzydłach mew”, które „nosimy w herbie, bośmy pierwsi polską przelali krew”. Hubert tłumaczy się, że kompozycja ta powstała jeszcze przed epizodem z butelką wódki i bunkrem. Trudno jednak uwierzyć, że autor tej wznieślię pieśni był „ponad” ówczesne nastroje swych rówieśników. Raczej przypuszczam, że Jacek czymś się Hubertowi naraził. Natomiast zwierzchnicy traktujący go jak równego zasługiwali sobie na dość pobłażliwą sympatię i przydomki „pocziwych”, choćby byli nader... antypatyczni. Tak przedstawia się casus Czernego. Hubert pisze, że w „oddziale Czernego” odbywały się pijatyki z udziałem jakiejś „pani Siusi”, objawiającej na stole swoje wdzięki zgromadzonemu żołnierzom. Czerny był tytularnym dowódcą mojego plutonu (dopóki go zresztą nie przeniesiono karnie gdzie indziej, a dowódcą mianowano jego zastępcę — pchor. Piotrusia, faktycznie dowodzącego od początku, dla którego nawet Hubert znajduje wymuszone słowa szacunku). Przedwojenny oficer Czerny usiłował bez powodzenia zaprowadzić u nas zupacki styl, urządził rozmaite musztry, stójki, gimnastyki, natomiast w akcji był niezdolny do dowodzenia. Cały pluton pogardzał Czernym i nie było mowy o braniu z nim udziału w pijatykach, których zresztą w plutonie w ogóle nie było. Natomiast dochodziły do nas wieści o tym, co Czerny wyrabia prywatnie, z dala od oczu swych podkomendnych. Cnotliwy kpr. Hubert z sąsiedniego plutonu wziął, acz z niesmakiem, udział w pry-

watnej orgii ppor. Czerne. To jego sprawa. Ale dodam, że jeśli niektórzy powstańcy wiedzieli jak się urządzić w powstaniu, to do nich należał chyba Hubert.

To samo zresztą odnosi się do okresu niewoli. Przyznaje, że Hubert był bardzo czynny w sandbostelskim stalagu na „niwie społecznej”, ale tylko... przez pierwszy miesiąc. Odegrał wybitną rolę w zorganizowaniu rozmaitego rodzaju imprez oświatowo-rozrywkowych. Sam dał serię znakomych wykładów o malarstwie europejskim i polskim, o czym zresztą wspomina w swej książce zbyt nawiasowo i pobieżnie, było to bowiem wspaniałe osiągnięcie. Ale po miesiącu zniknął z horyzontu. Przeniósł się z paroma podobnymi sobie „spryciarzami” w charakterze bliżej nieokreślonego „delegata” z prymitywnych, wygłodniałych i zawszonych baraków, gdzie byli odizolowani Akowcy, do stosunkowo wygodnej międzynarodowej części obozu i zamieszkał w baraku wrześnieowców. Założył tam studio i malował tłustych niemieckich feldfebli wzamian za prowiant z jenieckiego magazynu. (Sprawiedliwość wymaga, aby dodać, że gdy na wiosnę pozostałych w obozie Akowców przeniesiono również do międzynarodowego „miasteczka”, Hubert wznowił swoje wykłady, co prawda na krótko, bo niebawem nastąpiła ewakuacja i wyzwolenie). Cóż, miał prawo dbać o swoje interesy przede wszystkim. Ale nie powinien przybierać szlachetnych póz, czy też ferować sądów o życiu jenieckiej społeczności. Pamiętam doskonale sylwetkę Huberta — z powstania (przez jego placówkę wyruszały nieraz na nocne patrole) i z obozu, gdzie byłem pilnym słuchaczem jego wykładów. Uważałem w obozie, że jest to kot chadający własnymi drogami. Książka to w pełni potwierdziła. Hubert egotysta zauważał tylko, że wszyscy deptali mu po nagniotkach. Toteż niewiele potrafił powiedzieć o życiu obozowej społeczności, nie zna również uczuć tej „szarej masy”, którą pogardzał i nic ciekawego nie ma o niej do powiedzenia. W powstaniu był dowódcą malej, intymnie z sobą — w warunkach powstańczej walki — zżytej jednostki, a nie pamięta nawet pseudonimów czy nazwisk wielu swych żołnierzy. Zresztą podaje mylnie nawet fakty dotyczące swych nielicznych dobrych kolegów (Robert według niego został w Sandbostel, gdy w kwietniu nastąpiła ewakuacja do Westertimke; w rzeczywistości wywieziono go z Sandbostel na tzw. komenderówkę jeszcze w lutym).

Nonszalancja, z jaką pisany jest *Autoportret z rubinem* leży u źródła wielu błędów rzeczowych rozmaitego autoramentu, w jakie książka ta obfituje. (Z humorystycznych „przejęczyceń”: disneyowski Donald Duck jest u Florczaka jakimś Mac Donaldem). Wyżywienie w obozie jenieckim w Sandbostel składało się według niego z pajdy chleba, kawy, zupy i marmolady. W rzeczywistości przydzielano ponadto kawałek margaryny i kilka kartofli. (Niby drobiazg, a jednak stanowiło to sporą różnicę w jenieckim menu). Autor podstawowego dzieła o powstaniu płk. Adam Borkiewicz kilkakrotnie nazywany jest Bor-

kowiczem, czego także i korektorom tak łatwo wybaczyć nie można. Z niewątpliwą przesadą pisze Florczak, że powstańcy mokotowscy umierali... dla pomidorów, które trzeba było zdobywać na przedpolu, ponieważ nie było „chleba ani mięsa, ani gotowanych kartofli”. A jednak ta sama kuchnia kompanijna przydzielała jego plutonowi i mojemu całkiem niezłe zupy, spore racje chleba i sztucznego miodu (zafasowanego w magazynie Społem), który nam zresztą po pewnym czasie bokiem wychodził. Dopiero w ostatnich dwóch tygodniach zaznaczyły się poważne braki żywnościowe. Natomiast absolutnie nie przypominam sobie owych rzek alkoholu, które zalewały wszystkich obok Huberta powstańców, choć on sam wynurzał się z odmetów jak sucha, niepokonana skała. Często nieścisłe są dane dotyczące innych osób. Relacja dotycząca ciężkiego zranienia dowódcy mojego plutonu (Jerzy Kłoczowski; miał pseudonim Piotruś, a nie — jak chce Hubert — Piotr) jest podana błędnie. Piotruś został ranny w czasie natarcia na Królikarnię, a nie w czasie odwrotu na Belgijskiej.

Daleko bardziej jednak rażą wady wywodzące się ze specyficznej kompozycji książki. A więc wtórność ogólnych spostrzeżeń, zakłócanie toku opowiadania reminiscencjami literackimi, czy pseudo-filozoficznymi rozważaniami. Streszcza więc Borkiewicza tam gdzie mowa o przygotowaniach do powstania, co najwyżej stawiając parę kropek nad *i*. Podobnie wtórnych i kompilacyjnych wzmianek na temat rozmaitych faz powstania jest w książce sporo. Nawet opis ostatnich dni Mokotowa, zamiast ograniczyć do własnych spostrzeżeń, niepotrzebnie opiera na wysoce subiektywnych pamiętnikach niefortunnego dowódcy Mokotowa ppłk. Karola (Rokickiego). Nie udało się również „ankieta”, jaką Hubert przeprowadził w obozie wśród przygodnych towarzyszy na temat jak spędzili oni pierwszą noc powstania. W ogóle relacjonowanie cudzych przeżyć nie „wychodzi” autoportreciście. Niepotrzebne są i mijają się z celem mało ważne wtręty aktualne, z dzisiejszej rzeczywistości polskiej, które coś tam miały symbolizować. Wręcz fatalne są liczne „przykłady” i analogie do literatury. Np. ciekawa i autentyczna historia o patrolach, na jakie udawaliśmy się poprzez ruiny tzw. domku ogrodnika, w których znajdowały się spalone zwłoki właścicieli — wzbogacona jeszcze przez fakt, że Hubert znał tych ludzi i kupował od nich kwiaty przed powstaniem — została zrujnowana przez końcowy cytat z Mackiewicza o pani Turgieniew itd. W innym miejscu grafomańska strofka o powstańczego poety o koniach daje autorowi asumpt do dłuższego elaboratu na temat koni i dzieciństwa w rojstach, niestety niezupełnie oryginalnego, bo „wzbogaconego” dłuższymi cytatami z książek gen. Rómmela i włoskiego korespondenta wojennego. Trudno zaiste tę osobliwą mieszaninę, jaką jest *Autoportret* uznać za kompozycyjnie zadowalającą.

A jednak byłbym niesprawiedliwy, gdybym odmówił tej książce wszelkich zalet. Nie jest ona pozbawiona słusznych

sposprzeżeń, czy fascynujących fragmentów. Ma rację tam, gdzie kwestionuje mądrość wyższych dowódców i polemizuje z nimi. Kilkakrotnie udaje mu się dobrze oddać uczucia i nastroje żołnierzy — w ostatnich chwilach przed wybuchem i w pierwszych godzinach walki; w pierwszą noc, gdy uporczywy deszcz na błotnistych peryferiach zmywał początkowy entuzjazm marzących o wyzwoleniu stolicy chłopców; i w dzień następny, gdy „automatyczna solidarność bojowa” zaczęła zmieniać się „w równie automatyczną solidarność paniki”. Jedną z najlepszych partii książki jest opis bezsensownych marszów wokół miasta i niedoszedłego „szturmu na Belweder” w pierwsze dni powstania, niewątpliwie autentyczny, a przy tym posiadający aurę makabrycznej groteski. Po powrocie na Mokotów Hubert czyni sprostowanie na temat wątpliwej wartości tej powstańczej dzielnicy jako „bastionu” i słusznie przypisuje jego trwałość... inercji Niemców. Zgodzić się też można na jego opis „życia na placówce”, z wartami, „obgryzaniem paznokci” i — czytaniem. Jest w książce parę opisów bitewnych — o dziwo bez przerywania i reminiscencji literackich (bo nawet „szturm na Belweder” był urozmaicony dywagacjami na temat grzybów w „Panu Tadeuszu”). Te są najlepsze, nacechowane wartką narracją i celnymi obserwacjami psychologicznymi. Kilka sylwetek kolegów (np. Syna) nakreślonych zostało świetnie. Kanałów Hubert nie opisuje, bo to „na ogół znana historia”, ale czyni na marginesie słuszną uwagę, że w filmie Stawińskiego i Wajdy *Kanał* grupa bohaterów była jakby wyizolowana, gdy w rzeczywistości kanałami parły bez przerwy ogromne tłumy. Przeżycia po wyjściu z kanału opisane są przez autora zwięźle, ale dość sugestywnie, w każdym razie dopóki nie zjechał na dłuższy cytat ze *Zbrodni i kary* Dostojewskiego.

Niestety trudno mi uniknąć końcowego wniosku, że książka Florczaka jest wynikiem nieporozumienia. Zamierzał pisać o sobie, nawet nie ukrywa tego, tytułując swoją książkę *Autoportretem*. Ale ma to być autoportret z rubinem, autoportret na tle powstańczej i obozowej „epoki”. Zamierzenie się nie udało, a w rezultacie nie uzyskaliśmy ani autoportretu autora, ani obrazu powstania. Jeżeli zaś Florczak chciał zaprezentować pogląd szarego, przeciętnego powstańca, w przeciwstawieniu do wszelkiego rodzaju wodzów i dowódców, tym mniej możemy książkę zaaprobować. Dostaliśmy portret wyidealizowany, dworski, portret jaśniepana — arystokraty ducha, na nieważnym, pogmatwanym tle. Dał już swą wspaniałą analizę powstania Borkiewicz, dał błyskotliwą syntezę Kirchmayer; ukazał się nam w krzywym zwierciadle kapral z cenzusem Florczak. Ale ostatnie słowo maluczkich, szarej powstańczej masy, nie zostało jeszcze wypowiedziane.

Bolesław TABORSKI

Książki, ludzie, kulisy

Gdyby teoretycy predestynacji imiennej mieli rację, imiennik Tymona Ateńczyka musiałby być mizantropem. Epitet ten pasuje jednak do Tymona Terleckiego mniej niż jakikolwiek inny. O mizantropię można by go podejrzewać chyba tylko w chwilach, kiedy sztywno obstaje przy zasadach, jak gdyby nie liczył na dobroczynne siły drzemiące w naturze ludzkiej. Te przelotne podejrzenia rozwiewają się jednak natychmiast. Zdawałoby się więc, że nie ma w nim nic z jego ateńskiego imiennika. Nie upraszczajmy jednak zbytnio sprawy ani w jednym ani w przeciwnym sensie. Tymon Ateńczyk nie był tylko mizantropem. Autor „Ludzi, książek i kulisy” odróżniłby w nim od razu całą gamę wewnętrznych sprzeczności. Widziany od tej strony, sławny Ateńczyk daje szersze pole do porównań i zbliżeń.

Patrząc na Tymona Terleckiego, na jego szczupłą sylwetkę, czarne oczy i ciemną twarz, na czoło przecięte pionową bruzdą jak czoło Juliusza Cezara z rzymskiego Museo Nazionale, nie znajdujemy w nim nic z słowiańskich blondynów lubiących sielanki. Typ jego jest bliższy Tymona niż Anacharsisa. Analogie nie kończą się jednak na tym. Proza jego, nieco sucha w dotknięciu lecz uderzająca w konstrukcji, nie przypomina niczym słowiańskiej gawędy. Wydaje dźwięk czystego intelektu. Wolna jest od zmysłowości, od leniwej radości widzenia i upojenia płynnym żywiołem słowa. Nawet gdy mówi o rodzinnym Lwowie, w słowach jego nie słychać lwowskich czy lwczakowskich odcieni nadpęłtwiańskiego *bagout*. Mam wrażenie, że czułby się bardziej swobodnie, posługując się, zamiast polskiego, jakimś językiem arystotelicznym, przylegającym ściślej do klas przedmiotów niż do przedmiotów indywidualnych. Do używania takiego języka wydaje się przeznaczony przez swą pasję konstrukcji i klasyfikacji ogromnego materiału zgromadzonego w jego pamięci.

Nowa książka Tymona Terleckiego, prócz wspomnienia o lwowskich antykwariach i księgarniach, jest galerią portretów. Składa się na nią osiem sylwetek: Ostapa Ortwina, Bolesława Leśmiana, Stefana Napierskiego, Jana Lechonia, Stanisławy Wysockiej, Juliusza Osterwy, Stanisława Stanisławskiego i Leona Schillera. Jedne, utkane z wspomnień osobistych, są kompozycjami jednopłaszczyznowymi, w innych przejawia się geniusz konstrukcyjny autora, budującego swe postacie jak dramaturg, z sprzeczności i kontrastów. Prócz

(I) Tymon Terlecki. *Ludzie, książki i kulisy*. Londyńska Biblioteka Literacka, tom III. B. Świdorski, Londyn 1960. Str. 187.

Juliusza Osterwy znałem mniej lub więcej wszystkie główne postacie książki, z niesłabnącym też zainteresowaniem śledziłem proces ich analizy i rekonstrukcji przez Terleckiego.

Najgłębiej przemyślane i rozbudowane wydają mi się portrety Ortwina, Napierskiego, Lechonia i Schillera. Sam wybór ich jest uderzający i w „Szkockiej” byłby doskonałym tematem dyskusji z Ortwinem. Wszyscy czterej nie dopełnili się w tym co pisali, nie zostawili po sobie dzieła zakończonego, mającego życie własne i obywatelstwa się bez komentarzy biograficznych. Takie postacie są najwzruszającym tematem dla biografów.

Podzielałam całkowicie zdanie Ortwina, „który z właściwą sobie gwałtownością przeciwstawiał się biograficznej metodzie krytyki”, i nie mogę się oprzeć wrażeniu, że nasi romantycy zyskaliby wiele, gdybyśmy czytali ich uważniej i mniej wiedzieli o ich romansach. Wielcy autorzy nie mają żadnej istotnej biografii. Są twórcami samodzielnego świata wyobraźni, w którym pokolenia krytyków przeglądają się będą jak w zwierciadle.

Inna jest sytuacja tych, którzy nie dopełnili się w swych dziełach, którzy ważniejszą część życia zachowali dla siebie, romansując jedynie z piórem i kałamarzem. To co było w nich samoistne, niepowtarzalne, pozostało poza obrębem ich pism, stanowiących jedynie mniej lub więcej istotną część ich życiorysu.

Studium Terleckiego o Ortwinie jest nieocenionym źródłem wiadomości o granicy między krytyką i historią literacką a biografią. Autor obszedł w nim uważnie tę granicę, wytyczając kilka ważniejszych punktów. Znajdujemy tam m.in. imponujący aforyzm Doktora Johnsona, zanotowany przez J. Boswella: *A man is to have part of his life to himself*. Dla Boswella słowa te były zapewne drogowskazem, znakiem przypominającym, że właściwym przedmiotem jego dzieła jest część życia, którą Doktor Johnson zachował dla siebie.

Terlecki buduje postać lwowskiego krytyka z przeciwstawnych elementów, z tego co było w nim prowincjonalne i uniwersalne, z tego co pisał i tego co mówił, z tego co głosił i tego co chciał wiedzieć, rozumieć tylko dla siebie, z nietzscheanizmu i socjalizmu, z negatywnego stosunku do teatru w ogóle i z teatromanii, z sympatii i antypatii, wreszcie z sprzeczności dwóch epok, których był świadkiem. Z tych niezgodności wewnętrznych powstaje na stronicach książki obraz jedynej w swoim rodzaju, niepowtarzalnej, burzliwej w myśli i regularnej w zwyczajach egzystencji Ostapa Ortwina.

Rozprawa Terleckiego kończy się apelem do przyjaciół lwowskiego krytyka o spisanie zbiorowej książki o nim samym. Wątpię, aby książka taka mogła się kiedykolwiek ukazać, i obawiam się, że mogłaby nam przynieść rozczarowanie. To co w Ortwinie było niepowtarzalne jest być może równie ogromne i nieuchwytnie zarazem jak geniusz jego miasta. Lwów posiadał szczególnie urok, *douceur de vivre*, w

której sam nawet niedosłyszalny szmer płynących godzin był pogodny i kojący. Lwowskość była częścią Ortwina, wypełniającą luki i niespełnienia jego działalności pisarza. Stojąc kiedyś przed *antrum leonis*, dość posępną kamienicą, która była własnością Ortwina, i gdzie znajdowało się jego mieszkanie, uświadomiłem sobie nagle, że jego niedopełniona, jak słusznie pisze Terlecki, egzystencja była w jakiś niewidoczny sposób harmonijna i szczęśliwa.

Na pewno nie można tego powiedzieć o Stefanie Marku Napierskim, postaci głęboko warszawskiej, lecz nie znajdującej w geniuszu stolicy żadnych elementów własnej stabilizacji. Poeta, powieściopisarz, krytyk, tłumacz i wydawca własnego miesięcznika, Napierski był jednym z najwykształceńszych literatów przedwojennej Warszawy, najbardziej niezależnym materialnie lecz niedocenionym i nieznanym szerszej publiczności.

„Był po trochu pisarzem ponad nasz stan” mówi Terlecki. „Nie należał do żadnej klasy, nie miał społecznego przydziału a czuł dziedziczne obciążenia grupy społecznej, z której wyszedł... Napierski był poza zbiorowością społeczną i bezustannie do niej tęsknił... Całe jego życie było poszukiwaniem wspólnoty, rozpaczliwym dążeniem do społecznego uwierzytelnienia. Stąd pochodziła jego potrzeba akceptacji z zewnątrz, której mu tak nie dostawało”.

Przy wszystkich swych talentach i wiedzy, Napierski miał w sobie jakąś skomplikowaną nieporadność młodości. Był całkowicie bezbronny. Nikomu zapewne nie było łatwiej wyjechać z kraju przed katastrofą. Napierski został w Warszawie i od razu padł ofiarą niemieckich oprawców.

Sylwetka Lechonia jest tak uderzająca, że chciałbym przytoczyć z książki Terleckiego chociażby pół strony:

„...Często własna inteligencja zwodziła go na manowce. Inteligencja jasnowidząca oślepiała tego kto ją posiadał. Bywają wady cnót, bywają też wynaturzenia płynące z ponadnormalnych darów natury. Tak było z inteligencją Lechonia. Prowadziła go ona do pychy. Czyniła zeń okrutnego prześmiewcę, uzurpatora, tyrana, który sprawował bezlitosny terror intelektualny. Jego sądy o ludziach i oceny literackie cechował często niepomamowany, niczym niekontrolowany subiektywizm. W świecie świetnego rozeznania rządziła dowolność i arbitralność...”

„Był to jeden biegun osobowości, jedna dusza Lechonia, ta którą znała i okłaskiwała gawiedź. Ale istniał w nim co najmniej równie silny, choć nie tak jawny, często wstydliwie ukrywany drugi biegun magnetyczny: głęboka, przeczulona uczuciowość, dusza anielska. Była ona uwikłana w wielkie skrzydła jak anioły Jacka Malczewskiego. Przytroczona do imponderabiliów, wrośnięta głęboko w rzeczy, w ziemię, w historię, łaknąca wzniosłości i zdolna ją odczuwać, nienasycona, ciągle burząca się uczuciowość poetycka”.

Najgłębiej przemyślany, zwarty i bogaty w wiadomości jest rozdział o Leonie Schillerze. Terlecki był jego bliskim

współpracownikiem w Państwowym Instytucie Teatralnym i ma o nim wiele istotnego do powiedzenia. W portrecie Schillera Terlecki jest najbardziej artystą, oddającym w kilku słowach z nieporównaną trafnością rysy swego modelu, jak np. w takim zdaniu:

„Schiller miał coś tytanicznego nie w przenośnym, ale w bardzo dosłownym, wymiernym znaczeniu. Wytrzymywał prawie nadludzkie napięcia. Nie wiedział co to ekonomia pracy. Mnożył, rozciągał każdy wysilek”.

Podobnie jak inne sylwetki, Schiller Terleckiego zbudowany jest z przeciwstawnych elementów:

„Niewprawnemu oku nie nie zdradzało tej tytaniczności. Schiller miał wygląd raczej mieszczański. Był krepy, nabity w sobie, zaokrąglony. Kulista głowa siedziała na krótkim, potężnym karku i często wspierała się na wzdętym torsie. Ręce miał dość długie, ruchy powolne. Ale były w nim dwie rzeczy należące jakby do innego typu psychofizycznego: jasnozielone oczy o przejmującym wyrazie, oczy upadłego, udręczonego anioła i głos niski, głęboki, wibrujący. Było w tym głosie i w tych oczach coś urzekającego, coś uwodzącego. Coś co przeczyło jego wyglądowi. Coś o rozrywających przeciwieństwach”.

„Był człowiekiem samotności. To w samotności zdobył olbrzymią wiedzę o teatrze wszystkich epok... Lubiał chodzić po własnej pamięci jak po księgozbiorniku, sprawdzać czy wszystko stoi na swoim miejscu... Ten introwertyk był jednocześnie człowiekiem o ciągle nienasyconym instynkcie społecznym. Odczuwał potrzebę społecznego działania, udzielania się, wpływania na rzeczywistość. Zbierał ludzi wokół siebie, przekonywał, planował, organizował oczywiście na swoją miarę, którą tylko nieliczni byli w stanie ogarnąć, jeszcze mniej liczni — osiągnąć. Często, niemal zawsze, to co zamierzał i co z trudem wznosił, padało w gruzy od własnego nadmiernego ciężaru lub od porywu jego zniecierpliwienia”...

„Wszystko razem płynęło z niesłychanie silnej afektywności, niepodejrzanej w tym ciele i w tej głowie o liniach ludzko okrągłych... Ta afektywność była jego fatalnym obciążeniem... i jego błogosławieństwem. Była źródłem jego sztuki. Sprzęgły się w tej sztuce przeciwieństwa i krańcowości: wizjonerstwo z intelektualizmem, skrajny indywidualizm z usługowaniem społecznym, najbardziej wyrafinowany estetyzm z świadomym, nieraz pomylnym utilitaryzmem, najzuchwalszy polot artysty z chłodem badacza, kult wielkiej formy, obsesja ogromu, tworzenie kształtów rozbiających się o granice rzeczywistości z czułym przywiązaniem do drobnych pieśniarskich, z świetnym odczuciem dla miniatury, tradycjonalizm, miłośnictwo dawności, starzyzny z obrazoburstwem, z radykalizmem artystycznym i rewolucjonizmem społecznym. Te skrajności i sprzeczności walczyły w Schillerze, rozdzierały go, nieraz szkodziły jego dziełu”...

Mimo że sam rodzaj jego sztuki należy do najszybciej przemijających, Schiller nie został dotąd zapomniany jak Ostap Ortwin i Stefan Napierski. Zostawił uczniów i przyjaciół, którzy nie bez wzruszenia przeczytają stronicę, jaki poświęcił mu Tymon Terlecki.

Paweł HOSTOWIEC

Krytyka systemu jednopartyjnego

Przed kilku miesiącami ukazała się w Wydawnictwie Poznańskim broszura Adama Łopatki, licząca 163 strony, pod nie wiele mówiącym tytułem: „Kierownicza rola partii komunistycznej w stosunku do państwa socjalistycznego — leninowskie zasady”.

Łopátka widzi w tezach Lenina podstawy do krytyki niesłusznie zdogmatyzowanej dziś praktyki. Zrezygnując z suchej analizy leninowskich cytatów i oderwanych spekulacji, dochodzi do niezwykłego „za kurtyną” wniosku: w stosowaniu teorii do praktyki odkrywa błędne odchylenia i niezgodności. Jest to niezwykle novum w literaturze komunistycznej.

Partia komunistyczna żąda monopolu partyjnego. Obok niej żadna inna partia nie posiada prawa istnienia. Wszystko co „za kurtyną” zwie się jakąś „partią” niekomunistyczną — jest partią tylko z nazwy, a nie w zachodnim tego słowa znaczeniu. Różnice takich „dopuszczonych” partij z panującą komunistyczną, ograniczają się do nieistotnych szczegółów i do składu personalnego. W żadnym wypadku legalne grupy polityczne nie mogą reprezentować innego niż komunistyczny program polityczny.

Broszura Łopatki, usiłuje wykazać, że system jednopartyjny wcale nie jest koniecznością państwa socjalistycznego. Autor, powołując się na pracę Lenina „Partia komunistyczna i inne polityczne partie w państwie socjalistycznym”, podkreśla z całą stanowczością, że system wielopartyjny wcale nie jest sprzeczny z ustrojem socjalistycznym, a nawet — w pewnym stadium rozwoju tegoż ustroju — stanowi pożądany i konieczny sposób kształtowania polityki w państwie socjalistycznym. Lenin, powiada autor, negował legalizm partii kontrewolucyjnych, natomiast nie sprzeciwiał się istnieniu ugrupowań nieproletariackich, a nawet uważał za przydatny i wskazany sojusz z takimi partiami w celu rozszerzania politycznej władzy radzieckiej.

Zdaniem Łopatki, jedynie przypadek sprawił, że wszystkie partie nieproletariackie w Rosji były nastawione kontrewolucyjnie i że w Związku Sowieckim doszło do systemu jednopartyjnego, któremu „następcy Lenina niesłusznie nadali moc normatywną”. Dalej Łopátka dowodzi, że zarówno dogmat o słuszności systemu jednopartyjnego, jak i wielopartyjnego, jest tylko konstrukcją myśli abstrakcyjnych, oderwanych od politycznej rzeczywistości. Który z obu systemów jest lepszy, nie można przesądzać: to zależy od konkretnego układu sił politycznych.

Dwutygodnik „Prawo i Życie” z 26.VI.60. nie sprzeciwiając się tym tezom, pisze: „Łopátka badając leninowskie poglądy daje szeroki materiał uzasadniający małą przydatność tezy, która absolutyzowałaby wartość systemu jedno- lub wielopartyjnego, wskazując, że istnienie i walory jednego lub drugiego zależne są od konkretnego układu sił politycznych”.

Ale Łopatka nie ograniczył się do ataku na dogmat jednopartyjności. W jednym z końcowych rozdziałów, wprowadzie ostrożnie, lecz dostatecznie jasno, głosi postulat niezależności partii od państwa; stwierdza negatywne skutki takiej zależności, widząc je w biurokratyzacji partii, co w ujemny sposób wypacza jej aktywność. W tym punkcie prasa komunistyczna nie mogła już zgodzić się z autorem. „Prawo i Życie” zarzuciło autorowi, że nie zrozumiał Lenina, gdyż państwo jest nie tylko administracją, ale także reprezentacją ludu, a nie można wykluczać udziału ludu w kształtowaniu politycznego programu w państwie socjalistycznym. Jak widzimy, komunistyczny organ urzędowy nie unika błędnego koła, byle tylko nie dopuszczać myśli o samodzielnej polityce partii niekomunistycznych.

Jednak w sumie „Prawo i Życie” pozytywnie ocenia pracę Łopatki pisząc o niej: „...systematyzując i analizując leninowskie ujęcia niektórych aspektów kierowniczej roli partii przedstawia udokumentowaną próbę bardziej pełnego i nowatorskiego nawet — w konfrontacji z dotychczasową literaturą — oświetlenia niektórych kwestii teoretycznych... A że przy tym reprezentuje wiele ciekawych myśli i rozważań wartość jej jest tym większa... pomocną będzie zarówno dla teoretyka jak i działacza politycznego”.

Zachodnio-niemiecki obserwator stosunków w Polsce odgaduje, że autor w kilku miejscach czuł się zmuszony bardzo ostrożnie traktować, a czasem nawet przemilczać niektóre zagadnienia. Na ogół, praca Adama Łopatki i pozytywna jej ocena w prasie krajowej jest dowodem, że myśli demokratyczne w Polsce wciąż żyją i różnymi drogami usiłują działać.

Monachium, wrzesień 1960.

Erhardt GRALLA

Nadesłane nowości wydawnicze

TERC (Abram). *Domen faller*. Str. 123. (Wyd. Natur och Kultur, Stockholm, 1960. Cena kor. szw. 8,50, w oprawie 12,50).

TERZ (Abraham). *El proceso continua*; ANONIMO, *Qué es el realismo socialista? Versión castellana de Roberto Bixio*. Str. 167. (Wyd. „SUR”, Buenos Aires, 1960).

KOS-RABCEWICZ-ZUBKOWSKI (Ludwik). *Notes sur la famille Globenski*. Str. 101-122. (Przedruk z „The Polish Past in Canada”. (Wyd. Kongresu Polonii Kanadyjskiej. Instytut Polski w Kanadzie, 1960).

TERTZ (Abram). *The Trial Begins*. Przełożył Max Hayward. Str. 128. (Wyd. Pantheon Books, New York 1960, cena dol. 2,95).

TERTS (Abram). *Oikeudenkäynti alkaa*. Str. 132. (Wyd. Werner Soederstroem Osakeyhtiö, Porvoo-Helsinki, 1960).

NAGLEROWA (Herminia). *Wspomnienia o pisarzach*. (Sieroszewski, Żeromski, Strug, Berent, Irzykowski, Leśmian, Wierłowska, Kaden-Bandrowski, Dąbrowska). Str. 96. (Nakł. Oficyny Poetów i Malarzy, Londyn, 1960).

Listy do Redakcji

Chicago, 15 sierpnia, 1960 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Od szeregu lat jesteśmy czytelnikami „Kultury”, co dowodzi naszego zainteresowania tym czasopismem. To też nie chcielibyśmy pójść w ślady studenta W.R. wspomnianego w artykule M. Danilewiczowej i Z. Wilczyńskiej, „Miłosz contra Kraszewski”, umieszczonego w nr. 7/8 „Kultury” bieżącego roku. Studenta tego zniechęcił do „Kultury” p. W. Gombrowicz.

Pozwalamy sobie zwrócić się do Pana Redaktora po odebraniu wspomnianego Nr. „Kultury”, w którym znajduje się ostatni z szeregu podobnego tonu listów p. W. Gombrowicza dotyczący jego dyskusji z p. Grabowskim. List ten, jak i inne podobne, pozostawia w bezstronnych czytelnikach wielki niesmak.

Chociaż p. W. Gombrowicz pretenduje na obronę interesów narodu a nawet całej ludzkości, takiego rodzaju poświęcenie się tym interesom może wywierać dodatni lub ujemny wpływ na poczynność jego utworów, co jest sprawą dotyczącą wyłącznie jego i jest nam obojętną. Ale nie obojętne nam jest aby ono zniechęcało czytelników „Kultury” do tego czasopisma, które spełnia ważne i zaszczytne zadanie wśród emigracji.

Musimy zaznaczyć że ani z p. Gombrowiczem ani z p. Grabowskim nic nas nie łączy.

Łączymy wyrazy prawdziwego szacunku i poważania.

(—) Andrzej CHARMAŃSKI

(—) Jan RUGIS

Maisons Laffitte, 15. 9. 1960

Trudno zrobić większą przyjemność autorowi książki, jak taką krytyką, jaką umieścił Jeleński w ostatnim numerze *Kultury* o moim „Oku”. Rzadko się zdarza, żeby w polemice krytyk dotykał *tych samych* co autor punktów niewrażliwych, żeby pisał tak wnikliwie o nich (a nie o sobie i o swoich problemach). Jeleński dobrał się do niejednego słabego punktu mojej książki, podkreślając różnice, jeżeli nie też, to klimatu i nastawień artykułów pisanych jeszcze w Polsce — i późniejszych. Chciałbym kiedyś jeszcze do tej krytyki wrócić, choć jednak zaraz zaznaczyć, gdzie i w

czym rozbieżność moja z Jeleńskim zdaje mi się zasadnicza, bo chodzi tu o pewną linię podziału, która dziś mnie dzieli nie z nim tylko, ale z ogromną większością dzisiejszych malarzy.

Różnice moje z Jeleńskim nie są chyba zasadnicze, gdy chodzi o poetykę obrazu; to co Jeleński o niej pisze wydaje mi się słuszne i jakby dopełniające w wielu wypadkach to, co ja pisałem. Odrzucałem i odrzucam jedynie poetykę, która nie dochodzi do języka malarskiego, kiedy zaś ten język najczystszy osiąga (np. Breughel), staje się dla mnie prawie zawsze czymś na tyle pobocznym wobec delectacji czysto malarskiej, że wprost jej nie zauważam. Może u jednego tylko Rembrandta, urok malarski jego płócien nie zaciera we mnie przeżycia jego ludzkości, to znaczy źródła jego poetyki. Zaznaczam, że nie widzę w tym bynajmniej u siebie zalety, ale do pewnego stopnia mankament mojej generacji, czy pręcej rodziny malarskiej z mojej generacji (gwałtowna i zbyt skrajna reakcja przeciw literaturze malarskiej XIX w.).

Zmartwiła mnie krytyka moich rozdziałów o Cézannie, uważam je za podstawowe, dla Jeleńskiego są wątpliwe i nieaktualne. Zarzuty, które mi postawił, zbiegają się prawie dosłownie z zarzutami, które sam stawiam innym cézannistom i które odrzucam z irytacją, wracając z czułością do samych listów Cézanne'a, do wypowiedzi jego, zanotowanych na gorąco, czy wspomnień o nim skromnego Leo Languier, Aurencha, czy nawet nie bardzo mądrego, ale rzetelnego mantyki Bernarda.

Nigdy nie negowałem poetyki Cézanne'a, czy jego miłości do prowansalskiego pejzażu. Poetykę tę jednak rozumiem zupełnie inaczej od Jeleńskiego, bo odnajduję ją równie dobrze w kształtach starej komody na martwej naturze, w brzydkich, byle jakich domach, które nieraz malował, jak w krajoobrazach ze skałami i pięknymi drzewami. Poetyka Cézanne'a była nieskończenie bardziej abstrakcyjna niż ta, którą jej przypisuje Jeleński cytując jako argument list Cézanne'a wprost okropny w swojej pompatyczności, Cézanne tego listu nigdy nie napisał. Cytat Jeleńskiego pochodzi z książki Joachima Gasqueta „Cézanne”, z „Trois conversations imaginaires” według własnego określenia autora, gdzie ten wielomówny blagier i bardzo zły literat jakoby „zrekonstruował” wypowiedzi Cézanne'a 12 lat po jego śmierci! Zresztą nie trzeba czytać Rewalda, który całą tę sprawę ze znaną sobie dokładnością wyjaśnił, żeby z samego tonu listu wiedzieć, że Cézanne go nie mógł napisać, wystarczy czytać autentyczne listy Cézanne'a z okresu gdy znał Gasqueta. I Jeleński nigdy by tego listu nie pomieszczył, gdyby go przeczytał w tekście Gasqueta, a nie u „uczonego” historyka sztuki, któremu zawierzył.

Nalegam na ten punkt, bo jest symptomatyczny, Cézanne'a zaczyna znowu otaczać mur nieporozumień i frazeologii, do których dobrze pasuje prekursor tyłu metnych tekstów o Cézannie — Gasquet. Poetyka Cézanne'a była inna. Może potrafię kiedyś wyrazić lepiej to czego widocznie nie potrafiłem dać w rozdziałach mojej książki. Jego wizja tak bardzo z natury wyrastająca, a przecie tak abstrakcyjna, jego asceza, którą umiem tylko porównać do fug Bacha, wprowadza w świat sztuki XIX w. nutę tak czystą i wyzwalającą, że go wywyższa nad wszystkich współczesnych.

Wspaniałomyślnie odstępuję Jeleńskiemu Marcela Duchamp, którego „genialny” paradoks o malarstwie kory mózgowej i malarstwie żrenicowym uważam za banał na odwyrtkę, a którego jakoby nieśmiertelny obraz „La mariée mise à nu par ses célibataires” wybiega całkowicie poza moją zdolność rozumienia.

Józef CZAPSKI

Suton-Coldfield, Warwicks, 17. 9. 1960

Szanowny Panie Redaktorze!

Podzielim zupełnie wysoką ocenę działalności naukowej i pedagogicznej prof. Tadeusza Kotarbińskiego, tak wymownie przedstawioną przez Zbigniewa Jordana („Kultura” nr 155). Pamiętam dobrze wykłady prof. Kotarbińskiego z początku lat dwudziestych, jego prawie że koleżeński udział w naszych prywatnych, studenckich zebraniach logistycznych. Pamiętam go również jako egzaminatora. Jakkolwiek egzaminy nie należą do rzeczy przyjemnych, czas spędzony na egzaminie z filozofii przez prof. Kotarbińskiego był tak miły, że z żalem opuściłem salę egzaminacyjną.

Niestety jednak nie mogę podzielić entuzjazmu Z. Jordana dla osoby prof. Kotarbińskiego. Przed wojną prowadził on zacieklą, powiedziałbym zacietrzewioną, kampanię przeciw religii. Można było mieć do niego żal, że poziom jego argumentów był znacznie poniżej tego, jakiego on wymagał od swych studentów. Trudno się jednak temu dziwić: wiadomo przecież, że nie ma niczego bardziej nielogicznego i nienaukowego, jak wybitny uczony, gdy mówi lub pisze poza zakresem swej specjalności naukowej. Nikt jednak nie mógł mieć o to do niego pretensji. Prof. Kotarbiński walczył o swe przekonania i był przeświadczony, że walczy o wolność myśli ludzkiej i ludzkiego sumienia. Może należałoby tylko dodać, że przy rzekomej naszej przedwojennej „dyktaturze”, nie spadł mu z tego powodu ani włos z głowy.

Sytuacja zmieniła się jednak z chwilą, gdy narzucony Polsce rząd komunistyczny zaczął walkę z religią metodami policyjnymi. Dla człowieka, którego „wrażliwość na zło i krzywdę” tak podkreślali jego uczniowie w 1934 roku, dla człowieka, który całe życie walczył o wolność myśli, nie mogło ulegać wątpliwości, że komunistyczne prześladowanie religii jest przejawem gwałcenia ludzkiego sumienia, ludzkiej wolnej myśli. Człowiek wrażliwy na krzywdę cudzą, na wolność ludzkiego sumienia, powinien więc być — w imię swych zasad — zaprotestować przeciw temu prześladowaniu. Byłby to zaiste niezwykle budujący przykład, gdyby ateista wystąpił przeciw prześladowaniu religii, właśnie w imię swych zasad wolności ludzkiego myślenia.

Prof. Kotarbiński tego nie uczynił. Mógł on przynajmniej wstrzymać się od walki z religią, aby nie kłaść się udziałem w akcji gwałcenia wolności przekonań. Zamiast tego brał on — zarówno w „minionym okresie”, jak i obecnie — bardzo czynny udział w akcji przeciwereligijnej, wspomagając w ten sposób czynnie krzywdę, wyrządzaną przez dyktaturę komunistyczną sumieniu olbrzymiej większości narodu polskiego.

Od 1957 roku prof. Kotarbiński jest prezesem Polskiej Akademii Nauk, instytucji stworzonej na wzór sowiecki celem zaciśnięcia obroży komunistycznej nad nauką polską. W myśl nowej ustawy tej Akademii z lutego tego roku, stała się ona bezwolnym narzędziem w rękach partii komunistycznej, pozbawiając polskich naukowców swobody pracy naukowej. Może prof. Kotarbiński się z tym nie zgadza, ale na to jest tylko jedna uczciwa droga: rezygnacja. Od odpowiedzialności moralnej za współudział we wciskaniu nauki polskiej pod but komunistyczny nie mogą go jednak uwolnić najpiękniejsze nawet mowy, najbardziej szumne frazesy o „igle magnetycznej, wskazującej stały kierunek”, zwłaszcza gdy ten kierunek jest zgodny z życzeniami władz komunistycznych w Polsce „na danym etapie historii”.

I właśnie dlatego, choć mam bardzo wysoki szacunek dla pracy naukowej prof. Kotarbińskiego, szacunek dla jego charakteru straciłem całkowicie.

Proszę przyjąć, Szanowny Panie Redaktorze, wyrazy głębokiego szacunku.

Tadeusz FELSZTYN

Caracas, 14 września 1960 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Uprzejmie proszę o zamieszczenie w najbliższym nr. „Kultury” notatki treści następującej: Czytelnicy „Kultury” interesujący się dalszą treścią polemiki, jaka wywiązała się pomiędzy mną a p. Adamem Ciołkoszem, odpowiedź moją na jego list zamieszczony w „Kulturze” nr 150 z kwietnia br. znaleźć mogą w „Naszym Znaku”, miesięczniku polskim wychodzącym z Szwecji w Linköping Ugglegatan 22.

Wprawdzie utarło się i jest w zwyczaju, że odpowiedzi winny ukazywać się w tych samych pismach, w jakich drukowane były wypowiedzi. Ale ze względu na fakt, że odpowiedź moja nie może ograniczać się tylko do — polemicznego chwytu — co zostosoł p. Ciołkosz, z tego więc względu list mój jako „list” nie kwalifikował się do tego działu w „Kulturze”, gdyż wymagał miejsca nieco więcej. I stąd właśnie potrzeba tej informacji.

Łączę wyrazy poważania.

Józef JENNE

Londyński korespondent „Kultury”: Juliusz MIEROSZEWSKI.
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: CH15wick 1860.

Wydawca: Edition et Librairie „LIBELLA”,
12, rue St-Louis-en-l'Île, Paris (4^e)

Directeur-gérant: Mme Christiane Karasiewicz.

Dépôt légal: 4 trimestre 1960

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	Roczna
AFRYKA POLUDNIOWA: Janusz Kruszynski, 54, 15th St., Parkhurst, Johannesburg	3 sh. 9 d	21 sh.	42 sh.
ARGENTYNA: Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires	55 pesos	330 pesos	660 pesos
AUSTRALIA: « Vistula » (Australia) PTY Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney	5 sh. (a)	£.A.1.7.6.	£.A.2.12.6
BELGIA I KONGO BELG.: Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Square Saintelette, app. 2, Bruxelles, Nr konta pocztowego 7315-20	35 frb.	180 frb.	320 frb.
BRAZYLIA: Prenumeraty przyjmują: Julia Barcinska, r. Itaipava 101 (J. Botanico), Rio de Janeiro; Zofia Kietlinska, Av. Batel 1514, Curitiba Parana; Jadwiga Swirska, rua Maranhao 213, Sao Paulo		4 dol. am.	6 dol. am.
BRYT. AFRYKA WSCHOD. (Kenya, Tanganyka, Uganda), Roman Krolkowski, POBOX 5979, Nairobi, Kenya	3 sh. 9 d.	21 sh.	42 sh.
FRANCJA: « Libella », 12, r. St.-Louis-en-l'Île, Paris-4	2,50 NF	13 NF	26 NF
HOLANDIA: T. Szpilczynski, Ruysdaelkade 5, Amsterdam-Z, Tel.: 716080. Nr Konta poczt. 13500 — t.b.v.S. 6538	2 fl. hol.	12 fl. hol.	24 fl. hol.
KANADA: M. Jaxa-Debicka, 221 Howard Park Av., Toronto 3, Ont. lub c/o Polish Voice, 1089 Queen St. W. Toronto Ont., K. Krakowska, 3445 Marlowe Avenue, N.D. de G., Montreal/Queb., Tél.: HU 8-5224; H.R. Radomski, 55 Ridge Drive, Toronto 7, Ont. Tél.: HU 9-0829; Olgierd Kiernowski, 36 Bermuda Ave., Toronto 18, Ont.; Andrzej Manteuffel, 797 Jessie Ave, Winnipeg, Man.; « Zwiastowiec », 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tél.: LE 1-2491	75 cent.	4 dol.	6 dol.
MEKSYK: Victor Stanislawski, Av. Libertad 1350, dep. 1, Guadalajara, Jal. Tél. 49855	75 cent.	4 dol.	6 dol.
NIEMCY: St. Mikiciuk, (13b) München 45, Gablem-str. 7/1	2,50 DM	13,50 DM	25 DM
NORWEGIA: Br. Lubinski, Moss. Kongesgt. 2	3 sh. 9 d.	21 sh.	42 sh.
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 6, rue des Lilas, Genève. Tél.: 33 34 20, Nr konta poczt. 1.14431	2,50 fr. s.	13,50 fr. s.	25 frs. szw
SZWECJA: Red Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV Stockholm		18 kor.	33 kor.
U.S.A.: W. Bienkowski, « Gryf Publ. », 296 Sheridan Av., Albany, N.Y.; S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York 9, N.Y.; L. Dudarew Ossetynski, 143, 16-th street, Brooklyn 15, N.Y.; S. Dziarczykowski, 4009 W., 23rd St., Los Angeles 18, Cal.; M.K. Dziewanowski, 51 Reservoir St., Cambridge 38, Mass.; T. Konopacki, 1253 Hathaway Av., Cleveland 7, Ohio. Tel. LA-1.2305; Ch. M. Kretowicz, 2109 Robinwood Av., Toledo 2, Ohio; V.B. Kwast, 376 Wallingford Terrace, Union, N.J.; A. Pleszczyński, 2025 Monterey St., Santa Barbara, Calif.; Polish Amer. Book Co, 1136 Milwaukee Av., Chicago 22, Ill.; E. Posyniak, 595 Fillmore Av., Buffalo 12, N.Y.; Praca, 2419 Memphis St., Philadelphia 25, Pa.; The Polish Book Importing Co, Inc., 38 Union Sq., New York 3, N.Y.; K Trojanowski, 17932 Van Dyke, Detroit 34 Mich. Tél. T.W. 2.0890	75 cent.	4 dol.	z 6 dol.
W. BRYTANIA: « Gryf » Publication Ltd., 169-171, Battersea Church Road, London, S.W.11	3 sh. 9 d.	21 sh.	42 sh.
WŁOCHY: Aleksander J. Mikucki, via Giulio Bechi, 2, int. 14, Roma. Tél.: 87-87-89.	300 lires	1.750 lires	3.000 lires

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 2 NF półrocznie i 4 NF rocznie. Przesyłka pojedynczego numeru: 0,35 NF.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres:

Jerzy GIEDROYC, 91, Avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)
C.C.P. PARIS 7585-94

Nowości

BIBLIOTEKA "KULTURY" :

TOM LVII

KAZIMIERZ WIERZYŃSKI

TKANKA ZIEMI

POEZJE

Cena egzemplarza 7 NF (10 sh., \$ 1,50)



TOM LVIII

STANISŁAW KOT

JERZY NIEMIRYCZ

**W 300-LECIE
UGODY HADZIACKIEJ**

Cena egzemplarza 7 NF (10 sh., \$ 1,50)



TOM LIX

SERIA „DOKUMENTY” ZESZYT 8

WĘGRY

PRACA ZBIOROWA

Predmowa i tłumaczenie

CZESŁAWA MIŁOSZA

Cena egzemplarza 9 NF (13 sh., \$ 2,00)

